

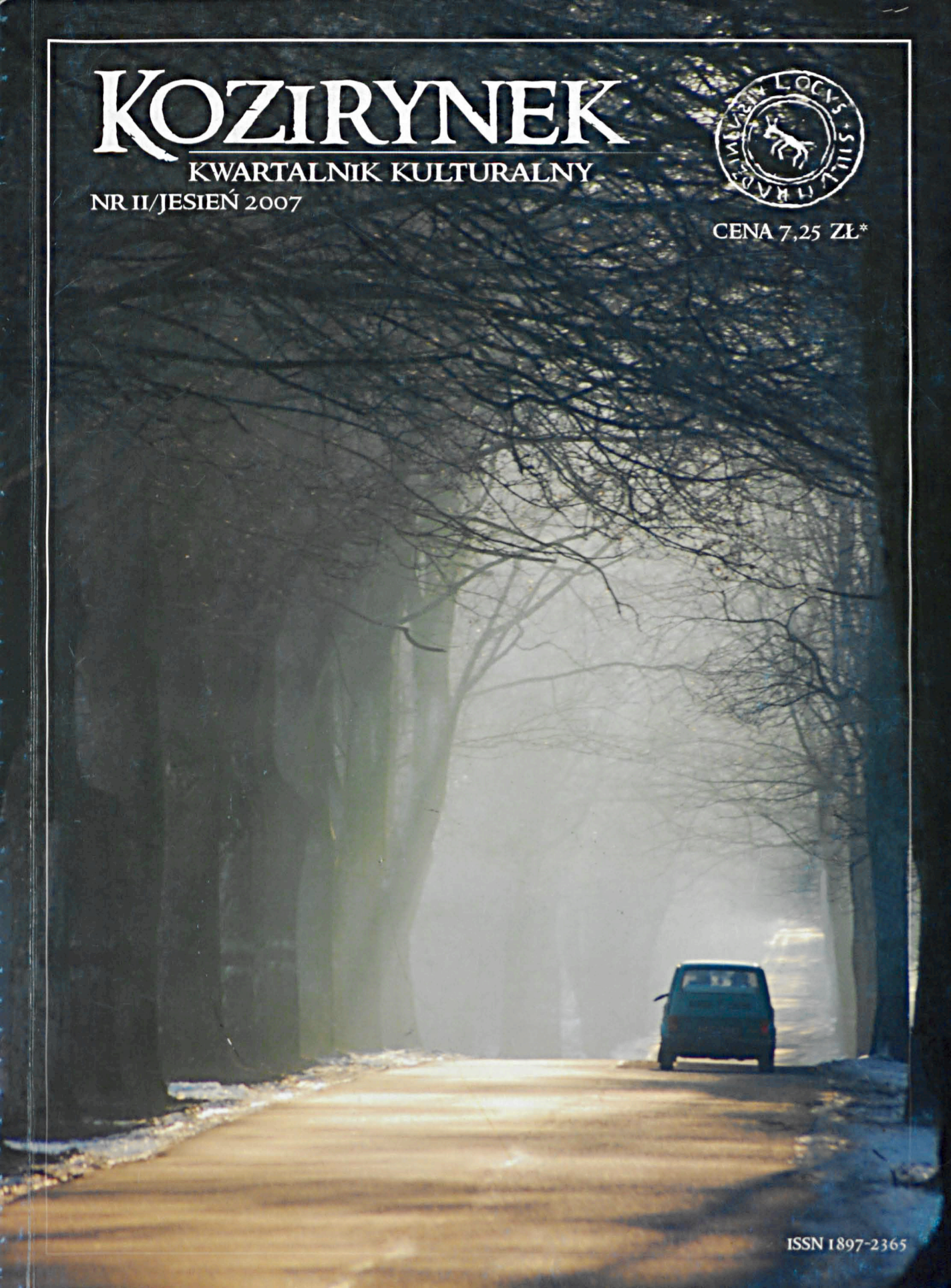
KOZIRYNEK

KWARTALNIK KULTURALNY

NR II/JESIEŃ 2007



CENA 7,25 ZŁ*



ISSN 1897-2365

ALCHEMIA SŁOWA

Im głębiej w las tym coraz mniej mam wątpliwości, że wywołaliśmy z przeszłości jakiegoś twórczego ducha, a że towarzyszy nam od samego początku, to coraz mniej zaczynają dziwić zbiegi okoliczności, które towarzyszą nam w najbardziej nieoczekiwanych momentach. Nim numer pierwszy kwartalnika dotrze do wszystkich zainteresowanych, my już siedzimy nad drugim. Niespodziewanie zajrzałem do „Chimery”. Nie, nie ma w tym poszukiwaniu absolutnie żadnego planu, zdarzają się rozbłyski na chwilę, kiedy człowiek zamierza już kliknąć krzyżyk „zamknij plik” decydując się ostatecznie, a może by tak jeszcze... I tak zwykle wygląda realizacja kolejnego numeru. Cóż więc mnie zatrzymało? Fragment *Alchemii słowa* Rimbauda, zaliczanego do jednego z klasyków w okresie symbolizmu. W pierwszej z wydanych przez młodego poetę książce znajdujemy głośny utwór tytułowy – artystyczne credo ustanawiające nowy rodzaj sztuki literackiej, w której twórca posługuje się grą wyobraźni korzystającej z oniryczno-narkotycznej wizji i epatującej czytelnika śmiałymi, dalekimi skojarzeniami, zarówno brzmieniowymi jak i obrazowymi. I już bez zbędnego cytowania fragmentów młodego Rimbauda wiemy i tak, że jego wizje były na tyle sugestywne i mocne, iż zawarte w *Alchemii słowa* treści stały się duchowym mottem generacji francuskich poetów-symbolistów, którzy na gruzach nietzscheańskiego świata „po śmierci Boga” tworzyli nową „poetycką religię”. Czy aż do takiego porównania można się posunąć? Co jednak jest istotne w tym rozważaniu? Co dzisiaj łączy nas z modernistami? Czy coś jeszcze w ogóle? Może istotne w tym wszystkim będzie pytanie: jakie jest nasze credo? Jaką „poetycką nową religię” możemy stwo-

rzyć? Mózg draży nieodparta obawa, czy możemy jeszcze stworzyć cokolwiek nowego? Oto dylemat. Nie ulega jednak wątpliwości, że nierozzerwalnie związana jest z nami alchemia słowa, które spływający z pióra autora potrafi przykleić się do człowieczego rozumu i stać się niczym wirus dla krzemowego mózgu sztucznej inteligencji. Dlatego słowo zawsze było i pozostanie stwórcze (*Na początku było słowo*), zawsze będzie potężnym narzędziem, a jego donośność zależeć będzie od tego, jak głęboko może sięgnąć każdy z nas. Przestaję się dziwić, przestaję spekulować, nie mam wątpliwości, że alchemia słowa krąży wokół nas. Nawet nie popadam w specjalne podniecenie z tego powodu – to się dzieje rzeczywiście. I rzeczywiście rozpoczęliśmy jakąś przygodę, która w stosownym miejscu i czasie, nieoczekiwanie odkrywa kolejne karty i krajobrazy – przestaje wymuszać cokolwiek w tej podróży. Podróż jest również tematem przewodnim tego numeru.

Kończę. Do zobaczenia w kolejnych odsłonach.

PS. Kilka uwag formalnych:

1. Zebraliśmy wszystkie głosy Czytelników odnośnie pierwszego numeru „Koziego-rynku”. Przedyskutowaliśmy je i podjęli decyzje. Jakie, tego domyślicie się czytając niniejsze wydanie.
2. Noty o naszych autorach, o które dopominało się wiele osób, można znaleźć na stronie internetowej pisma.
3. Tematem przewodnim kolejnego numeru będzie ALKOHOL.

Mariusz Bober

KOZIRYNEK

KWARTALNIK KULTURALNY

NR II/JESIEŃ 2007



FELIETONY

Mariusz Bober, Dariusz Magier, Natalia Julia Nowak,
Max Skrzeczowski, Leszek Sokołowski, Adam Wielomski

NA CENZUROWANYM

Promocja pierwszego numeru "Koziegorynku", "Prowincje wschodnie"
Roberta Koncy, Jubileusz Sławy Przybylskiej, Happeningi w Liwie, XII
Międzynarodowe Otwarte Warsztaty Teatralne "Dialogi", XII
Ogólnopolskie Spotkania z Piosenką Autorską "Oranżeria", Liw i
eteryczne pasaże, Co gryzie Tomka Rolko?, Foe, Marcin Dydyna -
Anomalie

ESEJE

Beata Bereza, Jakub Jasiński, Arkadiusz Kulpa, Artur Rogalski,
Tomasz Sobieraj

CHIMERA (WIECZNIE ŻYWA)

Stanisław Wyrzykowski



NOTA BIOGRAFICZNA

Zenon Przesmycki

OPOWIADANIA

Krzysztof T. Dąbrowski, Robert Konca, Beata Magier

MINIATURY

Marek Brand, Artur Judkowiak, **Miejscowa Biblioteka Publiczna**

w Białej Podlaskiej
**DZIAŁ INFORMACJI, BIBLIOGRAFII
I WIEDZY O REGIONIE**
ul. Warszawska 12a
21-500 Biała Podlaska
tel. (083) 343-61-11

REPORTAŻ

Igor Sokołowski

POWIEŚĆ

Andrzej Wielecki

NISZCZARKA

Paweł Głowniak



PREZENTACJE

Maurycy Witkowiak

WIERSZE

Hubert Czarnocki, Zbigniew Dmitroca, Dariusz Dorosz, Jacek Gutry, Andrzej
Kitliński, Iza Koczkodaj, Robert Konca, Ewa Korczyńska, Ryszard Kornacki,
Krzysztof Kwoczek, Krzysztof anin Kuzko, Izabela Staniec-Laskowska, Anna
Nogaj, Natalia Julia Nowak, Magdalena Raczko-Pietraszek, Aleksander Puszkun,
Artur Rogalski, Nestor Sakaczbia, Jędrzej Siwek, Maria Kryńska-Szostak,
Wojciech Szmigon, Adam Świć

ZDJĘCIA

Mariusz Bober, Hubert Czarnocki, Grażyna Hankiewicz, Iza Koczkodaj, Mirosław
Koczkodaj, Ela Kowalik, Przemysław Krupski, Krzysztof anin Kuzko, Mariusz
Lemiecha, Marek Melaniuk, Tomasz Młynarczyk, Janusz Nowak, Magdalena
Raczko-Pietraszak, Artur Rogalski, Tomasz Sobieraj, Igor Sokołowski

KOZIRYNEK

KWARTALNIK KULTURALNY

Redaguje zespół

Mariusz Bober (selekcja)
Przemysław Krupski (skład)
Dariusz Magier (proza)
Adam Świć (poezja)

Kontakt

kozirynek@rasil.home.pl
www.kozirynek.pl

Wydawca

Radzyńskie
Stowarzyszenie Inicjatyw
Lokalnych
Konfraternia Kozirynek
ul. Rynek 9
21-300 Radzyń Podlaski
www.rasil.home.pl

Zdjęcia

© Radzyński Klub
Fotograficzny „Klatka”
www.rkf-klatka.art.pl

ISSN 1897-2365

Druk

AWA-DRUK
Tel. (083) 352 25 91

Tekstów nie
zamówionych nie
zwracamy. Zastrzegamy
sobie prawo do skrótów
tekstów prozatorskich i
zmian tytułów.



Fot. na okładce
Tomasz Młynarczyk

Miniatura na tylnej okładce:
Sceny z życia św. Bonifacego.
Udzielanie chrztu.
Miniatura z XI wieku.



Prezydent Miasta Lublina
Miejski Inspektorat Kultury, Sportu i Turystyki

Stowarzyszenie Pisarzy Polskich
Oddział Lubelski

przyznają

Tytuł

NIESTRUDZONY DLA KULTURY

dla

Redakcji „Kozirynek” z Radzyna Podlaskiego

*Prosimy przyjąć słowa uznania za trud podjęcia wysiłku
wydawania niezwykle efektownego kwartalnika kulturalnego.
Pozostajemy pod wrażeniem doniosłości, wazkości i aktualności
artykułów „Kozirynku”, a także urody szaty graficznej.
Życzymy dalszych satysfakcji z upowszechniania kultury
i niezłomnej wiary, że we współczesnym czasopiśmiennictwie
radzyński „Kozirynek” ma do wypełniania
rolę „Chimery” Zenona Przesmyckiego.*

Prezes Lubelskiego Oddziału
Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

Bernard Nowak

Józef Zięba

Zbigniew Strzałkowski
Zbigniew Włodzimierz Fronczek

Zbigniew Włodzimierz Fronczek

Lublin, 24 listopada 2007 roku

FELIETONY





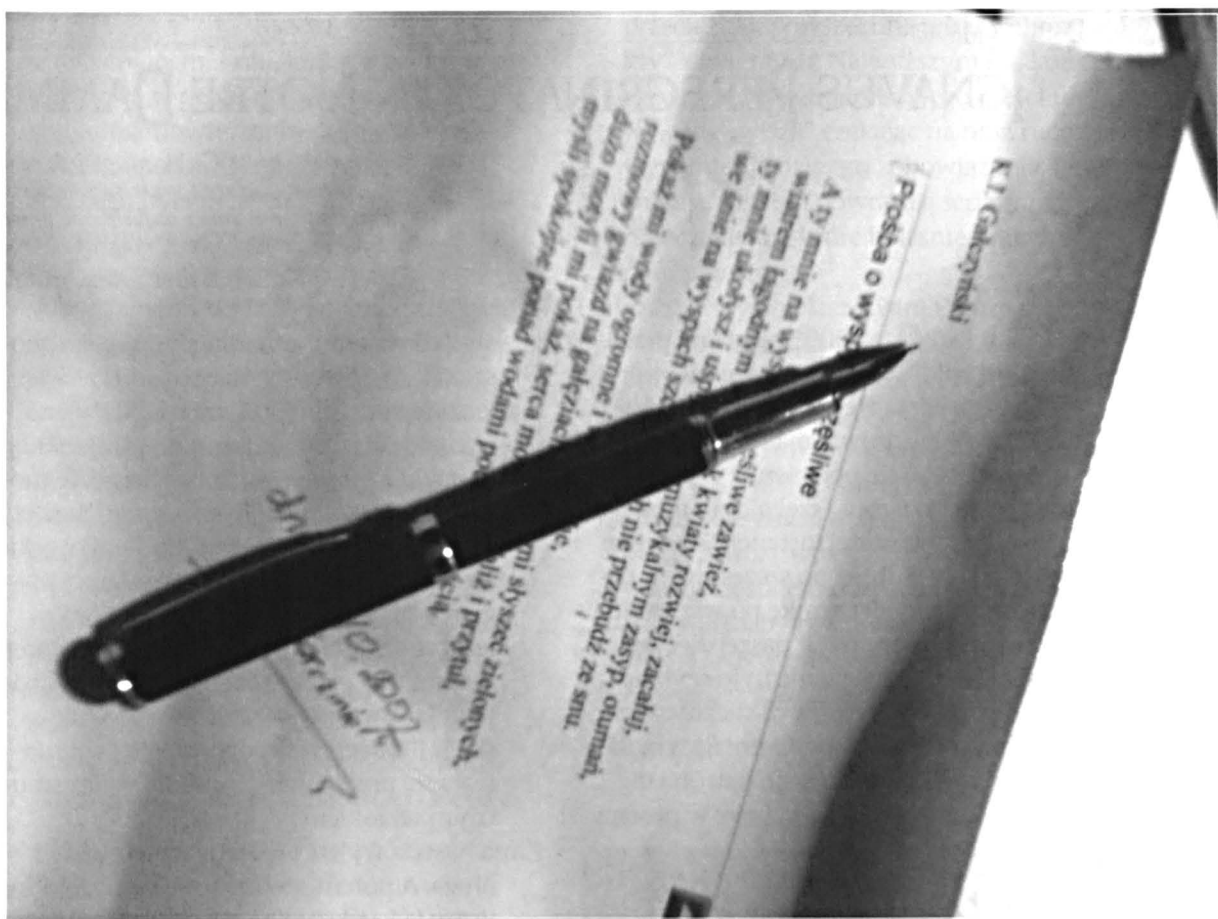
MARIUSZ BOBER

KRÓL DUCH

„GŁOS, KTÓRY POZOSTAJE, GDY ODSZEDŁ JUŻ JEGO WŁAŚCICIEL”

...jak powiedział noblista Josif Brodski. Nawet dzisiaj nie umiem pojąć magii słów i tego, iż człowiek posiada możliwość ich pisania. Niezwyczajnie więcej niż własny podpis i od czasu do czasu świąteczne życzenia. Albo „Do diabła z przesadą (jak poradził kiedyś młodemu Heaneyowi Michael McLaverty). Nie musisz się starać by w twoim długopisie biło tętno”. Z jednej perspektywy jesteś „statystyką” z drugiej zaś „Istota ludzka to kometa spływająca językiem w dół czasu, żadna żyjąca istota taka nie jest”. „Nóż, który leży tam na półce buchało z niego niegdyś znaczenie, jak z krucyfiksu. Był żywą istotą. Ile to lat? Prosiłem go, błagałem, aby się nie zламаł? Znałem na pamięć ostrze z ułamanym szpicem. Linie słojów na rękojeści...” (za Elizabeth Bishop piszącą o doświadczeniu Robinsona Crusoe). Wyrwam z kontekstu te zdania by zapisać rytm i jakoś nacieszyć się słowem. Wbrew pozorom w literaturze tkwi potężna siła, a kiedy się ją poznaje, aż strach pomyśleć jaki reaktor atomowy buduje się za swoim biurkiem. Kit (co za przedziwne nazwisko) pisze: „Włożę do pudełka szelest jedwabnego sari w letnią noc, płomień z nozdrzy chińskiego smoka, koniec języka dotykającego zęba”. I co? Dobrze owszem to jedynie słowne akrobacje ale czasami aż się boję słowa, stwórczej jego możliwości a może i szaleństwa piszącego. Nie, piszący nozdrzami przeczuwa cały ten bezmiar stojąc choćby nad brzegiem morza. W jakiś sposób staje się niebezpieczny zarazem przemożnie silny potwornie silny. W końcu odważny nieustraszony z czasem wolny, zbawiony. Z biegiem tego czasu wybawiony z tego świata. Osiąga szczyt – góry. Wewnętrznie – i od tej chwili zaczyna się jego podróż cielesna. Pisząc choćby jak Krzysztof Koehler „będę się wpisywał potem, potem, w to zdziwienie białe między oczy: los, choć wręczny, musi być przy tobie: w dzień i w nocy.” A z prozy zebranej Roberta Lowella: „Miałem nadzieję pisać wiersze tak

giętkie, jak rozmowa, tak jasne, by słuchacz mógł złowić każde słowo, i... Studia życia są zagorzałą konwersacją, a nie koncertem”. A tu, na rogu Ostrowieckiej przy okienku kiosku przechodzień powiedział „poproszę Wyborczą, papierosy i kartę telefoniczną”. Ulicą przejechał samochód marki ford... i co? Później być może na wieczór autorski przyjdzie garstka ludzi płacąc dwa polskie zgniecione złote by usłyszeć, że życie to zmoczony pampers, boląca głowa, zła zupa, szczeniak na rowerze, albo ujadający pies o trzeciej nad ranem. Albo wredny szczerstwiały chleb na śniadanie albo dębowa herbata pita w pośpiechu rano. Zalegający rachunek na stole albo w mordę dali mojemu dziecku na przerwie w szkole. Była krew i winni. Była karetka i policja. Nikogo więcej. A obok rosły słoneczne nasturcje – nikt nie widział ich piękna w tamtej chwili. Bezbronne – przedziwne, nikt ich nie leje po pysku. Innym razem w Krakowie na słupach widziałem rozliczne plakaty ze zdaniem „Kocham Cię, Aniu”. Płakałem przez chwilę. A on sumiennie naklejał jeden po drugim. Jazgot, zapiszczały opony ciężarówki, rozbiła się miłość o przedni zderzak. Dobrze. Wstęp na wieczór kosztuje 50 złotych – polskich złotych. Stroje galowe obowiązują koniecznie. Będzie darmowa herbata może kawa. Wypiją i pójdą sobie. A ja chciałem przeczytać, że w sklepie stara kobieta zamiast okularów lupy używa by czytać. Nienormalna. Lecz najważniejsza w tamtej chwili wyjątkowa najbardziej nikt inny tak nie czytał jak ona. A oni dumni stali jak pawia ogon. Wiersz powiedział: „Patrz, jak błękitna rzeka, wciąż zbyt daleka i życie twoje, jak filmu zwoje, minie i nie zaczeka.” Kurwa! Ludzie udają, że nie są wulgarni. Figa z makiem, nie przystoi świntuszyć zewnątrz a wewnątrz? Dlaczego więc ludzie chodzą do spowiedzi? Niegrzeczni, figlarni jak też ksiądz wytrzymuje te ludzkie kazania


 Mariusz Bober

wewnętrzne. Podwodne stwory ludzkie. Grzeczni, nieświęci, niewyprasowani, letni. I ludzkie znoszenie kiedy nie lubi się kazania starego kapłana – nie dasz mu przecież do myślenia. A ludzie codziennie gadają zwyczajnie na ulicach w sklepach, domach. W ilu zaś rozmawia się przy obiedzie o dajmy na to zdaniu T. S. Eliota: „Wiersz może przekazywać swoją myśl, zanim jeszcze zostanie zrozumiany”. Dlaczego wygrywa codzienność a nie to co najważniejsze. Zmoczony, śmierdzący pampers. To nie jest dzieło bo dotyka spraw codziennych. Ale niecodziennym byłoby zobaczyć na ścianie choćby zdanie Pabla Nerudy: „Lubię cię, kiedy milczysz, bo jesteś jak nieobecna. A tak daleka i smutna, jak gdybyś umarła. A wtedy jedno słowo, jeden uśmiech wystarczy. I cieszę się cieszę się wtedy, że to nieprawda”. Albo frazy *Entropii* Dereka Mahona: „Zaszywamy się tu w niedostępnych miejscach w gro-

tach, głazach narzutowych, w opuszczonych zagrodach, w splątanych przewodach, w starych samochodach gotujących się na śmierć wśród niezgłębionych mleczy, które są spadkobiercami ziemi”.

Jutro kolejny akt twórczy poświęcony własnemu imieniu i nazwiskiem lista obecności a później anonimowość do zmierzchu potem znaczone ślady do domu a dalej potem może Eliot a może Mahony a może wiersz siostry o pierwszej miłości. Potem ojciec zbyt stary na ludzkie pieszczoty i dziadek zbyt martwy by trzymać na kolanach. Jego długi czas w cukiernicy i pędzel stary. Malarzem był. Świat czasem zatrzymuje się o pełnych godzinach by od czasu do czasu pomodlić się nad zdechłą biedronką ludzie są ważniejsi – rząd mało istotny, zgrzybiały. A moja siostra zaśpiewała, „moja dusza pragnie Ciebie, Panie”...





DARIUSZ MAGIER

OFFLINE

IGNAVUS PEREGRINATOR IN NOTRE DAMME

*Wiedz: przed nikim prócz Ciebie nie pochylę czoła,
Lecz skoro mi niełatwe przeznaczyłeś drogi,
Daj za przewodnika najlichszego anioła,
Pobłogosław mój szkaplerz, ryngraf i ostrogi.*

Adam Danek „Angelofania”

Wiosna roku Pańskiego 2005 niosła na przedramieniu wiklinowy kosz pełen niepewnych dni. Beata źle znosiła ciężę i obawialiśmy się o zdrowie małego Wojtusia rozpychającego się pod cienką warstwą skóry na jej brzuchu. Trzeba było udać się po prośbie do wyższej instancji. Złożyłem przed Bogiem ślub, że po szczęśliwym porodzie odbędę pielgrzymkę po wszystkich sanktuariach maryjnych naszej diecezji. Przyszło lato. Rozwiązanie było szybkie i szczęśliwe, Wojtuś zdrowy i słiczny. Wraz z drugim imieniem, upamiętniającym datę urodzenia, otrzymał silnego patrona (a jednocześnie drogowskaz życia) w postaci

św. Jana Marii Vianneya, słynnego proboszcza z Ars. Nastąpiły cudowne dni powiększonej rodziny. Czas płynął. Zdążyłem jeszcze jesienią wybrać się do przepięknej Bazyliki Mniejszej w Parczewie, gdzie modlitwa zdaje się unosić na anielskich skrzydłach wprost ku sklepieniom neogotyckiej świątyni. Przy okazji pobytu u babci Magierowej odwiedziłem Matkę Boską Kolembrodzką. Najświętsza Panienka, której bizantyjska postać miała przyśnić się królowi Janowi, gdy kwaterował w Królewskich Brodach w drodze na Wiedeń, zdawała się prześwieślać mnie na wylot smutnym wzrokiem.

Zima nastąpiła wyjątkowo śnieżna, mroźna i długa. A potem, stęsknieni wiosny, chłoniliśmy ją każdą wolną chwilą. Nieświadomie niczego, niebacznymi, nie pamiętajacy...

Czarną serię rozpoczął mój dziadek Marian w maju 2006. Wszyscy mówili, że zabrała go ze sobą zaborcza siostra Eugenia z Wybrzeża, która umarła trzy tygodnie wcześniej. Zaraz potem zmarł wuj - mąż siostry mojej babci ze strony mamy. On z kolei w miesiąc później zabrał swoją żonę. Potem zachorowała mama...

Wtedy przypomniałem sobie o niespełnionym ślubie. Całą już piątką, dzięki czemu okazać mogłem Najświętszej Pani naszą najmłodszą latorośl, wybraliśmy się w odwiedziny do matki Bożej Kodeńskiej. Nadburzański Kodeń nas oczarował - ojcowie misjonarze oblaci wykonali tu kawał porządnej roboty tworząc z ugoru istny rajski ogród dla pielgrzymów pragnących ciszy, kontemplacji, namacalnej obecności Boga.

Z dwoma przyjaciółmi odbyłem z kolei jednodzienną pielgrzymkę do Matki Boskiej Gutowskiej, do Górek koło Węgrowa i Gozli-



Gustave Dore, Boska komedia, Niebo, Dante, Beatrycze i niebiański orszak aniołów

na Marińskiego Porzecza. Wróciliśmy zadowoleni, pełni łaski, kipiący Bożą energią. Modlitwa w przepięknym, starym, pokrytym niesamowitymi freskami drewnianym kościele w Gozlinie Marińskim Porieczu była niczym życiodajne tchnienie średniowiecznego Christianitas.

Ślub zakończyłem wspólnie z żoną i dziećmi odwiedzinami u Matki Bożej Leśniańskiej, gdzie ciepłym letnim wieczorem mogliśmy uczestniczyć w wystawieniu Najświętszego Sakramentu i wraz z paulinami modlić się do Niepokalanego Serca Najświętszej Maryi Panny. Módl się za nami, ...się za nami, ...za nami, ...ami - niósł się głos w przyjazny mrok spacerujący po ulicach wyludnionej osady. Potem wracaliśmy zagubioną wśród południowopodlaskich pól szosą, śmiejąc się przy okazji zawracania do rozjazdu, na którym pomyliliśmy kierunki.

Jakże trudno jest przełamać to obrzydliwe, samolubne myślenie wyłącznie o sobie! A

przecież tak powszechne u ludzi „kontrakty” zawierane z Najwyższym nie kończą się wraz z wypełnieniem Jego części umowy. One „wiszą” czekając na nasz ruch, na wypełnienie naszego zobowiązania. I nie znikają. Czasem powracają seriami nagłych nieoczekiwanych, które boleśnie przywracają nam pamięć.

Podróż na raty do Naszej Pani (Notre Damme), którą odbyłem, nie była, Broń Boże, odbębnieniem ślubu. Każda z jej części stawiała się autentycznymi rekolekcjami, które otrzepują człowieka z brudu tego świata i wynoszą ku mistycznej doskonałości. Dlatego ja gnuśny pielgrzym (ignavus peregrinator) wdzięczny jestem, że przywołany zostałem do porządku. Bo naprawdę warto, by rzymski katolik odwiedził kiedyś święte miejsca własnej diecezji. Nawet bez specjalnych ślubów.



IZABELA STANIEC-JASKOWSKA

Wieczór rozbeczał się nad swoim losem;
tuż pod latarnią, na środku kałuży
przykucnął cicho i pociąga nosem:
że ciemno, zimno, że czas mu się dłuży.
A Czas się nie dłużył, a tylko rozszczepiał
na cień kaloszy, wysokich kołnierzy;
wieczór miał chandrę i słuch tępy wlepił
w pomruki, mantry, urywki pacierzy.
Nie próbuj głaskać, bo deszczem usiecze.
I schowaj w kieszeń chustkę wygniecioną.
Z alergią na kurz, sumienie człowiecze
wieczór obmywa dziś wodą święconą



NATALIA JULIA NOWAK

Najcnotliwsza w klasie

Wzrastałam wśród białych różyczek
I pragnę ich czystość zatrzymać.
Nie miałam też nigdy okazji,
By chłopca za rękę potrzymać.

Nie miałam tupetu, by spojrzeć
Głęboko w chłopięce źrenice.
Mam prawo nazywać się lilią
Gdyż wielbię moralne granice!

Nie chodzę na denne zajęcia,
O życiu rodzinnym mówiące.
Umieram z niesmaku, gdy widzę
Panienki sprośnością płonące.

Ślinienie, duszenie rękami...
Nie znoszę miłosnych tradycji!
Wystrzegam się flirtu i brudu,
Gdyż słynę z najwyższych ambicji!

Tak, jestem najczystsza w mej klasie,
Nietknięta jak mgielka poranna...
Choć żyję szesnaście jesieni,
Wiem dobrze, że umrę jak panna!

Niech inni się bawią w romanse,
Niech karmią się nagim obrazem.
Lecz ja jestem śniegiem najbielszym:
Tak czystym i zimnym zarazem!

Zrozumcie: to wszystko nie dla mnie!
Nie szukam przyjaźni, miłości!
Nie będę mieć dzieci, partnera...
Cnotliwość jest źródłem radości!



NATALIA JULIA NOWAK

Najcnotliwsza w klasie

CZERWONA PŁACHTA NA N. J. NOWAK

Teoria lepsza niż test IQ. Istnieje teoria, według której inteligentni ludzie obgadują ideologie, przeciętni - fakty, a głupi - inne osoby. Jeśli chodzi o mnie, potrafię kierować złe słowa przeciwko każdemu z tych tematów. Nic więc dziwnego, iż niektórzy ludzie uważają mnie za niezwykle bystrą, dojrzałą dziewczynę, a inni za kogoś całkowicie niemądrego. Zdarzają się również głosy, według których nie jestem nikim szczególnym w związku z tym nie osiągnę wielkiego sukcesu. Żeby udowodnić, iż każda ze stron ma odrobinę racji, napiszę o kilku sprawach, które bardzo mnie irytują. Aby obgadać ideologie, opiszę fakty związane z ich wyznawcami.

Eutanazja, kara śmierci, aborcja. Odkąd pamiętam, denerwował mnie pogląd, według którego śmierć może rozwiązać jakikolwiek problem. Już jako sześciolatka dziewczynka czułam niesmak, gdy dowiedziałam się o eutanazji mojego ukochanego psa. Oczywiście, rodzina próbowała mi wmówić, że zrobiła to dla dobra nieśczęsnego zwierzątka, ale ja nie podzielałam jej zdania. Nie mogłam zrozumieć, jak śmierć może przerwać czyjekolwiek cierpienie - przecież martwa istota nie czuje żadnej ulgi! Do tego dochodził fakt skrajnego okrucieństwa, targnięcia się na czyjeś życie... To prawda, zwierzęta nie posiadają własnego zdania na temat eutanazji, ale takie praktyki stosuje się również wobec ludzi. Jak można życzyć komuś śmierci, nawet, jeśli on sam o nią prosi? Czy porządny człowiek mógłby chcieć, aby ktoś inny umarł? Te same pytania zadaję sobie, słysząc o karze śmierci. Uważam, iż wyrok dla mordercy powinien być nie kończąca się pokutą, umartwieniem. Tymczasem kara śmierci to kara na krótką chwilę. Wyobraźmy sobie taką sytuację: Iksiński zabił jednego człowieka i trafił do więzienia na dwadzieścia pięć lat, natomiast Igrekowicz zabił dwie osoby i został skazany na dziesięć minut w komorze gazo-

wej. I gdzie tu jest sprawiedliwość?!

Dorzućmy do tego fakt, iż kara śmierci uniemożliwia zbrodniarzom nawrócenie (bo tak się składa, że przemiany duchowe zachodzą nieraz bardzo powoli). Oczywiście, zwolennicy kary śmierci twierdzą, że mordercy dobrze wiedzieli, jakie konsekwencje im grożą. Ale w przypadku nienarodzonych dzieci jest zupełnie inaczej. Przecież one nie popełniły żadnego grzechu, są absolutnie czyste i niewinne! Dlaczego niektóre matki decydują się je zabić?! Nie ma takiego dziecka, które odpowiadałoby za to, że znalazło się w czyimś brzuchu (nawet, jeśli ojciec był gwałcicielem). Poszukując informacji na temat aborcji, trafiłam na kilka stron internetowych, prowadzonych przez feministki. Ale to temat na następny akapit.

Feminizm. To słowo wywołuje we mnie takie odczucia, jak wyraz „Voldemort” w społeczeństwie z Harry'ego Pottera. Kojarzy mi się z zادیornymi babami, które wyrzucają na wierzch własną seksualność i dyskryminują facetów, twierdząc, że jest odwrotnie. Nie podoba mi się, że wyznawczynie tej ideologii chcą, aby kobieta mogła się swobodnie puszczać (po zastosowaniu tabletek antykoncepcyjnych), a jednocześnie walczyć z pornografią. Bo niby przedstawia ona płeć piękną jako bezmózgie obiekty seksualne. Przepraszam bardzo, przecież to głoszenie dwóch skrajnie różnych poglądów! George Orwell (skądinąd mężczyzna) nazwałby to „dwójmyśleniem”. Jeśli jesteśmy już przy temacie facetów - na niektórych stronach feministycznych można znaleźć złośliwe teksty, które sprowadzają ich do rangi podludzi (To nie żart! Według jednego z artykułów, kobiety są „nadistotami”, a mężczyźni „podistotami”!). Płeć silna jest w nich obrażana, wyśmiewana, odzierana z wszelkiej godności. Widziałam również kilka rysunków wykonanych rękami



Janusz Nowak

feministek. Obrazki te są tak ohydne i straszne, że lepiej w ogóle ich nie opisywać. Muszę przyznać, że nie wiem, o co walczą kobiety, nazywające siebie feministkami. W całym moim życiu (a żyję od 19 lutego 1991 roku) zetknęłam się jedynie z dyskryminacją mężczyzn. To właśnie im nie wolno okazywać słabości, strachu, nosić sukienek, malować się (wystarczy pomysleć o kpinach z wokalisty Tokio Hotel!), płakać w miejscach publicznych. Jeśli kobieta wykonuje męski zawód (np. jest kaskaderem), zyskuje miano bohaterki. Ale facet, zajmujący się kobiecymi sprawami (np. przedszkolankę), spotyka się z niezrozumieniem obserwatorów. Kolejna sprawa: kiedy małżeństwa się rozwodzą, prawo do opieki nad dziećmi otrzymują prawie wyłącznie matki. Przecież to jawna niesprawiedliwość! Najdziwniejsze jest to, że feministki uważają się za niezwykle silne i waleczne, ale służby wojskowej unikają jak ognia. Ech, zapuściłam się daleko, krytykując ich światopogląd. Jednak nie będę ukrywać: jeszcze nigdy nie widziałam, by kobieta była kierowcą

autobusu. Czyżby to była prawdziwa dyskryminacja?!

Zakończenie. Popieranie zabijania i feminizm to tylko szpic góry lodowej, którą można by nazwać „czerwoną płachtą na N. J. Nowak”. Istnieje jeszcze wiele rzeczy, nadwerężających mój układ nerwowy - rozhukana młodzież, wulgarno-seksualne żarty, poniżanie Mandaryny i ojca Rydyzka, strajki lekarzy, przypisywanie wzystkiego masonerii... Mam nadzieję, że zwróciłam Państwa uwagę na dwa niebezpieczne zjawiska, które w pewnym momencie zaczynają się przenikać. Na koniec napiszę bardzo prosto. Żywym życie, śmierć śmierci. Bogu co Boskie, diabłu co diabelskie, kobiecie co kobiece, mężczyźnie co męskie. Jeśli każdy człowiek będzie wiedział, gdzie jest jego miejsce, unikniemy zbędnego chaosu i nieporozumień. Wówczas świat stanie się piękniejszy.



MAX SKRZECZKOWSKI

ROZWAŻANIA PODRÓŻNE

Jestem wagabundą. Po świecie podróżuję od kilkunastu lat, jednak dopiero kilka lat temu zastanawiając się kim jestem doszedłem do przełomowego odkrycia. Nie jeżdżę z przymusu czy obowiązku, lecz pchany wewnętrzną potrzebą odkrywania. Podróżuję, bo jestem ciekawy świata. Chcę go poznać i zrozumieć. Byłem zaledwie w blisko trzydziestu krajach, na świecie jest ich ponad sto dziewięćdziesiąt (każdego dnia może powstać lub zniknąć jakiś kraj). Nie zależy mi, by iść na ilość, zaliczyć kolejną podróż, zwiększyć statystykę, nie o to w tym wszystkim chodzi.

Obserwator świata. Pewne przygody sprzed lat stają mi przed oczyma jak zatrzymane kadry przygodowego filmu. Tyle, że to ja jestem głównym bohaterem i w przeciwieństwie do bajek nie mam gwarancji, że wszystko dobrze się skończy. Życie jest nieprzewidywalne i nie szczędzi tych, którzy wychodzą na spotkanie nieznanego. Nie mam ochronnego kombinezonu ani świetlnego miecza. Jedyna moja obrona to instynkt samozachowawczy i zdrowy rozsądek, choć czasem to nie wystarcza. Na Ukrainie, jako międzynarodowy obserwator wyborów prezydenckich, odkryłem tajemnicę „martwych dusz” w jednym z obwodów, nie zaplombowaną urnę, jadłem chleb ze smalcem w dwudziestostopniowym mrozie słuchając opowieści pobitego opozycjonisty na kijowskim Majdanie. W Charkowie piękna Natasza, członkini jednej z komisji, gdy odjeżdżałem rzuciła mi się na szyję, prawie dusząc wycalowała i wręczyła pomarańczowy szalik. Przydał się nie tylko wtedy.

Ślonie, robaki i narkotyki. Przemierzając na słoniu tajską dżunglę, miejsca, gdzie każdy inny środek transportu zawodzi, zbliżałem się do „złotego trójkąta opium” na granicy z Laosem i Birmą, gdzie nawet wojska rządowe wkraczając giną bezpowrotnie. Jadłem też chrząszcze, szarańczę, gąsienice, poczwarki a także skorpiony rzecz jasna, że nie na surowo. W innym zaś miejscu

jadłem rzekomo kurczaka. Jednak do dziś się zastanawiam, dlaczego miał tak wyjątkowo drobne kosteczki. Przekraczając tajsko-malezyjskie przejście graniczne musiałem wyjątkowo uważać. Chodzą słuchy, że częstą praktyką jest tam podrzucanie turystom do bagażu narkotyków, aby później za olbrzymie pieniądze wykupowali swe życie, gdyż za takie przestępstwo obowiązuje tam kara śmierci. Mnie dzięki wyjątkowej czujności udało się. Później na południu w Malezji, siedem stopni nad równikiem, klimat tropikalny z ciągłymi deszczami, gigantyczną wilgotnością, upałem bez słońca oraz wykańczającą mrozną klimatyzacją, hotel bez okien i



Marek Melaniuk

psychotropowe leki antymalaryczne (wycofane w większości krajów Europy ale nie w Polsce). Wszystko to spowodowało, że jedyną rzeczą jakiej pragnąłem, to wyłączyć na Ojczyzny łonie (jeszcze nie na łonie Abrahama mam nadzieję, że to będzie mi dane nie tak szybko).

Szczury, małpy i szaman. W Indiach kilka razy wyprzedziłem atak złodzieja; w świątyni szczurów, gdzie były ich tysiące, a chodzi się boso, jeden mnie ugryzł, jednak dość delikatnie. W Varanasi trędowny odepchnął mnie w ostatniej chwili, gdy pędził ulicą wprost na mnie wielki byk. Nad Gangesem widziałem z bliska ceremonię kremacji, jednak, gdy zmienił się wiatr, moje oczy, nos i usta były pełne dymu z trupimi molekułami. Na dachu guest house-u zaatakowała mnie małpa - szczęśliwie uniknąłem pogryzień. O braku higieny można by napisać kilka doktoratów, ale na miejscu wyboru nie było. Kto wie, ile razy dzięki szczepionce przeciw żółtacze A i B uniknąłem tej strasznej choroby, a ile razy otarłem się o inne dużo gorsze? Pod Jaisalmerem w pociągu takim samym jak te spalone pokazywane w telewizji, gdzie pieką się setki pasażerów, zachorowałem na przedziwną odmianę bakteryjnego zapalenia gardła. Gdy odwiedziłem ulicznego szamana - lekarza biodyty, który przy pomocy pęku pawich piór i mantr sprzed ponad trzech tysięcy lat wysysał ze mnie złe moce. Do dziś nie rozumiem, dlaczego po tej wizycie dostałem czterdzieści stopni gorączki. Do dziś także zastanawiam się czy uratował mi on życie, czy doprowadził na skraj grobu? Wezwany „profesjonalny” doktor sześć kilometrów jechał (nie wiem czemu) dwanaście godzin. Może zablądził na pustyni, skąd bliżej do Islamabadu i Kabulu niż do Berlina i Paryża. Jego farmakologiczna interwencja postawiła mnie na nogi po kolejnych dwunastu godzinach, lecz wcześniej, mającąc w gorączce, leżąc pod trzema kołdrami byłem przekonany, że umrę. Nigdy w dorosłym życiu nie byłem w takim stanie.

Co nie zabija wzmacnia. Jest powiedzenie: „co mnie nie zabije to mnie wzmocni” całkowicie się z tym zgadzam. Trzeba uważać, aby nie narażać się na zbyt duże ryzyko, jednak jak je rozeznaczyć? Kiedy przed

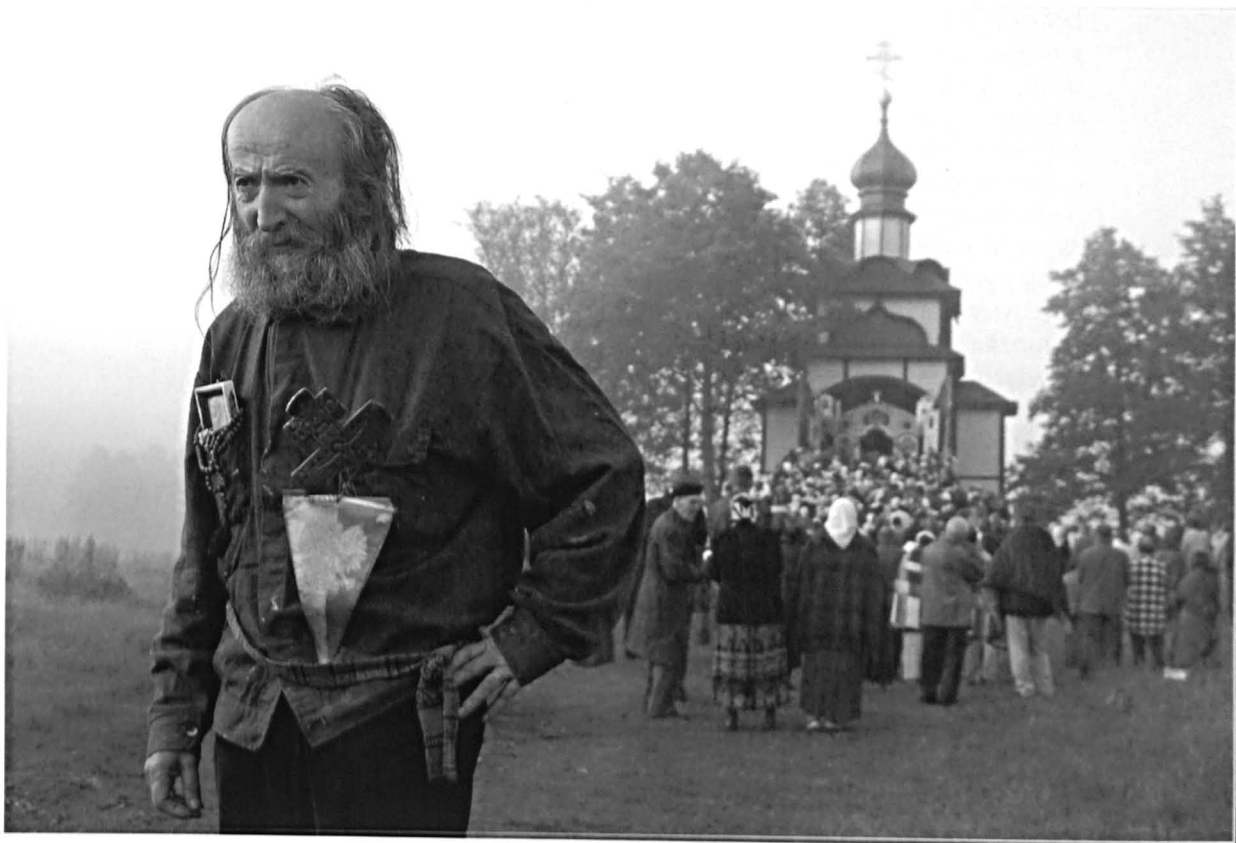
wyjazdem do Wenezueli dowiedziałem się, że Ministerstwo Spraw Zagranicznych odradza wyjazdów ze względu na powódź, w komunikacie czytałem: „...setki ludzkich ciał rzeka wyrzuca każdego dnia...”, zrezygnowałem z wyjazdu. Z Indii wyjechałem kilka dni przed tsunami. W Tajlandii na jednej z wysp zginęło sześćset osób, byłem tam kilka lat wcześniej. Do dziś wspominam uśmiechniętych tubylców sprzedających naleśniki z bananami i polewą czekoladową. To właśnie tam pierwszy raz jadłem świeżego rekina, w porcie pozostawiałem do zdjęcia z marlinem, mniej imponującym niż ten od Hemingwaya, to tam kupiłem kopie obrazu Eduarda Maneta i w długim rulonie przywiozłem ją do Polski... Wszyscy zginęli i gdybym tam był, żadną siłą nie ocalałbym życia. Rozważając wyjazd do Nepalu, po informacji o przewrocie zbrojnym obalającym rząd, zniechęciłem się do podróży w tamte strony. Wyjazd do Kaszmiru także nie zapowiadał się bezpiecznie - zrezygnowałem.

W zasięgu rakiet. Konflikt Izraela z Libanem, a właściwie Izraela z Hesbollahem, interesował mnie z perspektywy widza siedzącego w wygodnym fotelu przez szklany ekran - oko na świat. Oko wyjątkowo bezpieczne, lecz niestety coś za coś o zawężonym horyzoncie i perspektywie widzenia. Kilkanaście dni później wraz z żoną (zaledwie od kilkunastu godzin) wylądowaliśmy na Bliskim Wschodzie. Zwiedzaliśmy amfiteatr w Ammanie, gdzie wcześniej jordański desperat ostrzelał grupę turystów, gdzie sześć osób dosięgły kule jedną śmiertelną. Zadziwiające jest, jak w takich miejscach niewyczuwalne jest niebezpieczeństwo. Bałem się będąc w domu. Na miejscu optyka widzenia zmienia się, człowiek nie myśli o strachu. Nic nie zwiastuje niebezpieczeństwa. Może ono nadejść niespodziewanie, jak nagły wiosenny deszcz. Nie da się go uniknąć, można jedynie liczyć na Boską Opatrzność. W Syrii telewizja agituje i nawołuje makabrycznymi obrazami. Na ulicy bojówkarz z wyrzutnia rakiet na ramieniu zagrzewa do walki. U jego stóp stos czaszek w hełmach z gwiazdą Dawida. Szczęśliwie, że to wszystko tylko na plakatach, ale niepokój i

wrogość czuć przez skórę. Trzeba być czujnym, jeśli się jest w zasięgu rakiet Hesbollahu. Ale czy w Europie lub w Ameryce jest bezpiecznie?

Świat w całej gamie barw. Podróżuję, bo pragnę na własne oczy zobaczyć świat w całej gamie barw i półtonów. W zmienności źródeł światła, nie zaś jednostronnie, fragmentarycznie, przerysowany i sztucznie zabarwiony cudzymi poglądami czy propagandą. Im więcej widzę, tym więcej rozumiem, ale ciągle zdaję sobie sprawę jak wiele aspektów nadal pozostaje dla mnie nieosiągalnych, niepojętych. Interesuje mnie prawda, realność, nie zaś fałsz, iluzja czy półprawda. Dochodzenie, czy poznanie prawdy nie zawsze jest łatwe czy przyjemne. Świat jest niezwykle złożony, zresztą każdy ma swój świat i swoją perspektywę jego postrzegania. Mój świat nieustannie się rozszerza, nie jest on jednoznaczny i poukładany, pełno w nim cierpienia i niesprawiedliwości, ale i radości, wiary i nadziei.

Puste miejsce. Nie trzeba jeździć w odległe krańce naszej planety, aby poznawać i odkrywać zjawiskowość świata - uczyć się go. Jego poznawanie to nie tylko kolejne punkty odniesienia na zewnątrz, lecz przede wszystkim kształtowanie samego siebie, swych upodobań, wrażliwości czy potrzeb. Mówi się, że podróże kształcą i jest to prawda. Jednak ja myślę, że podróże kształtują kształtując osobowość. Podróżując ulegam ciągłym zmianom. Nie sposób stać w miejscu, bez ruchu, być niezmiennym. Mimo to trudno pokonywać schematy własnego myślenia, czasem bywa to bolesne, bo aby powstało coś nowego, trzeba zniszczyć to, co stare. Bywają momenty, że człowiek pozostaje z pustym miejscem po stereotypie, który rozpadł się jak domek z kart. Czym je zapełni, zależy tylko od niego.





KRZYSZTOF KWOCZKO

*Albowiem piękno jest tylko
przerażenia początkiem, który jeszcze znosimy
z takim podziwem, gdyż beznamiętnie pogardza
naszym unicestwieniem.*

R. M. Rilke

zapewniam cię bracie
że pomimo tej całej hysterii wszczynanej
przez nadwrażliwych miłośników prozy stasiuka
bieszczadzkie anioły i siekierzadę
można się jeszcze w bieszczadach normalnie zakochać
zwłaszcza w sklepowej z wetliny
ze sklepu spożywczego naprzeciwko kościoła
gdzie przepłacać będziesz za piwo leżajsk
wodę mineralną i kartkę pocztową
z połoniną i napisem tu byłem
(choć jeden miejscowy
- sprzedawca używanych martensów -
zapewniał mnie że ma tu na wino bieszczady
własną taryfę ulgową i własną kartkę w zeszycie)
więc uwierz mi bracie
że można się tu normalnie zakochać
i nawet zapewniam cię bracie
będziesz jeszcze śmiertelnie zazdrosny
gdy jeden z miejscowych poprosi
sklepową by mu w zeszyt zapisała
wino marki bieszczady piwo leżajsk
czy bochenek chleba
(zapewne kolejny raz
nadużywając jej zaufania
zapewne kolejny raz ryzykując
swoją życiową ulgową taryfę)
więc wierz mi bracie
że można się zakochać w bieszczadach
choćby w sklepowej ze sklepu w wetlinie
i wiedz że będzie ci wstyd że nie pracujesz na zrębie
że nie masz u niej własnej kartki w zeszycie
że ci nie ufa sklepowa ze sklepu naprzeciwko kościoła
i wyjedziesz upokorzony przepłacając po drodze
za podkoszulek z napisem
kocham bieszczady



JĘSZEK SOKOŁOWSKI

NAWET MYSZ MOŻE DOSTAĆ KOTA

ODCIENIE I BARWY PODRÓŻY

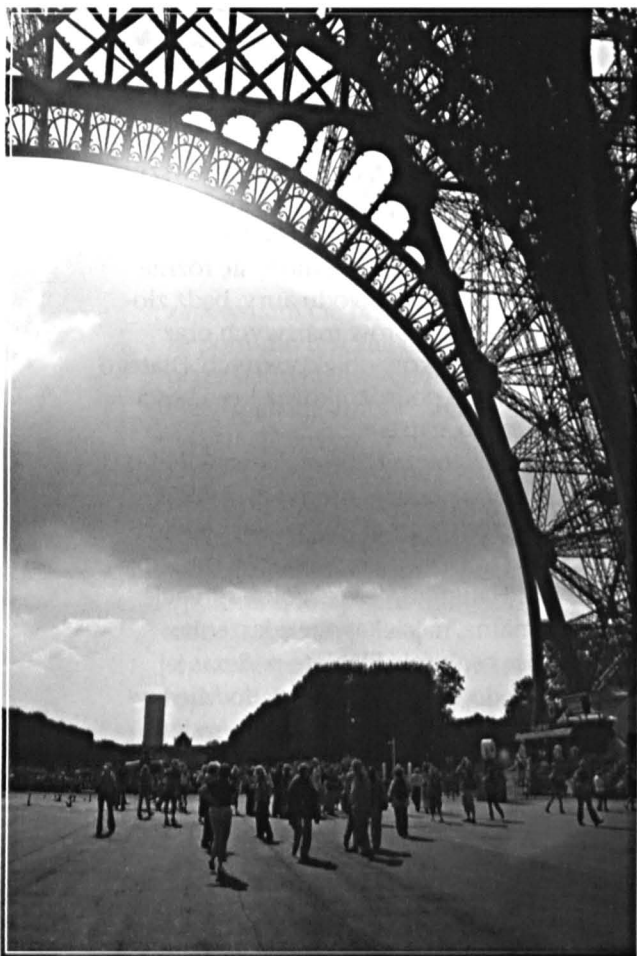
Podróżnicy przemierzający ziemię i odkrywający nowe szlaki to niezwykli ludzie. Dla nich realny czas nie istnieje, jest miarą ich podróży, gdyż niosą w sobie nadzieję na spełnienie własnych oczekiwań i odkrywanie nowych dla potomności.

Co jest takiego niezwykłego w przemierzaniu się? Czy inaczej czas płynie, jeżeli stoimy w miejscu? Dlaczego zmieniający się krajobraz z okna pociągu, czy samochodu pobudza naszą wyobraźnię, podnosi adrenalinę, uzależnia? A nie lepiej to w domu, przy piecu z książką Elżbiety Dzikowskiej? Albo przed telewizorem z pilotem w ręku przedzierać się przez dżungle i przemierzać sawanny z Dawidem Attenborough, bądź z Wojciechem Cejrowskim w różnych konfiguracjach, ale raczej na

wesoło? Same plusy, taniej i przede wszystkim bezpieczniej. Zdajemy sobie przecież sprawę, że każda podróż, nawet taki epizod jak wyjazd na majówkę, może się różnie zakończyć, a to z powodu aury, bądź złośliwości przedmiotów martwych oraz innych czynników obiektywnych. Dlatego zawodowych podróżników z krwi kości jest tak mało, garstka.

Wspomniana Elżbieta Dzikowska na wielu spotkaniach podczas promocji swoich książek często i gęsto pytana jest o wiele szczegółów ze swoich podróży z mężem, Tonym Halikiem, o szczególne sytuacje ekstremalne, najciekawsze zdarzenia. Poznając osobście Elżbietę podczas jej podróży do własnych źródeł, do Między-





 Ela Kowalik

rzecz Podlaskiego i okolic, jedno pytanie cisnęło mi się na usta, jedno fundamentalne pytanie: co sprawia, że nieustannie jest w podróży, czy to sposób na życie? Nie zadałem jej tego pytania i na pewno nie zadam, gdyż zaprzyjaźniając się z nią, rozmawiając na wiele tematów podczas różnych okazji dostałem pełną odpowiedź. Otrzymując od niej kartki pocztowe z Indonezji, Mongolii czy Paryża zawsze widzę jej uśmiechniętą twarz, życzliwe oczy i słyszę pełen temperamentu głos. Taka jest przy każdym spotkaniu z ludźmi, podczas gali, gdzie honorowano ją odznaczeniami i na zwykłym spotkaniu w szkole z dziećmi. Uśmiechnięta, pełna energii i życzliwości, bezpośrednia w obcowaniu. Tak, podróżowanie jest dobrym sposobem na życie, jeśli dzielimy się z innymi owocami tych podróży.

Zastanawiając się nad istotą podróżowania

jawią mi się różnorodne jego formy. Powtarzając starą prawdę, że podróże kształcą poprzez poznawanie historii miejsc i nowych ciekawych ludzi, chcę przytoczyć doskonały przykład mojego wyjazdu tego roku do Krynicy Górskiej. Podczas pobytu w tym uroczym kurorcie całkiem przypadkiem trafiłem na spotkanie z podróżnikiem, pisarzem i historykiem panem Zbigniewem Święchem, nota bene członkiem ekskluzywnego Explorer Klubu z siedzibą w Nowym Jorku. Polskiemu oddziałowi prezesuje Marek Kamiński, zdobywca obu biegunów, a wiceprezesem jest Elżbieta Dzikowska. Ten interesujący człowiek podróżuje w czasie, penetruje historię, a właściwie odkrywa ją dla nas na nowo, gdyż jak powiedział: w każdej podróży nie ma nic stałego. Jego cykl książek pod tytułem *Kłątwy, mikroby i uczeni* zyskały mu międzynarodową sławę i wprawiły w zakłopotanie niejednego historyka. Odsyłam do lektury i polecam szczególnej uwadze pozycje *Wilenska klątwa Jagiellonczyka* oraz *Ostatni Krzyżowiec Europy*, rzecz o dalszych, tajemniczych losach króla Władysława III Warneńczyka po bitwie pod Warną. Brzmi co najmniej ciekawie, prawda?

Te dwa przykłady, jako synonimy podróżników, odkrywców jawią mi się jako idealny ale niepełny obraz bez wspomnienia o Ryszardzie Kapuścińskim. O swojej ostatniej książce *Podróż z Herodotem* napisał m.in. „A podobnie jak kiedyś pragnąłem przekroczyć granicę w przestrzeni, tak teraz fascynowało mnie przekraczanie w czasie”. Niezwykła podróż niezwykłego człowieka.

Na koniec nie mogę się powstrzymać, żeby nie przytoczyć ulubionego mojego podróżnika, który z każdej przygody wyciągał słuszne wnioski. Mowa o dzielnym wojaku Szwajku i jego słynnej budziejowickiej anabasis. Bo jak mawiał Szwajk: maszerując wciąż naprzód bez wiadomości topograficznych, można dokonywać istnych cudów. Czego Tobie drogi czytelniku z całego serca życzę.





ADAM WIELOMSKI

OKIEM NEOWIEŚNIAKA

WYKSZTAŁCIUCH NA WAKACJACH

W ostatnim numerze „Koziegorynku” zapowiedziałem, że będę bezustannie monitorował środowisko wielkomiejskich „wykształciuchów” i opisywał ich dziwactwa dla nas, wieśniaków z urodzenia i tzw. neowieśniaków, czyli tych, co to niby z pochodzenia miastowi, ale w mieście ani nie mieszkają, ani się z nim nie utożsamiają. Minęły właśnie wakacje, a więc warto przyrzeć się jak ludzie miastowi podróżują i jak spędzają w tychże podróżach czas. Co ich interesuje, co oglądają, a czego ani nie widzą, ani nie rozumieją. Znany krytyk wykształciuchowskich doktryn i nauk Oswald Spengler zauważył kiedyś, że historyczne znane nam społeczeństwa dzielą się w swoim dziejowym rozwoju na tzw. kulturę i cywilizację. W języku Spenglerowskim „kultura” to taki stan, gdzie energia ludzka koncentruje się do wewnątrz. Ludzie kultury mają przeto skłonności do kontemplacji, do troski o swoje cnoty moralne i te wartości przedkładają ponad karierę, zysk i nagrody w wyścigu szczurów. Z kolei ludzie „cywilizacji” są duchowo puści, dlatego ich energia nie może kulminować się w ich wnętrzu. Z tego też powodu dają jej upust na zewnątrz. Dlatego tak ważna jest dla nich kariera, zysk, ruchliwość.

W kategoriach Spenglerowskich wielkomiejski wykształciuch bez wątpienia jest człowiekiem z epoki późnej cywilizacji, którego aktywność jest wyłącznie zewnętrzna. Modelem idealnym takiej postawy jest tzw. japiszon (yappi).

Pojawia się przeto pytanie, jak bycie człowiekiem „cywilizacji” wpływa na sposób podróżowania wykształciucha?

Należy przede wszystkim zauważyć, że wykształciuch z natury chętnie podróżuje, przeprowadza się i zmienia miejsce swojego pobytu. Pcha go do tego przede wszystkim ciekawość, a także banalny fakt natury biologicznej. Wykształciuch mieszka w mieście, czyli w świecie betonu, asfaltu i płyt chodnikowych. Żadna roślina nawet ludzka nie jest zdolna zakorzenić się w płycie betonowej. U mnie w lesie leży taka

porzucona przez jakichś barbarzyńców z miasta wielka płyta betonowa. Nie rośnie tu ani jedna roślina. Owszem, za ileś lat na płycie tej osiadą grudki ziemi i możliwe stanie się tam zakorzenienie się jakiś zielonych roślinek. Ale zakorzenienie to zawsze będzie słabe i takie być musi, bowiem jeśli tylko roślinka wzrośnie i będzie próbowała głębiej wypuścić korzonek, to natknie się na beton.

Ta roślinka, która kiedyś wyrośnie na betonie, to idealny obraz rośliny ludzkiej. Tak żyje homo miastovus, czyli typ człowieka powstały w wyniku psychicznej inwolucji od człowieka ku istocie zdepersonalizowanej i jakby to powiedział stary Marks - od-



Hubert Czarnocki



📷 Iza Koczkodaj

człowieczonej. Homo miastovus nie zakorzenia się, lecz wegetuje na miejskiej płycie lub popularnej kostce Bauma. Jeśli tylko nie jest nazbyt wielkim leniuchem, to chętnie odrywa się od swojej rodzimej płyty i wyjeżdża w podróż.

Niech Pan Bóg broni, abym odradzał komukolwiek podróżowanie! Wprost przeciwnie, w epoce przedwyszkolciuchowskiej podróż po Europie była naturalnym etapem nabycia wykształcenia i oglądy przez każdego młodego panicza z tzw. dobrego rodu. W towarzystwie guwernera zwiedzał on wtedy Paryż, Rzym, Wiedeń, podziwiał budowle Wersalu i Zamki nad Loarą, zwiedzał mury Carcassonne i modlił się w katedrze w Strasburgu; przechadzał się ogrodami Schunbrunnu i moczył nogi w fontannach Rzymu. Po drodze kupował książki i zwiedzał starożytne budowle. Wprawdzie czasem też trafił to jakiegoś zamtuza, ale pomińmy to milczeniem. Taka słabość ludzka. Ot co.

Młody panicz z dobrego domu zwiedzał Europę. Ale warto zaznaczyć jedną rzecz:

było to uważane za uzupełnienie i dokończenie jego edukacji. Dziecko nauczyło się łaciny, liznęło grekę, konwersuje po francusku i włosku, zna na pamięć Homera i Tacyta; czytało Szekspira, Rabelais'go i Montaigne'a; cytuje z pamięci wersety z Pascala i św. Tomasza. Na lekcjach historii poznało dzieje swojego kontynentu; jego wyobraźnię rozpalają opisy bitew i architektury wielkich miast. Słowem, młody człowiek wybiera się na roczną przejażdżkę po Europie po to, aby na własne oczy zobaczyć to, czego uczył się przez całe dzieciństwo. Edukacja uczyniła go dziedzicem Cywilizacji Zachodu - teraz pojechał, aby tę cuda Zachodu zobaczyć własnymi oczami, aby przejść się uliczkami Montmartre, Dzielnicy Łacińskiej, zobaczyć Piazza Navona i zanurzyć rękę w fontannie di Trevi, a potem - na sam koniec - zobaczyć boskie wybrzeże Santa Lucia i móc kiedyś umrzeć mogąc sobie powiedzieć: „Widziałem geniusz człowieka Zachodu”.

I tu właśnie jest przepaść między podróżą panicza a wyszkolciucha. Panicz jechał, aby podsumować i unaocznic swoją edukację, podczas gdy wyszkolciuch jedzie, aby dopiero ją zacząć. Wyszkolciuch przecież nie zna ani łaciny, ani greki, ani francuskiego, ani włoskiego. Zwykle nie zna żadnego języka, ewentualnie dialekt handlarzy bawełny znad Tamizy. Wyszkolciuch nie czytał, a jedynie słyszał o Homerze i Tacycie. Tego pierwszego uczono go nawet w szkole. Wyszkolciuch nie czytał Szekspira, ale oglądał dwie jego sztuki w Teatrze Telewizji; Rabelais'go i Montaigne'a nawet nie zna ze słyszenia - wszak nie było z nimi żadnego wywiadu w „Gazecie Wyborczej”. Pascal też nie jest mu znany, gdyż nie gości w programie u Moniki Olejnik. Jedynie św. Tomasz jest lepiej zbadany - wyszkolciuch wie, że nie należy go czytać, gdyż to „jakiś klerykał”.

Czy więc wyszkolciuch zwiedza? Tak, tego nie można mu zaprzeczyć. Występuję owo zwiedzanie nawet w dwójakiej formie. Forma pierwsza to wycieczka zorganizowana. Widok to przedni. Wyobraźmy sobie klimatyzowany autokar pełen wypasionych wyszkolciuchów z browarami w ręku. Wjeżdża - dajmy na to - do Rzymu. Staje na Piazza di Popolo. Wyszkolciuchy wysia-

dają. Przewodnik przez 10 minut mówi im co to za plac, potem wskazuje na dwa kościoły na południowej stronie, każe zrobić pamiątkowe zdjęcia. Wycieczka jedzie dalej, pod fontannę di Trevi. Znów 5 minut wykładu, potem zdjęcia, potem każdy wrzuca monetę do wody z myślą, że tu wróci. Wykszałciuchy jadą na Forum Romanum. Tu wchodzi na forum, przewodnik ma 5 minut przemowy przed każdym kamieniem i wykszałciuchy przemykają się do Koloseum. Tu pamiątkowe zdjęcie, zawrotka, jeszcze Ołtarz Ojczyzny, wasy Wiktora Emanuela, jeszcze patrzą w prawo na balkon Mussoliniego, zdjęcia, jeszcze schodkami na górę na Kapitol, zdjęcia; tu 10 minut mowy przewodnika, zdjęcia, jeszcze zajrzeć do celi św. Pawła, pamiątkowe zdjęcie. I RZYM ZWIEDZONY! Zaliczony, można skreślić z mapy „miasta do zaliczenia” miasto Rzym!!!

W drugiej wersji wykszałciuch przyjeżdża sam, bez przewodnika. Jedzie do Rzymu wiedząc, że jest tam „dużo zabytków” i z przewodnikiem pod pachą. Uwaga! Wykszałciuch nigdy nie czyta przewodnika przed przyjazdem. Dlatego dobre przewodniki zapewniają tzw. zwiedzanie krok po kroku, gdzie wykszałciuch ma wytyczoną do zwiedzania ulicę po ulicy.

Nie ma wątpliwości, że w wersji nr 2 wykszał-

ciuch zobaczy i zwiedzi więcej. Tym niemniej trudno oprzeć się wrażeniu, że wjechał do obcego mu miasta. Obce jest użyte tu nie tylko w znaczeniu „nieznane”. To miasto jest mu autentycznie obce, gdyż nie zna historii tego miasta, historii tego kraju, historii tej (a więc i jego) cywilizacji. Pamiętajmy bowiem, że przeciętny wielkomiejski wykszałciuch ma wyłącznie kwity i dyploma potwierdzające jego wykształcenie, zaliczone egzaminy, absolutorium, napisaną i obronioną pracę magisterską. Ale poza swoją wąską specjalnością jest absolutnie pozbawiony edukacji. Jest natomiast, który patrzy na Porta Nigra w Trewirze oczami Huna Attyli.

To wyjaśnia nam, dlaczego wykszałciuchy tak snobują wyjazdami do Chin, Indii, Nepalu, Australii, Tanzanii i Meksyku. Przecież Zakazane Miasto w Pekinie czy Piramida Słońca na Jukatanie są mu tak samo cywilizacyjnie obce jak Rzym i Paryż. Jak się nie rozumie co się zwiedza, to przyjaciółom-wykszałciuchom można tylko opowiedzieć, jak długo się tam jedzie...



ALEKSANDER PUSZKIN

Jesień (fragment)

Tyś najsmutniejszą z pór, a zachwyt budzisz we mnie.
 Podoba mi się ten twój pożegnalny czar,
 Twój powab, pierwsza z dam - jesieni - co, choć wiedziesz,
 To lasy stroisz swe w czerwonożłoty szal.
 W koronach drzew gra wiatr i mgieł oddechy ciemne
 Niebiosa kryją wciąż jak stado chłodnych fal.
 I słońca rzadki błysk. I pierwszych mrozów szrony.
 I zimy groźby złej, choć jeszcze oddalone.

(przekład Adam Świć)

NA CENZUROWANYM



DARIUSZ MAGIER

PROMOCJA PIERWSZEGO NUMERU „KOZIEGORYNKU”

Chłodnym wieczorem 14 września 2007 roku w magicznej siedzibie Radzyńskiej Izby Regionalnej odbyła się promocja pierwszego numeru kwartalnika kulturalnego „Kozirynek”. Atrakcji nie zabrakło. Organizatorzy zaprezentowali zgromadzonym trzy smakowite dania: wernisaż wystawy Mirka Koczkodaja zatytułowanej „Ziemia z nieba” - zespołu niecodziennych zdjęć wykonanych spod skrzydeł motolotni; recital piosenki poetyckiej Jana Kondraka oraz

panel dyskusyjny poświęcony kwartalnikowi kulturalnemu „Kozirynek”. Dopisała publiczność, w tym przedstawiciele bliższych (Międzyrzec Podlaski) i dalszych (Lublin, Siedlce, Warszawa) środowisk artystycznych. Efekty? Sądząc po znikających egzemplarzach magazynu należy przypu-



Mirosław Koczkodaj



Jan Kondrak



Barbara Jedlewska

szczać, że pismo nie pozostało obojętne. Długo w noc trwała ożywiona dyskusja, którą zdominował przewodni temat pierwszego numeru kwartalnika - kompleks prowincji. Barbara Jedlewska, adiunkt w Zakładzie Pedagogiki Kultury UMCS, na podstawie prowadzonych badań omówiła zagadnienie, którym szerzej zajęła się na łamach magazynu. Poza tym omawiano plusy i minusy tytułu magazynu, formę pisma, perspektywy. Na zakończenie zaprezentowano, napisane specjalnie na tę okazję, opowiadanie Roberta Koncy (prezentujemy je poniżej), które w zastępstwie autora odczytał Artur Rogalski. Szerszą relację fotograficzną z imprezy można obejrzeć na stronie internetowej organizatora:

www.rasil.home.pl/rasil/kronika.htm

ROBERT KONCA

PROWINCJE WSCHODNIE

Nazywam się Robert Konca i jestem pisarzem prowincjonalnym. Jako wieczny student Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, co pewien czas wyruszam w podróż z Siedlec do Lublina. Wyjeżdżam zwykle wcześnie rano, tym nieśmiertelnym autobusem o szóstej dziesiąt, który jest w rozkładzie od zawsze, czyli od kiedy pamiętam. Najbardziej lubię podróże zimowe, kiedy późny świt powoli, jak wytrawna striptizerka, odkrywa uroki wschodnich prowincji tysiącletniego imperium. Myslę sobie wtedy, że niegdyś, na przykład w XVI wieku, te ziemie były w centrum Republiki, a do wschodnich granic trzeba było tłuc się wiele dni konno lub powozem. A zatem jadę na południe. Po prawej stronie szyby trwa jeszcze noc, ale po lewej, na wschodzie, z wolna podnosi się kurtyna świtu. Kiedy o siódmej z minutami autobus wjeżdża do Radzyna, pałac wyłania się z porannych mgieł jak Tadž Mahal albo Machu Picchu. Można wyjść na papierosa, przejść się po skrzypiącym śniegu i patrzeć, jak pierwsze promienie słońca barwią na różowo pasma mgły, z której wyrastają olbrzymie wieże starożytnych drzew. To miasto nazywało się kiedyś Kozirynek i tak powinno zostać. Trudno o piękniejszą i jednocześnie bardziej prowincjonalną nazwę. Natomiast Radzyń Podlaski kojarzy mi się z egipskim bogiem RA i dźwiękiem dzwonka, przy czym wszystko to dzieje się w pobliżu lasu. Też pięknie.

Wracam do autobusu i myślę o innych miejscowościach prowincji wschodnich: niesamowita, bezpretensjonalna w nazwie Czeremcha, czy słynna Hajnówka, do której kiedyś trafiłem na niezłym hajcu, ale to już zupełnie inna historia. No i jeszcze polodowcowe Kisielany, letnia siedziba doktora Rogalskiego. Nie zapomnę wspinał się od piranii i pijawek (nie dam sobie ręki obciąć, ale wydaje mi się, że w pewnym momencie otarło się o mnie śliskie cielsko aligatora).

Autobus rusza dalej i wkrótce przybywamy do Kocka. Nie wiem dlaczego, ale zawsze oglądam to miasto z tym samym, tajemnym zdumieniem. Kiedyś nie wytrzy-

małem i wysiadłem, aby sprawdzić, czy rzeczywiście nic się tam nie dzieje. No i rzeczywiście: kilka osób szwendalo się w tę i z powrotem bez pośpiechu i wyraźnego celu; sklep spożywczy oblegało dwóch takich, co to posiedli piękną umiejętność spania na stojąco. Co pewien czas na ogromny plac wjeżdżał autobus, ale nikomu nie chciało się do niego wsiadać. Z jednej strony niskie, stare domy, z drugiej post-industrialne ruiny zapomnianych fabryk. Pomyślałem, że aby poczuć klimat Kocka, wziąć udział w dyskretnym rytmie tu-tejszego życia, trzeba by tu spędzić wiele lat. Jako samotnik czułem się tam jednak znacznie lepiej niż na przykład w Warszawie.

Wpół do dziewiątej jestem w Lubartowie. Mgła opada, słońce przydaje ośnieżonemu miasteczku oślepiającego blasku. W tym miejscu muszę się przyznać, że czasami nie dojeżdżam do Lublina, tylko wysiadam w Lubartowie, by odwiedzić pewną mądrą i piękną dziewczynę. Ale załóżmy, że parę minut po dziewiątej wysiadam z autobusu pod lubelskim zamkiem i potem tylko idę w górę Lubartowską, później w prawo Krakowskim Przedmieściem, Raclawickie, tam w lewo, obok hotelu i kościoła, i jestem już w domu, to znaczy na uniwerku. Słucham znakomitego wykładu doktora Tarachy o przestępczości zorganizowanej. I to też jest swego rodzaju podróż, zimna obserwacja przemieszczających się worków kokainy, marihuany i opium z punktu A do punktu B. Przemierzam szlaki przetrzutowe Azji i obu Ameryk wraz z uczestnikami tych niebezpiecznych wypraw. Widzę wieśniaków gdzieś na zapadłej prowincji Kolumbii czy Meksyku, nadzorców i kurierów, widzę samoloty, statki i małe łódki o kilku dnach, zmierzające jak chmara szarańczy ku wielkim miastom Stanów Zjednoczonych z tysiącami ton dragów. Poznaje ceny hurtowe i detaliczne, personalia federalnych undercover i szefów najważniejszych gangów, całą Ligę Mafijnych Rodzin, skorumpowanych sędziów i polityków. Wieczorem, czekając na pociąg, wypijam rytualne piwo w Barze Włoskim koło dworca PKP, pośród

zgiełku rozmów o planowanych skokach, obrobionych willach i aptekach, o drobnych, acz genialnych przewalankach finansowych, w których zysk sięga czasem nawet i dziesięciu polskich złotych. Pojawia się pan Boguś, słynny trener boksu, który po drugim piwie bezskutecznie i rozpaczliwie szuka godnego siebie przeciwnika do chociażby jednorundowego pojedynku w ciasnym ringu knajpki. Jego przyjaciel potężny dwumetrowy facet z czarną, bujną brodą, uspokaja go łagodnym jak aksamit głosem (a przemawia piękną, literacką polszczyzną), próbując skierować uwagę pana Bogusia na problemy natury filozoficznej, a gdy to nie pomaga, delikatnie - acz stanowczo - rozwiera zaciśnięte pięści trenera, unosi go do góry niczym dzieciaka i sadza na okrągłym stołku obok siebie, rozwijając jednocześnie barokową w formie opowieść o połowach ryb w rzece Wieprz. I twarz pana Bogusia rozjaśnia się i bar oddycha z ulgą, ale nie na długo, bo znowu ktoś wchodzi, zamawia piwo, a pan Boguś już jest przy nim, już patrzy mu głęboko w oczy tym spojrzeniem, którym Mike Tyson obdarzył przed walką Andrzeja Gołotę.

Później podróż pociągiem relacji Lublin - Warszawa. W przedziale spotykam gangstera, jedzie do Wołomina na urodziny swojego wuja czy Dziada. Można powiedzieć, że od teorii przechodzę do praktyki. Rozmowa z kodeksu karnego i procedur szybko schodzi na problemat winy i zbawienia. On, pomiędzy drogą Chrystusa a pięcioraką ścieżką Buddy, pyta jeszcze, jak

udawać chorobę psychiczną, by uniknąć wyroku. Mówię mu: Stary, żadnych fajwerków i odpałów, tak jak dzisiaj myśl i mów dużo o Bogu, jednocześnie co chwilę zapewnij biegłych psychiatrów, że jesteś normalny, a na pewno uznają, że masz schizę i ograniczoną poczytalność. Wiem to po sobie. Gdzieś za Nałęczowem woda zmienia się w wino i zaczyna się czysta metafizyka, bez osądzania, bez kary i nagrody. Rozstajemy się na dworcu Warszawa Wschodnia, jak starzy przyjaciele, zdradzając sobie nawzajem swoje tajemne imiona, czyli ksywy.

Czasami, w Lublinie albo w Lubartowie, pojawia się Artur, a wtedy nasza podróż powrotna ma swoje interludium w Dublinie (zwanym tutaj Dęblinem), o którym nie śnił nawet James Joyce. W oczekiwaniu na pociąg osobowy do Łukowa przez Krzywdę, w kolejowym mroku, na przekór czerwonym światłom i opuszczonym semaforom, recytując jak mantrę wiersze Czechowicza i Łobodowskiego, idziemy wzdłuż ślepego toru, do najdziwniejszego baru świata pod hałdą nasypu, gdzie Stefan Grabiński pełni obowiązki barmana i zawiadowcy tej widmowej stacji.

W tych podróżach, na mój obraz prowincji wschodnich nakłada się wiele innych elementów. Czasami, gdy patrzę przez okno autobusu na ulice Radzyna, czy nieczynną linię kolejową gdzieś między Lubartowem a Lublinem, dostrzegam jakieś subtelne poruszenie przestrzeni, migoczące fragmenty z przeszłości, jakby miniony czas, wbrew bezlitosnej fizyce, ukazywał się na chwilę, upominając się o swoje prawo do istnienia w wieczności. Niekiedy przychodzą do mnie wiersze; ich ciche szepty i ukryte znaczenia nadają widzialnej rzeczywistości cech nadrealnych, niemal malarskich. Być może to jest właśnie pisanie prowincjonalne: w Polsce B czy C, w tej małej ojczyźnie uznawanej za świat gorszej kategorii, świat biedny i wykpiwany przez salony, twórca patrzy przed siebie zamyślony, nie zwraca sobie głowy karierą literacką, recenzjami, krytykami, i jego wyobraźnia współtworzy tutejszą rzeczywistość. Nagle, właściwie nieświadomie, chwytając za pióro albo pędzel, i opisuje ten świat złożony z wyobrażeń, przywidzeń i niepewnych konstatacji. Jego umysł podą-



Artur Rogalski dzierży w dłoniach opowiadanie Roberta Koncy

☐ Paweł Zochowski

za często brzegiem rzek epizodycznych, których nurt znika równie nagle, jak się pojawił. Ale w tym pozornym chaosie uważny czytelnik może czasem dostrzec piękno, niekiedy bolesne i dyskretne w swojej pokorze.

Kiedyś mój kumpel Bogdan Marszałek dał do recenzji swoje opowiadanie pewnemu nabzdyczonemu facetowi, który uważał się za wielkiego krytyka literackiego. Ten, po przeczytaniu tekstu, machnął z lekceważeniem ręką i powiedział: Panie, to nie ma nawet początku, rozwinięcia i zakończenia. Jednym ruchem ręki usiłował zanegować czyjś świat tylko dlatego, że nie pasuje do wizji świata i literatury jego - wielkiego kretyna, przepraszam - krytyka.

Świat staje się pełniejszy wtedy, kiedy oprócz świadomości istnienia praw fizyki i organizacji materii, jesteśmy gotowi odpowiedzieć na znaki i wołania pochodzące ze stref peryferyjnych, z miejsc, które są obok nas, choć zwykle ich nie dostrzegamy. To są najciekawsze i najbardziej oniryczne prowincje naszej wewnętrznej krainy. Tak samo jest na zewnątrz: fantasmagorie, sny i szepty z kosmicznej otchłani, zdają się łatwiej docierać do miejsc położonych na uboczu, niż do metropolii centralnych, najeżonych antenami, które jednak odbierają tylko sygnały głupawych stacji radiowych i telewizyjnych. Na peryferiach metafizyka i poezja spotyka się z prozą codzienności; demony i anioły spacerują ramię w ramię z ludźmi po brukowanych uliczkach, wnikając w obdrapane ściany dożywających spokojnie swoich dni starych domostw, pamiętających dawne wieki, gdy nie było jeszcze samochodów, paneli budowlanych i jednorazowych gadżetów udających rzeczy codziennego użytku.

Nigdy w życiu nie jadłem homara; z sushi mam do czynienia czasem o świcie, kiedy poprzedniego dnia za dużo wypilem. Zamiast Doroty Masłowskiej, czytam Brunona Schulza. Szanuję Adama Zagajewskiego za jego poezję i za to, że przyjechał niedawno do Siedlec i czuł się tam dobrze, i że o tym opowiada, i że z taką

pasją czytał nam wiersz „*Rovigo*” Zbigniewa Herberta. Jestem pisarzem prowincjonalnym i mam kres w nazwisku - jak trafnie zauważył kolega Mariusz Bober w Kwartalniku Kulturalnym „Kozirynek”. Przeraża mnie i zarazem fascynuje upływający coraz szybciej czas. Unikam oficjalnych spotkań i modnych kurortów; na urlop wyjeżdżam do drzemających wśród gór wiosek w Polsce czy Słowacji. Lubię usiąść gdzieś na uboczu i patrzeć na szczęśliwych ludzi, (a przynajmniej wyobrażam sobie, że są szczęśliwi), nie mających nic oprócz starego domu i skromnego w nim dobytku odziedziczonego po przodkach. Patrzę, jak z mozolnym uporem i jednocześnie czułością uprawiają skrawek ziemi na pochylonym górskim stoku, w otoczeniu paru owiec i kóz, do których czasem gadają coś cicho, jakby opowiadali zwierzętom o swoich losach i codziennych troskach. Twarze tych ludzi to rzeźby, nad którymi ciągle pracuje Czas, ten bezkompromisowy artysta, który - raz poprzez subtelne bruzdy, innym razem - za pomocą głębokich blizn, pragnie oddać tragizm i piękno ludzkiej egzystencji. Warto tu jechać, choćby i dwa dni, aby ujrzeć taki oto widok: stary pasterz, wsparty na długim, sękatym kij, w otoczeniu gromadki białych owiec, ze starym jak on przygarbionym psem u nogi, patrzy na słońce zachodzące między dwiema górami. To chwila, kiedy czas nie płynie, nawet on kapituluje na moment w obliczu tej odwiecznej komunii powtarzanej od tysiącleci. Zwierzęta stoją nieruchomo i także patrzą tam, gdzie ich pasterz, którego poorana zmarszczkami twarz wyraża pierwotny, niczym nie zmałowany zachwyt...

Przypomina mi się zdanie, którym Malcolm Lowry rozpoczął jedno ze swoich opowiadań pisanych na kanadyjskiej prowincji: „Co wieczór o zmierzchu szedłem ścieżką przez las po wodę ze źródła”. Nie pozostaje mi więc nic innego jak pozdrowić z tego miejsca Konfraternię Kozirynek i ruszyć tajemniczą ścieżką do źródła, przez narastającą ciemność, która jednak nie przynosi lęku, ale spokój.



RYSZARD KORNACKI

50 LAT ŚPIEWANIA SŁAWY PRZYBYLSKIEJ

Po koncercie jubileuszowym 26 maja 2007 roku w Międzyrzeczu Podlaskim w rozmowie z red. Istwanem Grabowskim („Słowo Podlasia” nr 23/07, s.14) Sława Przybylska mówi m.in. „Benefis w Międzyrzeczu Podlaskim to sentymentalna konieczność. Czułam w sobie potrzebę zaakcentowania związków z miastem i ludźmi, którzy darzą mnie miłością (...). Miejsce urodzenia to kolebka, z której wyniosłam wszystko, co w życiu ma sens. Przecież w dzieciństwie kształtuje się charakter człowieka, miłość, gust, upodobania. (...) Mała Ojczyzna to Dom, drzewo, ogród, łąka. Rodzinne miejsca zapadają w pamięć na całe życie i potem tęskni się do nich w snach. Zawsze w pamięć na całe życie i potem tęskni się do nich w snach. Zawsze była pod wrażeniem przyrody, śpiewu ptaków, kwitnących ogrodów. Z takimi wspomnieniami kojarzy mi się Międzyrzec, gdzie żyłam z porami roku.

Sława Przybylska urodziła się 2 listopada 1931 roku w Międzyrzeczu Podlaskim. Znana piosenkarka i piosenniarka o bogatym dorobku twórczym i artystycznym, inicjatorka ciekawych zdarzeń kulturalnych w kraju oraz ambasadorka kultury polskiej na świecie. Dzieciństwo i pierwsze lata nauki spędziła w Międzyrzeczu Podlaskim. Jako piętnastoletnia dziewczyna opuściła na zawsze rodzinny dom i miasto w którym wzrastała. W 1946 roku rozpoczęła edukację w podkrakowskich Krzeszowicach, gdzie profesor Stanisław Jedleński prowadził dom młodzieży. To tutaj kształtował się talent i osobowość przyszłej artystki. To tutaj oprócz nauki w gimnazjum, uczyła się gry na fortepianie, śpiewu i chodziła na lekcje rytmiki. Równolegle z talentem muzycznym rozwijały się uzdolnienia plastyczne. Wynikiem tego była następnie kontynuacja nauki w Liceum Sztuk Plastycznych w Warszawie. Na tym poszukiwania przyszłej drogi życiowej nie zakończyły się. Następnie Pani Sława rozpoczęła studia na Wydziale Handlu Zagranicznego Szkoły Głównej Służby Zagranicznej, uzyskując w 1954 roku dyplom i kwalifikacje ekonomisty. Po ukończeniu studiów, na krótko podjęła

pracę w „Hartwigu” i Wydawnictwie Handlu Zagranicznego „Agpol”. W okresie studenckim Pani Sława Przybylska oddawała się z pasją śpiewaniu w różnych formach studenckiego ruchu artystycznego, m.in. śpiewała w zespole wokalnym prowadziła chór, udzielała się w teatrze satyrycznym i występowała w kabarecie „Stodoła”.

Rok 1957 okazał się przełomowym i najważniejszym w życiu artystycznym Sławy Przybylskiej. Podwójne zwycięstwo w konkursie Polskiego Radia, a następnie w konkursie Telewizji Polskiej na najlepszego piosenkarza amatora rozpoczęło pasmo sukcesów młodej piosenkarki i przesądziło o wyborze drogi życiowej i zawodowej. Kształci się dalej w kierunku muzycznym, podejmując naukę w Szkole Muzycznej i w Radiowym Studium Estradowym pod kierunkiem m.in. Hanny Skarżanki, Aleksandra Bardiniego, Jerzego Abramowskiego i innych. Druga połowa lat 50. jest początkiem kariery artystycznej i estradowej Sławy Przybylskiej. Ogromny sukces przynosi jej nagranie w 1958 roku piosenki z muzyką Lucjana Kaszyckiego „Pamiętasz była jesień” do filmu Jerzego Wojciecha Hasa „Pożegnania”. W tym czasie koncertuje. Nagrywa też piosenki dla polskiego radia i telewizji, a także dla zagranicznych rozgłośni radiowych i firm fonograficznych. W latach 1958-60 nagrała też piosenki do filmów: „Popiół i diament” i „Niewinni czarodzieje” Andrzeja Wajdy, „Rozstanie” Wojciecha Hasa. „Zezowate szczęście” Andrzeja Munka. Jej życie artystyczne nabiera ogromnego tempa, koncertuje z własnymi recitalami, odnosi sukcesy w plebiscytach popularności oraz odbywa pierwsze podróże zagraniczne. Uczestniczy też w kształtowaniu życia kulturalnego Polski, inicjując powstanie Teatryku Piosenki „Tingel-Tangel”, gdzie wspólnie z Agnieszką Osiecką, Krystyną Sienkiewicz, Andrzejem Jareckim, Wojciechem Solarzem, Stanisławem Młynarczykiem i świetnymi muzykami m.in. Krzysztofem Komedą. Zachwycają swoją twórczością publiczność w całej Polsce, odnosząc kolejne sukcesy i uzyskując



wspaniale recenzje. Jej sugestywny sposób interpretacji piosenek przynosi szereg propozycji kabaretowych i teatralnych.

Występuje więc w kabarecie Kazimierza Krukowskiego „U Lopka”, Jana Pietrzaka „Pod Egidą” oraz kabarecie „Kurierek”.

Uczestniczy w spektaklach teatralnych w reżyserii Wojciecha Siemiona w Teatrze Stara Prochownia oraz w reżyserii Szymona Szurmieja w Teatrze im. Estery Rachel Kamińskiej. W latach 1983-88 była związana z Teatrem na Targówku w Warszawie.

W długoletniej karierze artystycznej Sława odwiedziła z recitalami takie kraje jak: Armenia, Australia, Azerbejdżan, Belgia, Białoruś, Bośnia, Bułgaria, Chorwacja, Kostaryka, Czechy, Dania, Estonia, Francja, Grecja, Gruzja, Hiszpania, Holandia, Izrael, Jamajka, Jugosławia, Kanada, Kazachstan, Kolumbia, Liban, Litwa, Łotwa, Meksyk, Mołdawia, Niemcy (a wcześniej NRF i NRD), Panama, Portugalia, Rosja, Rumunia, Słowacja, Słowenia, Szwajcaria, Szwecja, Turkmenia, Ukraina, USA, Uzbekistan, Węgry, Włochy, Wielka Brytania. Jak jednak mówi, „zawsze z radością wracałam do domu”.

Sława Przybylska, oprócz piosenek nastrojowych, które przyniosły jej pierwsze sukcesy, śpiewała piosenki charakterystyczne i żartobliwe, a także melodyjne piosenki żydowskie. Fascynacja kulturą

żydowską, sięgająca korzeniami lat dzieciństwa, sprawiła, że ważne miejsce w działalności piosenkarki zajmują pieśni i piosenki Żydów polskich oraz piosenki hebrajskie, w tym szczególnie muzyczne motywy biblijne. W tym repertuarze występowała z recitalami w wielu miastach Europy i Stanów Zjednoczonych oraz w Izraelu. Pod koniec lat 80. była częstym gościem radiowej Trójki i magazynu „Menora”, który zajmował się tematyką żydowską. Na przełomie XX i XXI wieku uczestniczyła w kolejnych Festiwalach Kultury Żydowskiej przyczyniając się do popularyzacji kultury tego narodu oraz działając na rzecz polsko-żydowskiego porozumienia.

Będąc w wielu miejscach na świecie Sława przywoływała przeżycia i obrazy rodzinnego miasta nad Krzną, w którym wiele lat temu żyli obok siebie ludzie różnych kultur i przekonań. Sława Przybylska jest żywym dowodem zwycięstwa twórczego myślenia, nad dominacją zła okresu wojny. Miejsce kształtowania się osobowości Sławy oraz sposobu postrzegania świata i ludzi często powraca we wspomnieniach artystki. W większości wywiadów oraz podczas licznych występów artystycznych zawsze wymienia miasto swojego dzieciństwa z nazwy i wspomina je z sentymentem.

Aktywność i twórcze myślenie artystki oraz umiłowanie słowa ojczystego zaowocowało w drugiej połowie lat 80. inicjatywą zorganizowania w naszym mieście -Międzyrzeckich Jesieni Teatralnych. Na początku lat 90. założyła w ówczesnym miejscu zamieszkania w Szczawnicy, Szczawnickie Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne im. Czesława Miłosza, które powołało do życia Ogólnopolski Turniej Recytatorski Literatury Emigracyjnej pod hasłem „Od Mickiewicza do Miłosza”. W 1996 roku Turniej stał się imprezą kulturalną o zasięgu międzynarodowym i przybrał nazwę Międzynarodowy festiwal Słowa. Cykl imprez będących świętem literatury polskiej, dzięki osobie Sławy Przybylskiej nie omija również naszego miasta. Trzy edycje Turnieju recytatorskiego „Od Mickiewicza do Miłosza”, pod kierunkiem artystycznym piosenkarki, odbyły się w Międzyrzeczu Podlaskim. Współorganizatorami tych turniejów byli m.in. Miejski Ośrodek Kultury w Międzyrzeczu Podlaskim i Międzyrzeckie Stowarzyszenie Teatralne. Turniejom i Festiwalom towarzyszyły zawsze wspaniałe osobowości świata kultury, nauki, teatru oraz młodzież z polski i z zagranicy. W 1997 roku w ramach II Festiwalu Słowa, którego finał odbył się w Międzyrzeczu Podlaskim, miał miejsce jubileuszowy Koncert Sławy Przybylskiej z okazji 40-lecia pracy artystycznej, nad którym patronat objął Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej.

Wszechstronność Sławy Przybylskiej daje swój wyraz również w działalności społecznej na rzecz kultury oraz edukacji młodego pokolenia. W podejmowanych inicjatywach stawia sobie za cel popularyzowanie wartości i piękna ojczystego języka w literaturze i poezji.

Jak mówiła podczas inauguracji IV Turnieju Recytatorskiego „Od Mickiewicza do Miłosza '94”, „jestem tu, aby pomóc młodzieży umocnić przekonanie, że warto uprawiać wielki ogród słowa poezją i literaturą, bowiem piękne i dobre słowo czyni nasze życie lepszym i piękniejszym. W naszych czasach, w czasach zamętu i rozpadu wartości, uprawianie i upowszechnianie

poezji jest wyzwaniem i obowiązkiem. Wiem, że niejednokrotnie jest to praca Syzyfa. Ale mit Syzyfa uczy nas także wierności swojemu posłannictwu i swojemu powołaniu. Uczy nas znajdować szczęście i radość w nieustannym wysiłku, nawet jeśli owoce tego wysiłku nie my będziemy spożywać. Służąc poezji, służymy naszemu językowi ojczystemu”.

Sława Przybylska jest ciągle aktywnym twórcą i działaczem kultury. Uczestniczy w wielu imprezach kulturalnych i występuje z recitalami na scenach w kraju i poza granicami. W swojej karierze artystycznej zaśpiewała i nagrała ponad 800 piosenek, 106 autorów i kompozytorów.

Pięćdziesiąt lat pracy artystycznej jest wielkim wkładem w dorobek polskiej i światowej kultury, a sama artystka znakomitym ambasadorem polskiej kultury i dobrej informacji o Polsce i Polakach, a przede wszystkim informacji o naszej małej ojczyźnie - rodzinnym domu w Międzyrzeczu Podlaskim, o jej pięknie i trudnej historii.

 Krzysztof Jakubiuk i Radosław Małachwiczuk





RYSZARD KORNAKCI

Dopiero teraz

Dopiero teraz wiem
że wszystko może
istnieć beze mnie:
rzeka biegnąca do morza
brzemienny sad lipcowy
ptak na rękach drzewa
śpiewający modlitwę
do nieba
bocian wpatrzony w dymy
płonącej jesieni
wróbel szary
jak zamglony ranek
i złota pszczoła
tańcząca z upalnym
latem
Dopiero teraz wiem
przed granicą cienia
że jestem kruchy
drobny kamyczek
spadający bez echa
z drabiny Jakuba

ROMAN POSTEK, MAGDALENA RACZKO-PIETRASZEK

HAPPENINGI W LIWIE

„KRAĞ” (02.08.2006), „RAMA” (09.08.2007),
 „ZEGAR SŁONECZNY” (28.08.2007)

Autorzy: Roman Postek, Magdalena Raczek-Pietraszek
 Miejsce: Liw, podzámce XV-wiecznego zamku

„Krağ”, „Rama”, „Zegar słoneczny” to działania, które mają znaczenie symboliczne, w których podstawowe pojęcie czasu i przestrzeni nabierają nowego wyrazu. Każda z realizacji z założenia była akcją w plenerze, według określonego scenariusza przy udziale innych osób. Efektem końcowym było dzieło, które pozostawało jako samodzielnie funkcjonująca forma przestrzenna.

Krağ

Koło jest symbolem doskonałości pochodzącej od Boga; znakiem Nieba i życia duchowego.

Wykreślenie koła zawsze zgodnie z naturalnym kierunkiem (z ruchem wskazówek zegara) oznacza wieczny ruch wokół centrum, równoznaczny z obiegiem planet wokół nieruchomego Słońca i ciągłą zmienność pór roku.

Sama czynność wyznaczenia kręgu oznacza podjęcie aktywnego działania przeciw siłom chaosu i stworzenie strefy *sacrum* oddzielonej linią od sfery *demonium* i chaosu pozostającej na zewnątrz. Działanie to jest także symbolicznym, nacechowanym refleksją, cofnięciem się do prehistorii, kiedy powstawały kręgi megalityczne i zakładano pierwsze stałe osiedla - wyspy światła wśród mroku.

Krağ w na podzámczu w Liwie powstał z materii duchowej wierszy Magdy Raczek-Pietraszek, rozłożonych wokół wyrównanego uprzednio na ziemi koła, którego

środek stanowi wielki, granitowy głaz. Zbliżając się do kręgu widz wciągnięty zostaje w wędrówkę wokół niego, ponieważ wiersze są tak umieszczone, że aby je odczytać należy przekroczyć krağ wstępując do jego wnętrza, co jest formą wtajemniczenia.

Przez taki sposób eksponowania wiersze trwają w przestrzeni. Ich odbiór podczas koncentrycznego ruchu wprowadza element czasu. Jednak kartki papieru z tekstem i tak istnieją obiektywnie, jako znak plastyczny emanujący własną siłą. Krağ można uznać za komunikat skierowany w Kosmos lub też, jak kto woli do Nieba, co jest jednak niezamierzoną i nieoczekiwane zaistniała dla samych twórców sytuacja.

Magda Raczek-Pietraszek ma dar zmysłowego, oszczędnego obrazowania natury, uczuć ludzkich, pór roku wyznaczanych zmiennym kształtem krajobrazu. Część z wierszy powstała pod wpływem zamku liwskiego i jego otoczenia, co jeszcze bardziej (symbolicznie, nie tylko realnie) wiąże je z ziemią, na której spoczywają.

Rama

Rama jest elementem z innego świata. Innego od pejzażu, w którym się znajduje. Pojawia się na zasadzie elementu surrealistycznego, coś jak parowóz w głębi dziewiczej puszczy czy żaglowiec na środku pustymi. Nie wyrasta z otoczenia, zjawia się w nim nagle i niespodziewanie. Neonowy kolor odcina ją



Rama



Krağ



Zegar

jeszcze bardziej, sprawia że wyłamuje się z krajobrazu. Jest jak iluminacja, nagle objawienie. Ma rozbijać potoczne wyobrażenie o świecie, działać jak środek pobudzający wyobraźnię, stymulujący do odkrywania nowych wymiarów rzeczywistości, coś ekscytującego, wywołującego pytanie, symbolizującego tajemnicę. Nie jest częścią przyrody, ma własne tajemnicze życie, którego sama jest znakiem.

Zegar słoneczny

Każdą godzinę, wyznacza kamień leżący na murawie i wiersz na kartce papieru przypiętej do ziemi.

Kamień jest stałą wartością wyznaczającą upływ czasu. Wiersz myśl jest zjawiskiem ulotnym, pojawia się w czasie, jednak mimo jego upływu trwa. Sprawia, że każda godzina, każda chwila jest inna.

Żeby odczytać godzinę wyznaczoną przez ten zegar słoneczny, trzeba wstąpić do wnętrza czasu. Wejść w przestrzeń zegara i stanąć na linii cienia, łącząc się ze słońcem i ziemią, zanurzając się w czas boski i ludzki jednocześnie.



 Magdalena Raczko-Pietraszak



[ZA KOCZKODAJ

w objęciach

uśpiłeś moją czujność
*(do głębi
przez naskórek)*

szczęściem

coraz trudniej skoczyć

i wpaść
w objęcia ostrzy słów
z ostrzy traw

*

coś we mnie wtedy pękło
bo nie mogłam pisać

cud niepamięci

zmarł z ran
a mo
że nie

tylko kot

dał się zagłaskać

wet za wet?...

*w tym tygodniu nie przyjadę do domu
śle calusy*

zapominaj mnie jeśli umiesz
wróć piękna
pozbawiona szczegółów

JANUSZ SZYMAŃSKI

XII MIĘDZYNARODOWE OTWARTE WARSZTATY TEATRALNE "DIALOGI"

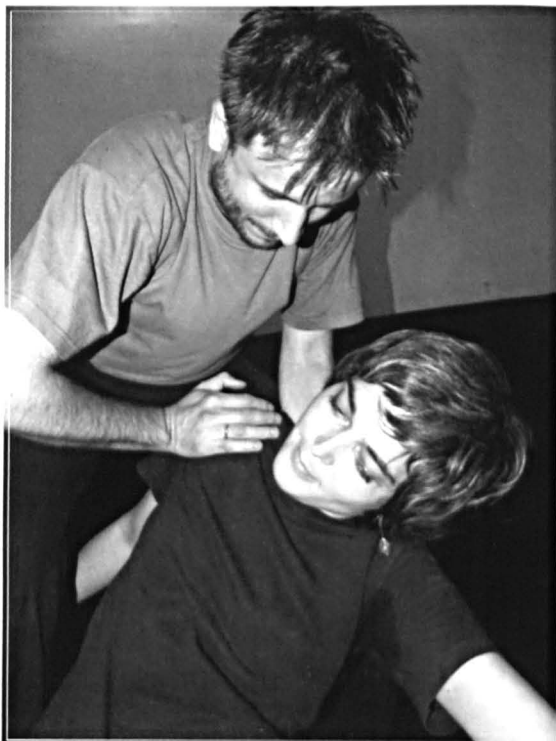
W dniach 27 lipca - 5 sierpnia 2007 roku odbyła się w Radzynie Podlaskiej już XII edycja Międzynarodowych Otwartych Warsztatów Teatralnych „Dialogi 2007”. W tym roku tematem przewodnim warsztatów była piłka, finał warsztatów również opierał się na tym temacie. W wyniku kilkudniowej pracy powstał spektakl pt.: „Teatralne wariacje na temat piłki”. W warsztatach uczestniczyli po raz pierwszy instruktorzy teatralni i młodzież z Polski, Ukrainy i Niemiec; do tej pory pracowaliśmy tylko z młodzieżą. Zabrakło, niestety, współpracujących z nami od wielu lat Węgrów. Codzienna praca polegała na przybliżeniu uczestnikom tematyki improwizacji kontaktu w oparciu o pracę z piłką, a potem z partnerem i grupą. Praca z piłkami pozwoliła zapoznać się uczestnikom z technikami pracy z przedmiotem, był to także znakomity sposób na powolną drogę od kontaktu z przedmiotem do kontaktu z partnerem. Warsztaty „Dialogi” od wielu lat przybliżają młodzieży radzyńskiej świat teatru o bardzo szerokim pojęciu, pracujący tutaj specjaliści to choreografowie, reżyserzy, aktorzy, mimowie. Pomysł nie zamykania się w ramach wąskiej specjalności pozwala na poznanie świata teatru wraz z całym ogromem pracy, jaki trzeba włożyć w efekt końcowy w postaci widowiska. Spektakl powarsztatowy nie jest jednak najważniejszym punktem tych działań, sama idea warsztatu i możliwość intensywnej pracy na granicy własnych możliwości z wysokiej klasy specjalistami przyciąga do Radzyna Podlaskiego młodzież z całego kraju i coraz częściej z zagranicy.

O znaczeniu tej imprezy (i promowaniu naszego miasta dzięki niej) może świadczyć anegdota krążąca po Wrocławiu wśród reżyserów, że jeśli się nie było zaproszonym do prowadzenia warsztatów w Radzynie Podlaskiej to najwyższy czas, by się o takie zaproszenie postarać. Bardzo ciekawie też zabrzmiała nazwa naszego miasta w terminarzu Iwony Olszowskiej, która przyjechała do nas prosto z Moskwy, a dwa dni

po warsztatach była już w Barcelonie. Osobiście nie mam nic przeciwko temu, by nasze miasto było wymieniane i porównywane kulturowo właśnie z takimi konkurentami.

Eksperyment polegający na połączeniu osób prowadzących grupy z uczestnikami można uznać za udany, grupa była bardzo skoncentrowana na pracy, a jednocześnie panował duch współpracy i miłej zabawy; dzięki dobrej atmosferze udało się zrealizować spory zakres programowy. Połączenie wiedzy i doświadczenia instruktorów z młodzieżową ekspresją w pomysłach teatralnych przynosiło chwilami wiele śmiechu ale i artystycznego działania. Warto tutaj podkreślić, że osoby przyjeżdżające do naszego miasta bardzo sobie cenią miejsce spotkań, czyli radzyńską Oranżerię i jej parkowe otoczenie jako doskonałą przestrzeń do artystycznych działań.

W ramach warsztatów odbył się także przemarsz uczestników przez miasto rekla-



📷 Mirosław Koczkodaj



Mirosław Koczkodaj

mujących finał tej imprezy. Jak co roku, uczestnicy spotkali się z bardzo różnymi reakcjami mieszkańców. Jest to możliwość spotkania się z ludźmi zapędzonymi w swych codziennych czynnościach, którzy być może nigdy nie wybrali by się do teatru lub radzyńskiej Oranżerii, gdyby nie spotkanie z aktorami na ulicy. Warsztaty zakończyły się tradycyjnym finałem w sobotni wieczór 4 sierpnia 2007 roku. Widzowie mogli obejrzeć trzy spektakle: *Wariacje teatralne na temat piłki* w wykonaniu grupy warsztatowej (reż. Iwona Olszowska i Janusz Szymański), *Samotność* w wykonaniu teatru: „Echen” z Kraśnika (reż. Katarzyna Serwacka), *Niknę w szafie* w wykonaniu Iwony Olszowskiej i Marzeny Gorskiej (choreografia Iwona Olszowska, animacja marionetki Marzena Gorska, muzyka Pascal Comelade).

Uczestnicy tegorocznej edycji: Katarzyna Duma, Joanna Glajzer, Justyna Gumienna, Justyna Kokoszka, Beata Matejczuk, Wiktoria Miszczuk, Joanna Oczkowska, Katarzyna Oczkowska, Marzena Płońska, Katarzyna Serwacka, Lilia Siutyk, Marta Streker, Anna Tomczak, Joanna Winnik, Magdalena Zylak.

Prowadzący:

IWONA OLSZOWSKA - tancerka, choreograf, instruktor. Taniec współczesny

to jej pasja. Już po raz czwarty prowadziła warsztaty w Radzynie Podlaskiej. Edukację taneczną zdobywała w Studenckim Teatrze Tańca Kontrast, Uniwersytecie Alabama i George Mason w USA oraz w Calgary w Kanadzie. Realizowała projekty Liz Lerman Dance Exchange, Projekt Pandora, Projekt Polski, Powrót do tradycji (organizowany przez Śląski Teatr Tańca), Hałda oraz Więcej tańca i Taniec bez tajemnic z gośćmi teatru EST, którego jest założycielem i kierownikiem artystycznym (autorka 19 choreografii dla EST-u).

JANUSZ SZYMAŃSKI - instruktor teatralny Radzyńskiego Ośrodka Kultury, założyciel teatru ruchu Warsztat Ekspresji Twórczej, wcześniej grupy PARA II działającej przez osiem lat w Zielonej Górze przy Teatrze Lubuskim. Wieloletni wykładowca przedmiotu „Ekspresja Ciała” i choreoterapii

Sponsorzy:

Starostwo Powiatowe Radzyń Podlaski; LUBZEL Dystrybucja Sp. z o. o. Zakład Energetyczny Radzyń Podlaski; Sklep internetowy www.bogutynmlyn.pl; Pizzeria „Mamma Mia” Radzyń Podlaski; PUH „Jarek” Jarosław Tomczak



ADAM ŚWIĆ

XII OGÓLNOPOLSKIE SPOTKANIA Z PIOSENKĄ AUTORSKĄ "ORANŻERIA 2007" (31 sierpnia - 2 września)

Dzień pierwszy - piątek

Tradycją pierwszego oranżeryjnego wieczoru są koncerty monograficzne poświęcone którymś z wielkich postaci piosenki literackiej. W poprzednich latach były koncerty z piosenkami Leonarda Cohena, Włodzimierza Wysockiego, Boba Dylana, Agnieszki Osieckiej, Jeremiego Przybory. Tym razem wieczór był poświęcony twórczości Marka Grechuty. Jego piosenki wykonywał MARCIN RÓŻYCKI - zwycięzca konkursu na „Oranżerii” w 1997 roku. Koncert się podobał - Marcin rozwinął się jako wokalista i frontman, zebrał świetny zespół (z udziałem m.in. radzynaików - Michała Kapczuka i Piotra Bogutyna), publiczności był nadkomplet, nagłośnienie bardzo dobre, tylko... no właśnie: piosenek MARKA GRECHUTY było... 5. Wieczór składał się z autorskich piosenek Marcina i tylko ostatnie 25 minut poświęcono niedawno zmarłej gwiazdce polskiej piosenki poetyckiej, a publiczność miała prawo liczyć na więcej. Ponoć zabrakło czasu na przygotowanie całego materiału z zespołem. Nadrobienie tych zaległości Marcin zapowiedział jesienią, ale wtedy trudno będzie w Radzynie o tak dobrą frekwencję. Szkoda, bo mógł to być naprawdę znakomity wieczór.

Dzień drugi - sobota

W przesłuchaniach konkursowych wystartowało 15 wykonawców (z Warszawy, Kozienic, Kutna, Łodzi, Biłgoraja, Elku, Wydmín i Siedlec). W jury same gwiazdy: Ernest Bryll, Jan Poprawa i Jan Kondrak. Poziomość wyrównany, nie było wpadek, choć zachwyty też zabrakło. Publiczność była zgodna z werdyktem jury: GABRIELA LENCKA to największa indywidualność konkursu. Panuje nad materią muzyczną i potrafi w pozornie prostych tekstach zawrzeć mnóstwo emocji. Drugie miejsce zajął JACEK GUTRY, który występował już na „Oranżerii” przed czterema laty. Jego poetyka odwołuje się do konkretności codzienności, którą komentuje nie bez poczucia humoru. W rozmowie przyznał, że jego mistrzem jest Wojciech Młynarski.

Wieczór należał do ANDRZEJA SIKOROWSKIEGO i jego córki MAI. Kto przyszedł na ich koncert na pewno się nie zawiodł. Nie

zabrakło przebojów Pod Budą, zespołu, którego liderem na co dzień jest pan Andrzej. Podobał się też materiał z płyty Mai. Rodzinny duet wzruszył i zachwycił.

Dzień trzeci - niedziela

Po południu jak zwykle koncert laureatów i wręczenie nagród. Niedzielnego wieczoru zazwyczaj wypełniał koncert największej gwiazdy - tym razem było inaczej (ze względu na sobotni wolny termin Andrzeja i Mai Sikorowskich). Wystąpiła GRUPA WITKA ŚWIĄTCZAKA i ten koncert trudno określić inaczej jak nieporozumienie. Po raz pierwszy od lat na „Oranżerii” sala była wypełniona za ledwie w połowie. Być może wpływ miała na to odbywająca się tuż obok konkurencyjna impreza, czyli dożynki. A może oranżeryjna publiczność niewiele się po zupełnie anonimowych wykonawcach spodziewała. I, jak to zazwyczaj bywa, miała rację.

Protokół z posiedzenia jury XII Ogólnopolskich Spotkań z Piosenką Autorską „Oranżeria 2007”

Jury w składzie: Ernest Bryll przewodniczący, Jan Poprawa i Jan Kondrak po wysłuchaniu 15 wykonawców postanowiło przyznać nagrody ufundowane przez samorząd powiatu radzyńskiego

I w wysokości 750 zł - Gabrieli Lenckiej z Warszawy

II w wysokości 500 zł - Jackowi Gutremu z Warszawy

III w wysokości 350 zł - Markowi Królowi z Biłgoraja

Ponadto przyznano dwa wyróżnienia po 200 zł - Joannie Mioduchowskiej z Warszawy i Piotrowi Kajetanowi Matczukowi z Elku. Wyróżnienie w postaci zaproszenia do koncertu laureatów otrzymał Tomasz Salach z Siedlec. Nagrodę im. Agaty Budzyńskiej - statuetkę Aniołka - za poszukiwanie optymizmu w literaturze wysokiej otrzymała Joanna Mioduchowska.

Nominację do finału Studenckiego Festiwalu Piosenki w Krakowie otrzymali Gabriela Lencka i Piotr Kajetan Matczuk.





JACEK GUTRY

Między piętrami

Stałem na schodowej klatce,
Na parterze, gdy zjechała winda,
Niosłem gazetę w siatce -
Na okładce: Bogusław Linda.
Do windy wsiadłem z kobietą-cud.
Ruszamy... Nagle winda staje!
Dzięki Boguś za szczęścia łut!
Mówię do niej: „Coś mnie się zdaje...”

Że stojąc między piętrami
Jesteśmy sami
Ci, co są od spodu,
Odwracają się i z klatki cichcem
chodu!
Dla tych, co są ponad,
Jesteśmy jak eksponat.
Może lepiej na półpiętrze
Odkrywać swoje wnętrze?

Otworzyłem przed nią duszę,
Mówiłem o mrówce na torze,
Wyznałem, że się duszę
W szczęścia symulatorze.
Jej oczy płonęły z podniecenia,
Gdy wspomniałem, żem Muzy adeptem.
Poczułem, że się zarumienia
Po chwili przemówiła szeptem:

Stojąc między piętrami
Jesteśmy sami...
Ci, co są od spodu,
Odwracają się i z klatki cichcem
chodu!
Dla tych, co są ponad,
Jesteśmy jak eksponat.
Może lepiej na półpiętrze
Odkrywać swoje wnętrze?

Gdy dotarłem do mieszkania,
Włączyłem TVN24,
Podobno Polak się wskaźnikom nie
klania,
Ale wzrostu - ni cholery!
Ja, średniak na mieliźnie,
Nie bogaty, nie całkiem w nędzy,
Śpiewam swej Ojczyźnie,
Żyjąc pomiędzy

Stojąc między piętrami
Jesteśmy sami
Ci, co są od spodu,
Odwracają się i z klatki cichcem
chodu!
Dla tych, co są ponad,
Jesteśmy jak eksponat.
Może lepiej na półpiętrze
Spojrzeć w swoje wnętrze?

ARTUR ZIONTEK

Instytut Filologii Polskiej Akademii Podlaskiej

[I]W I ETERYCZNE PASAŻE

Jak dotąd, a miejmy nadzieję, że to dopiero początek, Muzeum Zbrojownia na Zamku w Liwie wydało dwa tomiki poetyckie; w jednym roku (2006), niemal dokładnie w tym samym czasie. Razem też miały swe promocje (pisał o tym Artur Rogalski w „Kozimrynu” 2007, nr 1). Dla obojga autorów są to drugie książki poetyckie, oboje też mają za sobą publikacje w kilku literackich periodykach i nagrody w konkursach. Na tym jednak koniec miejsc zbieżnych. *Eter* Roberta Koncy i *Pasaże* Izabeli Filipek to dwa zdecydowanie inaczej wypowiedziane obrazy własnych doświadczeń i zapisów bycia. Właściwie wszystko jest tam inne: witalność, aksjologia, postrzeganie, pryzmaty patrzenia na ten sam przecież świat, doświadczenia i emocje... A mimo to, mimo tych różnic, jest w owym zestawieniu coś oczywistego i pasjonującego, pojmowanego intuicyjnie a niemożliwego do nazwania.

Oba tomy ukazują pewną całościową, jednolitą i autonomiczną dla siebie konstrukcję podmiotu lirycznego. Toteż stają się one rozbudowanymi wypowiedziami, opowieściami o doznaniach codzienności (z jej rutyną na czele), uniesieniach, emocjach, porażkach, wygranych... słowem o wszystkim, co towarzyszy bezwiednie, i właściwie niezależnie od podmiotu, wypełniającej się - jak oddawał to Piotr Szewc - „Księżde Dnia”. Każdy ów dzień powszedni, nie będąc wyjątkowym, niby nie wyróżniając się niczym od każdego innego dnia tygodnia, miesiąca, roku czy życia, poprzez doświadczone, staje się przynajmniej na chwilę zapamiętany.

Podmioty obu tekstów pochłonięte są światem, który je otacza. Każde kolejne strony tomików to wyraz rzeczywistości. Nie ma tu jakichś patetycznych rozważań nad istotą, sensem bytu jako bytu. Nie jest to poezja ontologiczna. Niemniej mamy w obu przypadkach do czynienia z tekstami głęboko kontemplacyjnymi. Tyle, że przedstawionymi na egotyczne zgłębianie siebie. Poznawanie i skrupulatne oddawanie

poznane słowem. To jednak, co zdecydowanie odróżni od siebie formę podawczą, to diametralnie inne percypowanie podmiotów obu książek. Oba pochłonięte są światem, ale oba inaczej go wchłaniają. Przedstawiają dwie różne kondycje emocjonalne i mentalne. Czasem więc zadziwia różnobarwność świata, wszak jest jeden a tak różnie odbierany. Różnie też owe dwa poetyckie wnętrza zakorzeniają się - idąc za Simone Weil - i odnajdują przynależnościowo pośród tego, co je otacza.

Konca dość często daje sygnały wyobcowania, niemal na poły schizofrenicznego obcowania z Innym (*Pozdrowienie*), „który potrafi wynurzyć się znikąd/ na tym przemijającym świecie” (*Obecność*). Nawet w momentach rodzenia się przelotnej nadziei, gdy mogłoby dojść do chwilowego choćby pogodzenia, brutalny obraz wspomnień czyni z tej nadziei slogan, hasło brzmiące sarkastycznie i ironicznie:

„Świat jest taki piękny
Uśmiecham się do wszystkich
I wiem że nikt
Nie potrafi mnie skrzywdzić
Na szczęście coraz rzadziej
Pamiętam o tym że jestem
Sześciokrotnie zgwałconą córką milicjanta
Chorą na schizofrenię”

(Agnieszka, s. 19)

Z drugiej strony jednak, podmiot ów, dając odetchnąć dokonywanej przez siebie swoistej ontologicznej kronice kryminalnej, chętnie bywa też wędrownym skrybą, z pasją spisującym zasłyszane historie towarzyszy podróży. Towarzyszy przelotnych i równie mało istotnych - z punktu widzenia historii, a nie doczesnego przemieszczania się - jak sama podróż. Tak właśnie jest w przypadku tytułowego Mariana spotkanego „w pociągu relacji Siedlce-Warszawa”. To, co w jakiś sposób mogło się wydać interesujące w nim, to fakt, że on także przynajmniej się do swej schizofrenii. Dla

podmiotu staje się więc naturalnym przedmiotem obserwacji. Powtarzalność klinicznych przypadłości bohaterów opisu daje wrażenie fascynacji wspomnianą wyżej innością. Wnioskowanie prowadzonych w tomiku obserwacji, daje w jakiś sposób odczuć, że kategoria inności jest/byłaby chętnie przyswojona przez podmiot liryczny, który zdradza pokątnie, iż tak tylko można by uzyskać satysfakcjonujący stan alienacji. Satysfakcjonujący, choć nie do końca upragniony. Jest bowiem wynikiem genezyjskiego rozpoznania takiego właśnie stanu rzeczy:

I oddzielił Bóg swoją wolę
Od woli umysłu
I tchnął weń emocje
Wyobraźnię
Oblęd

Umysł walczący przeciw sobie
Zbudował labirynt
I teraz czeka na swe wyzwolenie
Na Tezeusza który przyjdzie z mieczem
(*Genesis*, s. 31)

I niby byłoby można znowu odnaleźć nadzieję. Wszak przywołany tu motyw dzielnego Tezeusza krocącego po tajemnicach labiryntu łączy się nieodmiennie z nicią, którą Ariadna dała mu jako pomoc i wskazówkę. Wszak tu także pojawia się nić. W jednym z *listów człowieka do Boga* (s. 33), czytamy: „kieruję te słowa do Ciebie / któryś rozwinął nić”. Próżno jednak i teraz odnaleźć się, nawet ze świadomością i rozpoznaniem Tego, który rozwija nić, jako swoisty drogowskaz; pokazuje jak wyjść. Ten zwłaszcza 'list' będzie najbardziej doniosły dla wymowy całego tomu. Natychmiast bowiem przywołuje kapitalny kontekst XVIII-wiecznego dyskursu filozoficznego podjętego przez trwającego w demonicznej legendzie markiza de Sade.

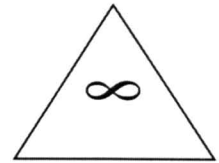
"mówię do Ciebie a w moim
głosie dzwięczy nienawiść"
(z *listów człowieka do Boga*, s. 33)

woła głos z *Eteru*. De Sade, któremu często za-

rzucano ateizm, nigdy nie kwestionował istnienia Boga. Stała się prowokować, by móc na własnej skórze doświadczyć Bożej kary. Tak mógłby w końcu rozpoznać Boga, jako sprawiedliwość. W eseju *Fantomy*, jakże podobnym w wymowie do utworu Koncy (choć zdecydowanie bardziej ostro), de Sade pisał:

Robert Konca

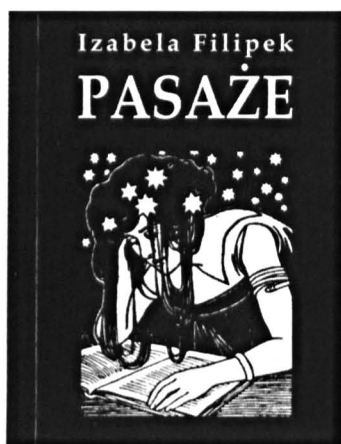
ETER



"Istota dziwaczna i próżna, której samo imię leje więcej krwi na powierzchnię ziemi, niż jej rozlały wszystkie wojny z pobudek politycznych wracaj do nicości, skąd miały odwagę Cię wywieść (niestety)oblakane nadzieje ludzi i śmieszny ich strach! Zjawiłeś się tylko dla udręki rodzaju ludzkiego. Ileż zbrodni oszczędzono by na ziemi, gdyby zarżnięto pierwszego imbecyla, który wpadł na pomysł mówienia o Tobie. Unieś się gniewem jeżeli istnieje"

(tłum. Antoni Czyż).

Dopominając się o kwestie uniwersalne, w części i historyczne, de Sade przemawia jakby w imieniu ogólnoludzkiej społeczności. Konca, bardziej egotycznie, pyta o to, co w jakiś sposób się z nim wiąże: o siebie samego, o napotkanych nieszczęśników, o sytuację, którą *on* obserwuje itd. Zaznaczyć jednak trzeba, iż myślenie lirycznego bohatera tych poezji o Bogu, nie kończy się na stawianiu zarzutów i pretensjach (rewelacyjny, zdaniem piszącego te słowa, jest choćby jeden z kolejnych „listów” zaczynający się od inc. „...widziałem dziś Twoją Matkę...”, s. 38). Na tym też polega w jakimś stopniu taki bardzo ludzki wymiar tej poezji - tu dosadność głosu, przyjmowany ton wypowiedzi, zależne są od nastroju. Toteż podmiot tekstów jawi się z czasu jak mały, targany skrajnymi emocjami chłopiec,



któremu trudno dorosnąć.
Odmienne funkcjonuje
liryczne ja w
Pasażach Izabeli
Filipek. Charakter
tekstów jest po-
dobny do tego, z
czym mieliśmy do
czynienia w przy-
padku *Koncy*.
Niemniej, diame-
tralnie innych jest
jednak ich klimat.

Pasaże pokazują - co
zresztą znakomicie adekwatne to tytułu
tomiku - ciąg zdarzeń, obrazków, sytuacji,
obok których trzeba przejść niemal
każdego dnia by ten się spełnił. Oto więc
przed czytelnikiem otwiera się niezwykła
panorama, powiemy - jak w przypadku
Koncy - codzienności, ale jakże odmiennej,
jakże innej niż, ta która staje się udziałem
poety siedleckiego. Filipek nie wojuje, nie
toczy batalii ni światopoglądowych, ni
mentalnych, ni metafizycznych tym
bardziej. Przestrzeń wypełniającej się
„Księgi Dnia” to zajęcia niemal rutynowe,
ale jakże kojące w swej wymowie.

"Lubię kiedy w domu
pachnie dzieckiem
jest kobieta
i
męczyzna
znów tak samo
odbywa się rytuał
zmęczonego dnia
jest miłość
wtopiona w szybę
wzajemne
marzenia i tęsknoty"
(***, s. 12).

Jak łatwo zauważyć, nie jest to też jednak
puste, wyzute z emocji przyzwolenie na
fredrowskie „niech się dziej wola nieba”. Tu
evidentnie ujawnia się radość zwykłości.
Taka swoista praktyczna realizacji teorii
średniości Krzysztofa Gruse, wyzwalającej
spod jarzma „rozentuzjasmowywania” się
tylko tym, co odległe w jedną bądź drugą

stronę od tego, co średnie, codzienne
właśnie. Z drugiej jednak strony unaocznia
się tu jakby misterium codzienności.

"Usiądę gdzie chcesz
byle blisko ciebie
byleby tylko
wiedzieć
że
jesteś"

(***, s. 14)

Taka pewność da bowiem w efekcie poczucie
kojącego bezpieczeństwa.
Każdy dzień i chwila stają niemal mszą,
aksjologiczną celebracją wtopienia w dom.
To tam można się wspólnie „domować”,
„brzuszyć”, „rączyć” itd. Dom staje się
miejscem, w którym - jak trafnie obser-
wował to Mirosław Żuławski - „kiedy bu-
dzimy się nocą [...] poruszamy się po nim
po ciemku nie rozbijając o meble i ściany,
trafiamy w drzwi i niewidoczne klamki, bo
wiemy, gdzie co jest i gdzie co stoi, jednym
słowem jesteśmy u siebie” (*Album domowe*.
Warszawa 1997, s. 277). Najbardziej więc
pasjonujące staje się dla podmiotu obser-
wowanie najbliższych. Obserwuje rodzinę,
swoje małżeństwo - bo też, dodajmy, jest w
tej poezji coś pogranicznego między
otwartością i nieskrępowaniem a ekshi-
bicjonizmem - i daje prawie że pamiętni-
karski zapis utrwalający stan bycia.
Zapisany wiersz staje się zapisem
egzystencji, śladem istnienia konkretnego
podmiotu. Istnienia pośród może
niezmiennych, lecz jakże barwnych
pasaży.

To, co warto podkreślić na koniec to fakt, iż
niezwykle istotny przy lekturze jest
konceptyjny namysł nad doбором
tekstów w obu tomach i ich układ.
Podmiot *Koncy*, jak i tomik, jest nierówny,
bywa rozchwiany i chybliwy, u Filipek
zaś stonowana i statyczna (w dobrym
rozumieniu) postawa podmiotu pozwala
na konstrukcję lekką i zwięzłą, niemal
delikatną i jednak ciekawszą artystycznie.

Robert Konca, Eter, Liw 2006; Izabela Filipek,
Pasaże, Liw 2006



ARTUR ROGALSKI

Imperium

wyrzeć zobaczyć co za murem
potem iść do krańców miasta
zakreślić na mapie miejsca przyjazne i
wrogie
z błogą nieświadomością ich
prawdziwego przeznaczenia

na nikogo nie czekać
gdy upał wędruję aleją drzew
czas od brzasku do pierwszej gwiazdy
na razie pozbawiony konieczności
więc nie myśleć co nastąpi

droga wschodnia
na jasnych ścianach zawieszone
marzenia
z pasmem łąk
drzewem
ciemną linią lasu
w szklane otchłanie
gdzie trzęsawisko młodego wina
wpadają rozżarzone krople laku

droga północna
chwila odpoczynku
kiedy nad dachami
dzień i noc
układają tajemnicę następnego dnia
w zrozumiały plan

droga południowa
mglista zapowiedź przyszłości
snuje się w labiryncie murów
ulatuje w niebo z gwizdem parowozu

droga zachodnia
jeszcze nie istnieje

tam gdzie przecinają się drogi
na zawsze wpisany w okrąg środek
ślepa ściana kamienicy
i stado gołębi na niebie

DARIUSZ MAGIER

CO GRYZIE TOMKA ROLKO?

Późnym latem 2007 roku światło dzienne ujrzały dwa tomiki wierszy Tomasza Rolko, są to, wydane własnym sumptem autora: reedycja *Iskry klamstw, iskry prawd*, tytułu, którego pierwsze wydanie miało miejsce rok wcześniej, oraz *Zjednoczone lekcje życia*. Wydawnictwa zawierają w sumie niemal czterdzieści utworów i można zaryzykować twierdzenie, że stanowią wizytówkę dotychczasowego życia twórczego młodego (pokolenie stanu wojennego) włodawianina.

Poezja Tomka Rolko to wiersze-obrazy i nie ma w tym nic zaskakującego, jako że jego zainteresowania to swoista *ekumenia* poezji, fotografii, grafiki i malarstwa. Zatem, gdy czytamy wiersze kreatora grupy poetyckiej Black Angel, przed oczami wizualizuje się nam świat, w którym porusza się również podmiot liryczny. To pomaga czytelnikowi w percepcji tej, niełatwej przecież, twórczości, którą można by określić mianem ascetycznej. Rzeczywiście, jest w tym jakiś romański pierwiastek oszczędnej

formy wczesnego średniowiecza.

Autor zdaje się nie narzucać, snuje swój oszczędny przekaz, stawia frazy konieczne, wieloznaczne, dużo pozostawia domysłowi czytelnika i jego zmysłowi interpretacyjnemu.

Iskra klamstw, iskra prawd, który to tytuł zapożyczony został z wiersza rozpoczynającego tomik, już na samym początku uderza nas tym średniowiecznym, scholastycznym, epitaficznym niemalże, technieniem w postaci utworu *Piękności mistrza*. I już na tym etapie przychodzi do głowy pytanie o ducha tego średniowiecza, czy bliski on Doktorowi Anielskiemu czy raczej kacerskiej iskrze burzącej. Niepodobna odpowiedzieć na to jednoznacznie nawet po lekturze całego tomiku. Rolko prowadzi niewątpliwie intensywne poszukiwania, które targają nim od namiastek panteizmu w utworze *Rzucany wiersz* („Pamięć po człowieku/ pamięć po jaskółce/ po kamieniu”), po elementy nietzscheańskiej

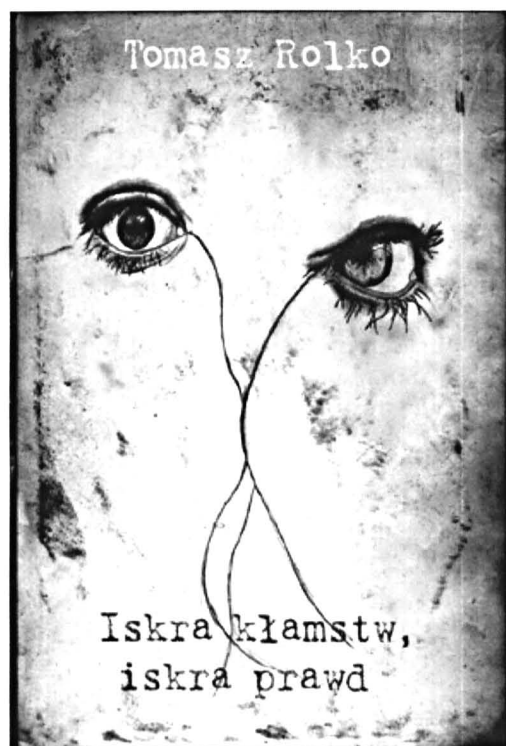
idei śmierci Boga, które tkwią w *Śpiącym czarodzieju* („światło miłości jako metoda,/ okazywania współczucia śpiącego czarodzieja”). Te poszukiwania, tak przecież charakterystyczne dla młodości, w twórczości włodawianina zdają się przetrwać w odwieczną walkę dobra i zła, która w poetyce Tomka Rolko przybiera formę powtarzających się ciągle zmagających światła i ciemności, dzieciństwa i dorosłości, trwania i przemijania, ducha i materii. Podmiot liryczny stoi na granicy dorosłości i zdaje sobie sprawę z tego, że oto wychodzi poza bezpieczną strefę, tam, gdzie czyhają złe moce. W wierszu *Obraz z dzieciństwa* miniony etap życia jawi się rajem utracionym, jak ta huśtawka, co to „Smutek wypływa z jej wnętrza/ gdyż żadne dziecko nie uraczy jej/ swoją zabawą”. Wyraźna artykulacja przekraczania granicy dorosłości to także wiersze *Kwiatki życia* i *Dzień dusz*. Utrata raju dzieciństwa, podobnie jak tego przez duże R, wiąże się z uzyskaniem świadomości, choć dysonansem musi być tu jednak atmosfera wygnania. Wyraźnie czuć ją w *Przemijaniu*, który to utwór jako pierwszy w całym zbiorze artykułuje jednoznaczne opowiedzenie się po stronie światła w jego walce ze złym mrokiem. Aczkolwiek to ono odkrywa całą prawdę o rzeczach nieprzyjemnych: „Zegar wybijający:/ sekundy szczęścia/ minuty rozmów,/ godziny miłości./ Dzień, wieczór, poranek”. Ale światło, jak czytamy w wierszu *Cień*, choć okrutnie realne, jest wolnością, która „daje wybór”, i nadzieją, która „daje możliwości”. Cień zaś niszczy życie „jak ogień”. Również jak ogień piekielny, który niszczy życie wieczne. I może się okazać, że nie zawsze „jutro będą na górze”. Rolko wie jednak o tym i dzieli się swoimi uczuciami z czytelnikiem (*Wieczne myśli*): „Twarz skruszona daje znaki zapytania/ dla lepszego poranka./ Twarz miłosierna daje/ wykrzykniki dla uśmiechów”. Wie, że nie ludzka to zasługa, lecz „Boski dar życia”. Bóg jest Źródłem, „Płomieniem”. On jest! I znowu, nie wiedząc czy ocieramy się o herezję panteizmu czy też czystą ortodoksję, przytakujemy jednak gorliwie,



że Płomień to źródło, to światło, to życie, dzięki któremu: „Biegnę, patrzę, czuję”. Kolejną odsłoną walki dobra ze złem są w wierszach Tomka Rolko zmagania uczuciowości i rozumu. Człowiek targany uczuciem to dlań (*Kropla*) „kropla deszczu ubrana w płaszcz marzeń”, która pędzi „w kierunku bliżej nieokreślonym”. Bez myśli, bez rozsądku, bez świadomości Bożego planu, na oślep, by w końcu „rozbić się o taflę kałuży”. Oto ślepa uliczka owej, tak modnej dziś, straceńczości, którą redaktor „Ściany Wschodniej” widzi również w miłości: „Los oddychający swoim chłodem/ złapał za rękę marzenia./ Poprosiłaś by puścił./ Puścił, lecz spalił nasze dusze” (wiersz bez nazwy). Z drugiej strony niedopuszczalna jest całkowita dominacja rozumu nad sercem. Również w tej dziedzinie zbawcza wydaje się owa błogosławiona równowaga, choć czasami nasze poczynania rozum będzie rejestrował - jak to rozstanie dwojga osób w wierszu *Serce na rozstaju* - jako „niedokończoną scenę z podrzędnego filmu”. Stąd w wierszach Rolko znajdziemy sceny gwałtownych miłosnych tąpnięć (*Znikająca miłość*), czy pękającego nieuchronnie związku, w którym „Uśmiechnięta twarz patrzy/ wzrokiem kochania/ Płacząca twarz patrzy/ wzrokiem rozstania” (*Myśl jednością jednego spotkania*). Tytuł wiersza, jakby żywcem wyciągnięty z dyskografii zespołu Myslowitz (to zresztą nie wyjątek), nie jest tu jedynie przelotną manierą. Utwory zebrane w tomiku *Iskra kłamstw, iskra prawd* to bardzo „muzyczne” wiersze. Dźwięczą w głowie, zdają się wypełniać przestrzeń. Słyszymy niemal, jak „Kwiatek spada na ziemię/ W swoim locie:/ uśmiecha się,/ bawi,/rozmawia,/ uczy,/ starzeje,/ opada z drzewa życia” (*Kwiatek życia*).

I wszystko byłoby jasne, gdyby nie ten przerażający demoniczny chłodem (przynajmniej w dwóch pierwszych, skądinąd jakże udanych, zwrotek) wiersz *Na imię miała „Zima” Iskra kłamstw, iskra prawd* to całkiem spójny tomik, dobry na „Wymarzony wieczór pamiętany nie tylko w słowach/ lecz i w czynach” (*Na imię miała „Zima”*).

Przez dwa lata mieszkałem w jednym pokoju z



fanem (fanatykiem?) The Cure, stąd wiem co nieco o mrocznej stylistyce, nihilistyczno-gotyckiej formie i samounicestwiająym przekazie tej muzyki. „Kłęczę i czekam w ciszy” - cytata z „Kurczaków” - to post-motto najnowszego tomiku założyciela grupy poetyckiej Black Angel. Znak to, że mamy już do czynienia z twórcą, który wie, co chciałby przekazać. Czy jednak wychodzi to na dobre? Czy wie również, jak to przekazać?

Od razu wyjaśnię, że *Zjednoczone lekcje życia* to dla mnie tomik słabszy od poprzedniego. Mniejsza spójność utworów, rwana „fabuła”, szczątki myśli, fraz, czasów, osób, stylistyka snu, która wiadomo ma swoje prawa. Wszystko to znajdziemy w otwierającym kolejną przygodę z poezją włodwianina wierszu *Kielich snów*. Jednocześnie pragnę zauważyć, że znalazłem w tym wydawnictwie również najlepsze wiersze spośród wszystkich utworów opublikowanych w obu zbiorach. Na przykład *Wiara*. Dlaczego? Może dlatego, że ideowo poszukujący. Zrazu zastanawiałem się czy nie powinien się znaleźć raczej w tomiku *Iskra kłamstw...*? Jednak nie. Ten, ale również inne wiersze zebrane w *Zjednoczonych lekcjach życia*, to jednak wyraźny rozwój poety. Z tego również może wynikać stopień komplikacji tej poezji, który

zdaje się rodzić problemy percepcyjne. Do tego znacznie większe rozchwianie ideowe autora, który wydaje się już mniej jednoznaczny w swym światopoglądzie. O ile *Wiara* stanowi jeszcze bliską memu sercu krytykę zsekularyzowanej cywilizacji Zachodu („Prawdziwych ust nikt nie/ dotknie/ a w bok wsadzić rękę?”), to w *Umieram*, stanowiącym niejako paralelny dwuwiersz z poprzednim, w podmiocie lirycznym brać górę wydaje się *grzech humanitaryzmu* głoszący, że jedynie na podstawie stosunków z bliźnim zarysować można wizerunek Boga, w którego wierzymy. Jak gdyby miały być On efektem, a nie podmiotem działań: „Ile odwajemionych/ uśmiechów Bóg/ zapisze w wieczystej księdze// ile smrodu wybawi szatana/ z jego duchowej udręki/ ile grzechów/ stanie się wzorem// wzorem nie do naśladowania/ wzorem do pogrzebu/ w trumnie zapłacze/ i wyjdę w pieklach czasu”. Oto człowiek staje się alfą i omegą bogiem samemu sobie.

Rolko już nie stoi na granicy skonfliktowanych stron, tak jak robił to w *Iskrze kłamstw...*, z poziomu której dokonywał obserwacji wrogich sobie obozów. Teraz już zapuszcza się to na jedną to na drugą stronę. Horyzont mu się niby powiększa, ale też dopada go propaganda obu frontów. W intymno-uczuciowym *Sercu na rozstaju* podmiot liryczny wręcz nie wydaje się już błądzić. Sprawia wrażenie jakby już wybrał - ŻŁE. To zdaje się potwierdzać kolejny wiersz o uczuciach damsko-męskich (*Sercowe*), w którym poeta daje się porwać uczuciowości i ogarnia go „sercowe poczucie szalu”.

Z drugiej strony mamy jednak również *Hymn popkulturowy* demaskujący gnijące świętości ponowoczesności i ślepotę jej przewodników. Oto niezbędni, w które jako adepci tej cywilizacji zostaliśmy wyposażeni, zostają utracone: „Moja wewnętrzna/ zbrodnia/ Chrystusowej/ stajenki/ panicznie przeobrażonej/ w nic”. Ale to tylko zapowiedź prawdziwej kulminacji, którą jest (również szczytowy ekspresyjnie) wiersz *Hymn popkulturowy - zero*. Skażenie popkulturowe wykrzywia wizerunek Chrystusa, który przeobrażony zostaje w gwiazdora popu na pulsującej hałasem i światłami estradzie. I nie chodzi tylko o świecką kulturę masową, wystarczy pójść

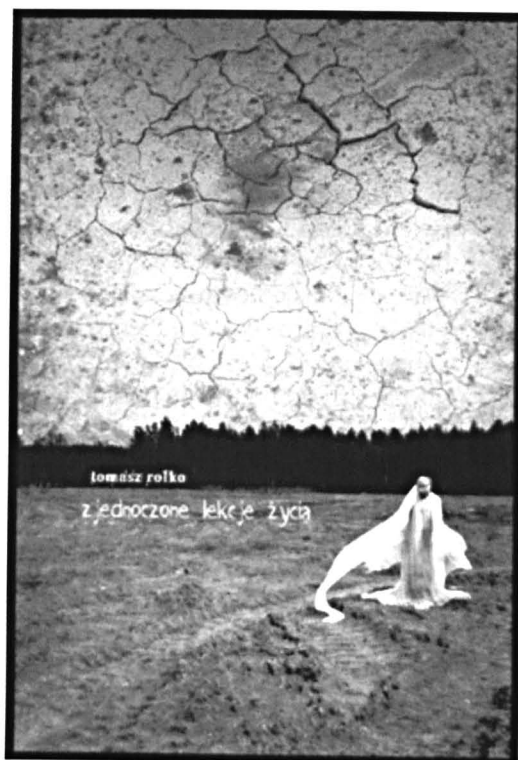
do kościoła na co bardziej modernistyczną mszę, by się o tym przekonać. To wszystko sprawia, że zaczynamy oglądać rzeczywiście w odbiciu wprost z lunaparkowego gabinetu luster, które czynią nas niezręcznymi. Najprostsza, najkrótsza, najłatwiejsza droga do Prawdy zarasta chwastami. Ludzkość dopada przekleństwo kultury masowej, która przerodziła się niemalże w masowy kult. Błądzimy ze świadomą samokrytyką na ustach („chwila depcze krzyże/ stopami brudnymi/ wchodzę w jego serca/ jestem grzesznikiem/ człowiekiem czasów/ przebrzydłych”) po duchowej Ziemi Ulro niczym jacyś zapomniani postheglowscy zombie („niech świeci tylko oczami/ zbłądzonymi pewnikami/ przemijania// narkotycznym transom/ czystego ukłucia”). Wykluwa się prawda o całkowitym zinstrumentalizowaniu Boga przez człowieka. Do bólu niemal fizycznego, do przesady, do granic wytrzymałości. Prawda wypływa na wierzch: „On sam i nic poza tym” (*Sen Zbawiciela*). Mamy tu również nawiązania eschatologiczne mówiące o mrocznym swądzie pustego życia (*Wszyscy wszystkim*). W całej krasie pojawia się coś, co jedynie nieśmiało zarysowywane było w tomiku *Iskra prawd...*, ów radykalny, bo prawdziwy, podział na cywilizację życia i cywilizację śmierci. Poeta widzi, że obywatele tej ostatniej to „plemię pogrzebów”, „trupy śladotwórcze” i „mężowie stanu zgniętego ducha”, którzy nawet wówczas, gdy zjrzy im w oczy strach przed piekłem, znajdują tylko jedno wyjście - ucieczkę w konsumpcjonizm („uczyn z życia show”).

Nawet związki damsko-męskie wpisane są w tę permanentną, toczącą się zarówno na poziomie transcendentnym jak i ziemskim, walkę cywilizacji. Wiersz *Litania uwielbienia*, traktujący o zbliżeniu cielesnym, zaczyna się w momencie, w którym erotyki gloryfikujące cielesność zwykle się kończą. Nie kończy się jednak wędrówka zapoczątkowana grzesznym aktem seksualnym, bo „serce dajesz/ zabierasz sny/ w podzięcie za wybredny/ obrzydliwy wstyd/ nagich ciał/ gdzie lekkość rąk/ przekracza granice/ dobrego smaku”. Nie ma miejsca na happy end, „Ślubu nie będzie”. Miłość ludzka w wierszach Tomka Rolko daleka jest od tak modnego dziś

fetyszyzowania, od gloryfikowania, niby-nadrzędności, niby-najważniejszości, niby-wieczności (*Lekcja chemii 2*). Poeta wie, że to tylko owa „chemia”, a nawet najdłuższe lekcje chemii jednak się kończą. Oto syndrom dziesięciu minut do końca lekcji, „gdy z pulsującym sercem na rękę/ wkraczam w martwicę próśb/ więdnącym wzrokiem/ kochania”. Wiemy już, co się stanie, choć nie dopuszczamy do siebie myśli o tym.

Jednakże Rolko nie zadowala się etapem obserwacji. Bunt przeciwko tchnącej śmiertelnym odorem mas-kultury może zaowocować reakcją, przerodzić się w wewnętrzny imperatyw działania, kiedy (*Furia mistrza*) pojawia się owe „skacz skacz” ponad śmiertelną pustką jałowości argumentów za trwaniem w obłudnej nicości („masz tysiąc słów zero/ pomy-słów”); ponad *małą stabilizacją* wyzucia z indywidualizmu w oceanie trendów („skacz skacz sercem”); ponad śmiertelną cielesnością trwającą na pozycjach auto-kłamstwa powielającą matrycę zbudowaną przez projektantów, strażników i *pożytecznych idiotów* cywilizacji śmierci („skacz skacz przez fale/ kłamstw i pomówień/ skacz skacz ponad ciałem”). *Furia mistrza* to wiersz dynamiczny, drżący emocjami, prawdziwy manifest.

Zjednoczone lekcje życia jest tomikiem bardzo różnorodnym, w którym znalazło się także miejsce dla utworu w stylistyce polskiego literackiego misterium (*Lament ogólnopolski*), podejmującego temat demoniczności życia społeczno-politycznego głęboko zanurzonego w historii naszego kraju. Polak, zawieszony pomiędzy wirtualnym światem „politycznych płaszczy”, rzeczywistym krajobrazem przenicowanym tragiczną historią („krwią ożłocony/ sztyletem sprzedany”), gdzie człowiek, niby ta Tomaszowa trzcina na wietrze, targany namiętnościami („gdzie ślepe miłości mnie wiodą?/ czy na skraj bożej układanki?”), których celu nie może znać, choć chciałby uszczknąć z tej polskiej układanki kilka fragmentów puzzli również dla siebie. Nieśmiało zdaje się marzyć, że nie tylko dla siebie, bo oto w ponadindywidualistycznej tragedii „znowu ty/ zjawia myśli/ brzegu dotyk”. I polska niepewność drogi wyboru:



„gdzie ta droga wiedzie?/ do lepszych światów?”

W *Symfonii umierania* Tomek Rolko uzewnętrznia w końcu dręczącą go różnicę między pożerającą ludzi ideą a prozą ich życia i wiary, kiedy „wierni ku wiernym/ pochwalon Boga/ lecz zabijając innego/ przedstawiciela gatunku”. Z czego wynikać może wszechogarniające uczucie zmęczenia i zniechęcenia walką, zaangażowaniem, nawet wiarą (*I snu*), ku ucieczce w niebyt, w ślepe uliczki różnych dalekowschodnich nirwanizmów „czasu dla czasu”. Ta końcówka *Zjednoczonych lekcji życia* rodzi we mnie uczucie nieprzyjemnego zgrzytu, bo sprawia wrażenie, jakby wojna była już przegrana. Miejmy jednak nadzieję, że to tylko rozejm. Klęcząc czekajmy w ciszy na ostateczną bitwę.

Tomasz Rolko,
Iskra kłamstw, iskra prawd (Włodawa 2006);
Zjednoczone lekcje życia (Włodawa 2007).



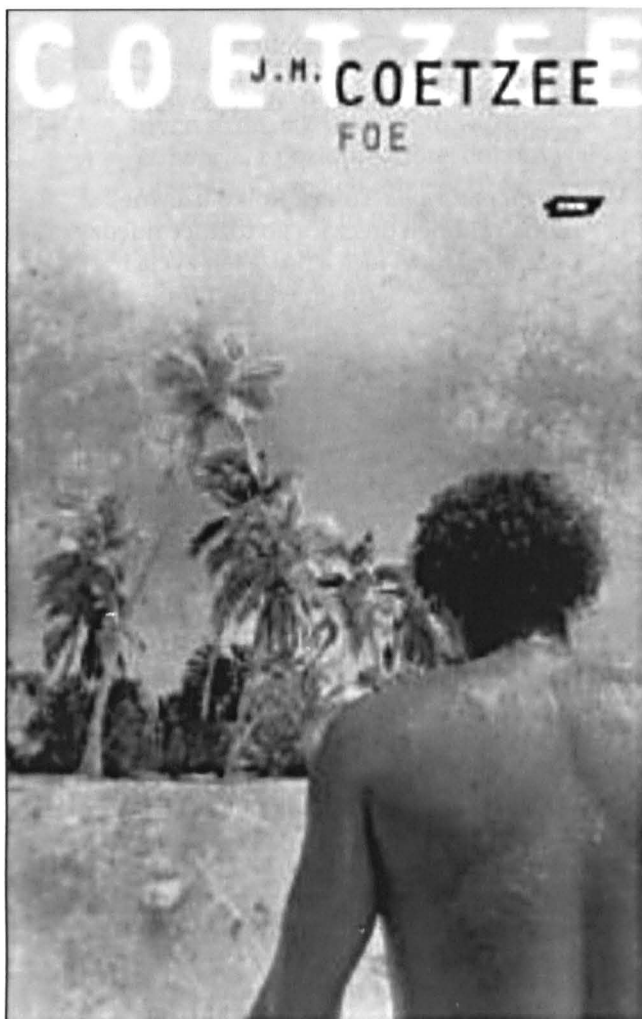
HUBERT CZARNOCKI

FOE

Susan Barton płynie z Brazylii do Lizbony po nieudanych poszukiwaniach porwanej, jak twierdzi, córki. Wkrótce załoga podnosi bunt, a Susan trafia nieznaną wyspę. Wyspa okazuje się zamieszkała przez niemego czarnoskórego Piętaszka i jego pana Kruzo. Kobieta spędzi tam rok, zanim dla całej trójki nadejdzie pomoc. „Taką historię powinnaś Pani spisać i zaoferować księgarzom” nakłania ją do opisanego tego, co przeżyła na wyspie, kapitan okrętu, który uratował rozbitków. Susan nie zna sztuki pisarskiej, więc szuka pomocy u pisarza, niejakiego Foe. Bohaterka pragnie, by ktoś pomógł jej opowiedzieć prawdę, natomiast Foe chce stworzyć dobrą

powieść. Czy da się powiedzieć prawdę w powieści? Czy da się napisać prawdę, a jednocześnie ciekawą powieść? Autentyczność nie jest przecież w literaturze pięknej wymogiem. Dodatkowo pojawia się też problem przepaści między przeżytym a opisanym, doświadczonym i zaświadczone. W powieści pobrzmiewają również typowe dla postmodernizmu rozważania o różnicy pomiędzy słowem, a tym co ono oznacza. Bo *Foe* to przecież powieść postmodernistyczna. To gra ze znaną nam wszystkim powieścią Daniela Defoe *Robinson Crusoe*. To także przenikanie się fikcji i rzeczywistości, tekst wielopłaszczyznowy i tajemniczy. Wciągająca łamigłówka wywołująca różne pytania: Kto tak naprawdę żyje w tej powieści, a kto umiera? Kto (a może raczej co) jest córką Suzan? Co oznacza milczenie Piętaszka? Kto w ostatniej metaforycznej scenie odwiedza wrak statku? Foe? Kruzo lub jego duch? Autor? Przeczytajcie *Foe* J. M. Coetzee. Książkę, która arcydziełem nie jest (te pojawiają się przecież nader rzadko), ale która ociera się o arcydzieło w takich chociażby fragmentach jak ten: „Przypadek rzucił mnie na tę wyspę, przypadek rzucił mnie w jego ramiona. Czy w świecie przypadku istnieje jakieś *lepiej* i *gorzej*? Poddajemy się uściskowi nieznanego lub oddajemy falom; na mgnienie oka czujność nasza przygasa; zasypiamy; a przebudziwszy się, widzimy, że oto życie utraciło kierunek. Czymże są owe okamgnienia, przed którymi chroni nas jeno wieczne i nieludzkie czuwanie? Czy nie szparami i szczelinami, kędy w życiu naszym przemawia inny głos, inne głosy? Jakim prawem zatykamy uszy?”

J. M. Coetzee, *Foe*, wydawnictwo "ZNAK", 2007





ROBERT KONCA

Żegluga promowa na rzece

Styks

Ci których nazywamy umarłymi
Nie umierają w istocie, oni
Tylko przez chwilę są tu nieobecni

Potem chodzą wśród nas choć nie
słysząc ich kroków
Patrzają jak zapominamy pograżeni w
sobie
I nie zauważamy ich powrotu

Myślimy że na zawsze odchodzą
A oni nie zaprzestając swoich
poszukiwań
Przekonawszy się że poza tą przestrzenią

Nie ma dla nich niczego lepszego
Pokornie wracają z jałową pamięcią...
Być może później w innym wyciągają
miejscu

Swój los, być może obrany na nowo
Cel przeciwną rozjaśnia stroną nieba
Lecz Przewoźnik łapczywie inkasując
obol

Ma rozkaz długo kluczyć wśród nurtu
rzecznego
I wszystkim pasażerom bez względu na
profesję
Mówić że widzi ich dopiero po raz
pierwszy

MARIUSZ BOBER

MARCIN DYDYNA - ANOMALIE

Pierwsza myśl jaka mi przyszła po recenzji tomiku Marcina Dydyny to dwa słowa. Kropka i koniec. I w tych słowach zawarłaby się cała recenzja. Dlaczego? Ponieważ jest idealny. Perfekcyjny. Kiedy zacząłem pisać recenzję nie dotarłem jeszcze do jego końca lektury. Nie musiałem. Po kilku pierwszych tekstach wiedziałem już, że teksty ważone są aptekarską wagą. Znakomicie. Ani jednej kropki więcej niż potrzeba. Ani jednego zbędnego przecinka. Nie miałem czasu, by pisać recenzję. Na słowa administratora witryny Knowacz.pl: „może byś napisał recenzję”, zareago- wałem z lekką niechęcią czy nawet iry- tacją. Nie, nie z powodu złości, ale z powo- du nawału prac. W duchu sobie myślałem: „Do cholery, odczepcie się ode mnie. Ja nie potrafię pisać recenzji. Nie znam się. Nie mam pojęcia o recenzjach, a już na pewno na warstwie technicznej. Cóż, jedyne kry- terium mojej oceny to wycucie i intuicja. Ale może akurat w tym serwisie o to cho- dzi, o wycucie i intuicję. Oby. Nie, nie jestem profesjonalem i nie zamierzam nim być. Zamierzam natomiast brać na intuicję i na aptekarską wagę. Jak położę i drgnie, powiem ok. Można czytać. W tym przy- padku tomiku Marcina należy przeczytać i mieć na własność do poduszki, na półkę, dla przyjaciela, dla innych! A Ty, Piotrze, wybacz moją irytację. Teraz dziękuję, że zleciłeś mi tą recenzję. Dawno nie czyta-łem tak lekkiej i precyzyjnej poezji. Tak syntetycznie podanego tematu, a jedno- cześnie nie pozbawionego ducha. Dla mnie znakomite. Polecam i rekomenduję.



na prowincjach umysłu

szukam pominiętych słów
czytam drzewa twarze i nas
których nie można
nigdzie dopasować

odgroźdzeni
sypiamy w potarganej pościeli

noce są późne
sny wiją się w porannej przestrzeni
na językach światła

Marcin Dydyna, *Anomalie*,
Wirtualne Wydawnictwo
„Goneta” Aneta Gonera,
www.goneta.net, s. 28



Marcin Dydyna
anomalie



NESTOW SAKACZBIA

„oto jest, i (...)”

ślepa wiara
ślepa miłość
i nadzieja równie ślepa
prowadzone uwięzione
przez człowieka

co to niby widzi wszystko
jak na dłoni
zapisanej bruzd ilością
i ciągłością przerywaną
rzutem oka

tam gdzie pole malowane
dziur językiem
tam karawan
ślepych wiedzie

do widzenia

:)pomędzy(

dziecięcych chwil pisanie

słów mlecznych
wypadanie

z mlekiem matki
ciepłym lekiem

na przeżycie

Zakupuku (Nierwana)

Zapagnęli nieznanego
I wydali się
Po woli

Raz

I drugi
Potem trzeci
I tak leci
Leci

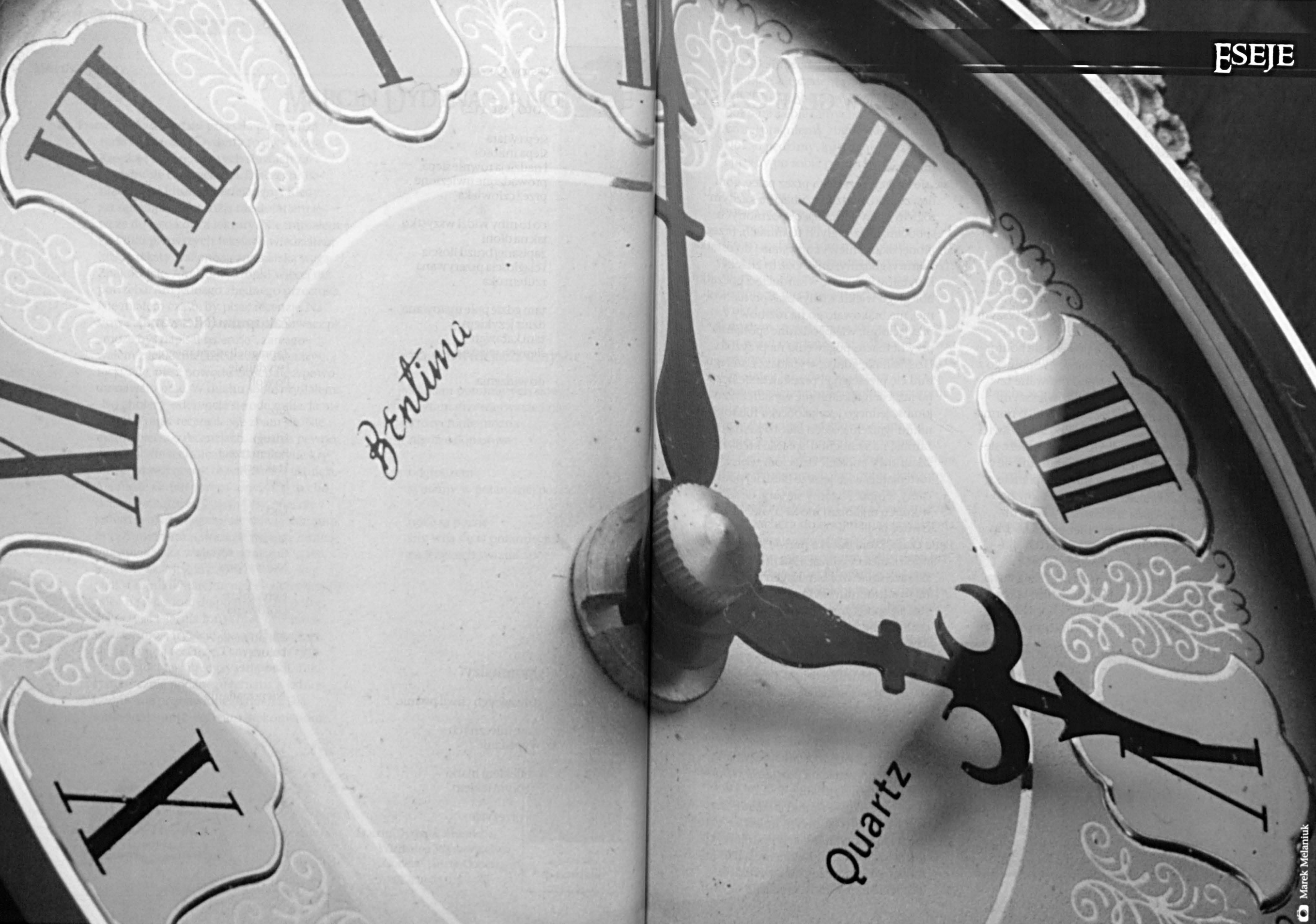
Leci

Jestem
Resztą co została
Nie wydana

Cena zbytu
Górowana

Ponad mękę
I ułudę
Żądy tej

Nieposiadania



Bentima

Quartz



BEATA BEREZA
JAKUB JASIŃSKI

PODRÓŻ W GŁĄB CZASU

Żyjemy w czasach określanych przez wybitnych i wnikliwych obserwatorów współczesnej kultury mianem ponowoczesności. Świat galopujący w szalonym pędzie rozwoju technologicznego, cechujący się fragmentarycznością i epizodycznością relacji międzyludzkich, rozwarstwiający się na wiele wymiarów trudno uchwytnych dla przeciętnego Kowalskiego staje się coraz bardziej obcy i wyjałowiony. Człowiek sprzeniewierza się tzw. wyższym wartościom, jak honor, uczciwość i rzetelność. W ich miejsce pojawia się konformizm, spryt (niewiele mający wspólnego z etyką) i zuchwalstwo podyktowane tzw. wyścigiem szczurów i coraz większymi wymaganiami wobec jednostki. To normalna reakcja na zmiany zachodzące w świecie, w którym coraz trudniej odnaleźć siebie i drugiego człowieka. Zapomina się o odpowiedzialności za innych i planetę, szukając coraz to nowych środków podporządkowania środowiska własnym celom i wygodom. W niebyt odchodzą tradycje i myśli przodków. Na ich spuściznie zbudowano rzeczywistość tak różną i daleką od pierwotnej, iż wydawać się może, że utracono coś bardzo ważnego, coś, co pozwoliłoby ocalić choć cząstkę starego świata. Utracono linearność czasu.



Tyrania chwili

Czas się kurczy, przecieka przez palce, goni nas; zegarki, budziki czyhają za każdym rogiem i przypominają o spóźnionych spotkaniach, zaległych terminach, przegapionej okazji, niewykorzystanej do ostatka minuty, godziny, dnia. Cóż to znaczy? zapytałby jegomość w surducie z początku ubiegłego wieku. Kiedyś czas płynął wolniej, nie brakowało go na rozmowy z przyjaciółmi, wielogodzinne spotkania przy herbacie, pogawędki na przyzbie. Dziś, jeśli nie gonisz, wypadasz z szeregu, inni cię prześcigną i przestajesz się liczyć, bo już jeden fakultet nie wystarczy, znajomość jednego języka obcego nie robi na nikim wrażenia, jeden etat to za mało, by zarobić na samochód, spłacać kredyt mieszkaniowy i opłacić dzieciom tenis i grę na fortepianie, więc jeszcze bardziej podkręcamy tempo. Ścigamy się sami ze sobą, aż w końcu organizm mówi „dość” chorobą. Owczy pęd.

Pętla czasu, która dotyka prawie każdego mieszkańca cywilizacji zachodniej, zdaje się zacieśniać wokół naszych szyj. Jakie jest na to antidotum? Jedno: zwolnić, wydostać się spod tyranii chwili. Nasz świat cechuje chwilowość, czas ulega kompresji. Szybkość i intensywność przeżywania powoduje zmniejszanie się przerw pomiędzy jedną chwilą a drugą. Zaczynają się one spiętrzać, nakładać na siebie, a nam ciężko jest zaczerpnąć oddech, odpocząć. Jedna czynność pogania kolejną. W rezultacie jesteśmy zmuszeni zrezygnować z głębokiego zaangażowania się w daną rzecz, a poprzestać na powierzchowności. Nie ma czasu na analizę.

Pożółkle, koronkowe firanki, herbata parzona w starym porcelanowym imbryku, rozmowy o spadających liściach z parkowych drzew spowitych mleczną mgłą dziś już nikogo nie interesują i nie wzruszają. Zatraciliśmy zdolność cieszenia się dro-

bnostkami codzienności. Może to melancholijne, ale czasem warto wysiąść z biegnącego ku chaosowi świata i spojrzeć z boku na siebie samych i rzeczywistość, w której pragniemy zbudować coś stałego. Dokąd pędzimy, ku czemu zdążamy, co chcemy po sobie pozostawić?

U źródeł czasu

Tak mało szczerze, otwarcie ze sobą rozmawiamy, tak mało mówimy do łąk, lasów, gwiazd, które mijamy jadąc w dal siną, tak niewiele czasu zatrzymujemy w dłoniach, aby przeznaczyć go na kontemplację niesamowitości cudu życia wokół nas.

Doskonałym sposobem na zatrzymanie czasu jest wizyta w skansenie, gdzie wskazówki przyproszonych kurzem zegarów stoją od dziesiątek lat, gdzie wietrząca się przed domem pierzyna przywołuje wspomnienia z dzieciństwa.

Przekraczając próg sądeckiego skansenu (Sądecki Park Etnograficzny) odnosi się wrażenie, iż wkracza się do innego świata, dwuwymiarowego, bez czasu. Położony jest on na obrzeżach miasta, na wierzchołkach pagórków i w dolinach między nimi, zachęca do zwolnienia i wyciszenia, jednocześnie przyciągając uwagę. W pośpiechu jego urok umknąłby percepcji, a przechodzień rozczarowałby się jego pozorną nudą, pótniebytem. Podziwiając stare gospodarstwa, stodoły, obory, spichlerze, dworki, kościoły sprzed wieku, stuletnią szkołę powszechną, gdzie stoi jeszcze „koza” i „ośła ławka” udajemy się w podróż do źródeł czasu.

Słońce. Majowe przedpołudnie. Cisza, w której szelest skrzydeł motyla „Cytrynka” pieści nasz zmysł słuchu. Siadamy w milczeniu na ławce z surowego drewna topoli. Przed nami ogród na tyłach małopolskiego dworku z XVII wieku przeniesionego tu z Rdzawy koło Bochni. Wokół nas maki polne, rumianki, pszczoły zapylające koniczynę. W innym wymiarze znajdują się huczące stolice europejskich miast, betonowy pył i zgłęb aut. Po naszej lewej stronie poletko wschodzącego jasnozielonego żyta. Nieopodal sadzawka z

tatarakiem i nieodłączną rzęsą, pod którą na świat przychodzą kijanki. Idealne warunki do spokojnej lektury. Poza nami prawie nie ma turystów. Ludzie nie lubią odwiedzać skansenów. Za cicho tu. Można przypadkiem usłyszeć własne myśli, a to dla wielu nieprzyjemne doświadczenie. My wymieniamy uśmiechy. Tak, to nasz świat. Tak, to ten sposób delektowania się życiem. Naturalne piękno, harmonia z naturą. Nie chodzi wszak o to, by powrócić do kultury neandertalskiej i wyrzec się wszelkich zdobyczy techniki, ale rzecz w tym, aby umiejętnie pogodzić obie sprawy, aby korzystając z jednej, nie niszczyć drugiej. Nie odcinać się od korzeni, od historii, od tradycji, od tego, co było wtedy dobre. Nie przyjmować a priori wszystkich nowinek, nie gonić za modą, filtrować napływającą nowoczesność.

Razem, kontemplując znieruchomiałą chwilę, uświadamiamy sobie trud i jednoczesną prostotę ówczesnego życia. Był mozół, ale bez pośpiechu. Dziś jest jedno i drugie.

Dobrze jest czasem spojrzeć z ukosa na mknący pociąg życia, wyjść poza własny świat, przyjrzeć mu się. Krytycznie. Obrazy widziane przez szybę oszalałego sunącego pojazdu są zamazane, niewyraźne, zlewają się w jeden pejzaż bez konturów, nie sposób zatrzymać wzroku na żadnym obiekcie, wnikać głębiej w istotę rzeczy. Czyż nie jest to „widok z okna” niejednego z nas?





Urok skansenu

W starej, drewnianej cerkwi łemkowskiej - zabytku skansenowskim - zastygłe postaci świętych na ikonostasie drzemią od ponad dwustu lat. Polichromie wykonane we wnętrzach dworku szlacheckiego przez kanoników przetrwały do współczesności przez 350 lat. Można na nich podziwiać scenki przedstawiające „przypadki duszy wśród niebezpieczeństw świata”. Nie sposób uciec od banalnego sformułowania, iż unosi się nad nimi duch czasu i magii. Staje się to tym bardziej odczuwalne, gdy słyszymy historię opowiadaną przez kustosza o rodzinie Baranowskich, która wprowadziła się tamże po 50. latach obecności kanoników i którą zaczęły nękać rozmaite plagi i nieszczęścia. Dodać należy, iż rodzina nie była religijna. Postanowili oni zabielić wapnem ściany zdobione przez polichromię. Zła passa minęła. Dopiero po dwustu latach, gdy dwór przeszedł w ręce Wesołowskich,

odkryto zapomniane malowidła. Konserwatorom udało się je odzyskać. Wyglądają niezwykle mistycznie, zwłaszcza, gdy na ścianach toczy się gra wpadających przez okna światła i cieni rzucanych przez słońce i chmury.

Sądecki skansen jest na tyle dużym terenem, iż ma się wrażenie przybywania w autentycznej, starodawnej wiosce. Więcej, ma się wrażenie podróży w czasie. Własnoręcznie wykonane meble, kołyska dla dziecka i wystrugany konik na biegunach, rzeźbiona skrzynia z posagiem panińskim i gigantyczna dzieża, w której dojrzewało ciasto na chleb, piec, w którym wypiekać można jednocześnie szesnaście bochnów, a którego zapiecek pomieści dwanaście dorosłych osób do spania. To wszystko jest dla współczesnego człowieka odległe jak era mezozoiczna, a w rzeczywistości funkcjonowało powszechnie jeszcze

niespełna sto lat temu. Nasi dziadkowie, mieszkający na wsiach, nie mieli innych przedmiotów codziennego użytku, nie znali innych narzędzi. Gdy zapytamy ich, co sądzą o współczesności, zapewne odpowiedzą, że nie nadążają za zmianami. Czy dlatego, że wiek im na to nie pozwala? Po części pewnie tak. Ale obawiam się, iż jest to problem znakomitej większości z nas. Dlatego proponuję odbyć podróż do przeszłości, by z dystansem i trzeźwością móc spoglądać w przyszłość.

Skansen muzeum etnograficzne pod gołym niebem, którego celem jest zaprezentowanie kultury ludowej danego regionu. Przenosi się do nich typowe przykłady architektury ludowej z danego obszaru, a wraz z budynkami ich wyposażenie, sprzęty, narzędzia, wystrój, ubrania ludowe i inne elementy folkloru. Nazwy tej obecnie

używa się także dla zebranych pod gołym niebem zabytkowych obiektów technicznych.

Nazwa tego typu muzeów wywodzi się od szwedzkiej nazwy własnej Skansen, użytej dla otwartej w 1891 przez Artura Hazeliusa ekspozycji 150 przykładów architektury drewnianej z terenu całego kraju, na półwyspie Djurgården (czyt. Jurgorden) na terenie Sztokholmu, gdzie po raz pierwszy przygotowano tego typu zbiór zabytków. Przeniesiono tam z różnych regionów kraju charakterystyczne dla nich budynki wiejskie.



ZBIGNIEW DMITROCA

Całą noc padał deszcz

Całą noc padał deszcz ale to jeszcze nie potop
choć nie wiadomo przecież jak to się wtedy zaczęło

Rozsądek podpowiada że nigdy nic nie wiadomo
Początki i końce często nie grzeszą wiarygodnością

I nie wiadomo czy właśnie jakiś wybraniec losu
nie wyszykował już arki w której nie ma już miejsca

Ale niby dlaczego miałby mieć miejsce dla nas
W końcu żyjemy tak że po nas choćby potop

sierpień 2007



ARKADIUSZ KULPA

ZROZUMIEĆ IKONĘ

Ikona kojarzy się przede wszystkim z Kościołem wschodnim. Jednak ostatnimi laty dużo mówi się o jej renesansie nie tylko w Kościele wschodnim, ale też zachodnim. Trzeba jednak pamiętać, że ikona jest dziedzictwem także Kościoła katolickiego. Przed rozłamem (schizmą) z 1054 roku istniała już w całym Kościele bardzo bogata ikonografia.

Malarstwo ikon narodziło się w Bizancjum w V i VI wieku. Zaczątki późniejszego malarstwa ikonograficznego stanowiły już malowidła katakumbowe z pierwszych wieków chrześcijaństwa. Kościół nie był wtedy podzielony, wręcz przeciwnie - był bardziej zjednoczony niż obecnie. Ikony są zatem dziedzictwem całego świata chrześcijańskiego. Niektórzy badacze twierdzą, że zaczątków ikony należy szukać już na czterysta lat przed rozłamem w kościele.

Tradycja głosi, że pierwszą ikonę stworzył św. Łukasz. Na desce stołu, przy którym jadła Święta Rodzina, namalował portret Matki Boskiej z Jezusem. Swoje dzieło podarował św. Teofilowi. Po śmierci św. Teofila malunek został przewieziony do Jerozolimy. Tam odnalazła go żona cesarza Teodorzusa - Eudokia. Gdy ikona trafiła do Konstantynopola, została umieszczona w Kościele Ton Hodegon w dzielnicy portowej. Wtedy to nazwano ją Hodegetrią „Ta, która wskazuje drogę”. Obecnie jest to najbardziej rozpowszechniony typ ikony przedstawiający Madonnę z Jezusem. Jednym z jej wariantów jest ikona częstochowskiej Czarnej Madonny.

W 692 roku został zwołany Sobór Trullański, który odegrał istotną rolę w malarstwie ikonowym. Jego orzeczenia definiują istotę ikony oraz wskazują na związek między ikoną a dogmatem Wcielenia. Ikona miała przedstawiać ludzki wizerunek Wcielnego Boga. Od tego czasu Chrystusa przestano ukazywać symbolicznie, jako baranka, lecz jako człowieka, gdyż Jezus Chrystus stał się człowiekiem i zamieszkał wśród nas. Sobór ten określił też kanony,

które pozwalały stwierdzić, czy dane malowidło jest ikoną czy tylko wizerunkiem. Ikona musiała dawać świadectwo, pokazywać oblicze Boga lub ludzi z Nim zjednoczonych. Nie mogła być jedynie wizerunkiem.

W 730 roku cesarz bizantyjski Leon II zakazał kultu ikony. Wtedy to narodził się ikonoklazm - ruch heretycki zwalczający kult ikony. Miał on na celu oczyszczenie religii chrześcijańskiej ze wszystkiego, co materialne, zmysłowe, nie duchowe. Czcieli ikon okrutnie prześladowano. Jednak ikonoklazm nie zwalczył kultu ikon - czczono je potajemnie. Skutkiem tego ruchu było zniszczenie wielu fresków, mozaik i ikon.

W czasach ikonoklazmu wielkim autorytetem i obrońcą kultu ikony był polityk i teolog - Jan Damasceński (675-750). To jego argumenty doprowadziły do tego, że na VII Soborze Powszechnym w 787 roku wznowiono kult ikony. Jednak król franków Karol Wielki nie zaakceptował postanowień Soboru. Z jego inicjatywy zostały sporządzone *Księgi Karolińskie* (790-794). Zapisano w nich, że obiektem czci jest tylko Bóg, a nie ikony. Wszelkie malunki, w tym też ikony, mogły być używane tylko do upiększania świątyń. Skutkiem tego było to, że na zachodzie Europy w malarstwie nie istniały schematy ikonograficzne, które rozwijały się na wschodzie. Malarze Europy Zachodniej mogli po swojemu interpretować wątki chrześcijańskie i w ten sposób oddalali się od malarstwa Europy Wschodniej.

Po zwalczeniu ikonoklazmu nastąpił szybki rozkwit malarstwa ikonowego. Przeszło ono ewolucję stylistyczną i nabrało jednolitego, harmonijnego charakteru. Malarstwo ikon zostało zespolone z pierwiastkiem duchowym.

W 1435 roku pod naporem Turków upadło Cesarstwo Bizantyjskie. Wtedy też centralnym ośrodkiem malowania ikon stała się góra Atos. Z Bizancjum malarstwo ikonowe

przeniknęło na Ruś i Bałkany. Na Rusi, która była ostatnim państwem, które przyjęło chrzest z Bizancjum w 988 roku, rozwój malarstwa ikonowego przypadł na XV i XVI wiek. Tworzył wtedy najsłynniejszy ikonograf w dziejach malarstwa zakonnik Andrej Rublow. Wtedy też na Rusi zaczęły powstawać liczne szkoły ikonograficzne. Były to środowiska malarzy działające w monastyrach, wielkich miastach lub na dworze carskim. Najsłynniejszymi były szkoły działające w Nowogrodzie, Pskowie oraz w Moskwie. Równie słynne były też szkoły działające w takich miastach jak Twer, Niżnyj Nowogród oraz w dawnych grodach Rusi północno-wschodniej. Jednak szkoły: nowogrodzka, pskowska i moskiewska wniosły najwięcej do stylu i historii ikonopisania.



Pantokrator (gr. Wszechwładca) przedstawienie Chrystusa z prawą dłonią uniesioną w geście błogosławieństwa, a lewą trzymającego otwartą lub zamkniętą księgę Ewangelii.

Najstarsza jest szkoła nowogrodzka. Działała nieprzerwanie od czasu powstania Rusi. Już w XVI wieku do Nowogrodu zaczęły docierać nowe prądy wpływy malarzy greckich na czele ze słynnym ikonografem Teofanem Grekiem. To właśnie w Nowogrodzie zachowały się jego jedyne freski w cerkwi Przemienienia, datowane na rok 1378. Szko-

łę nowogrodzką charakteryzuje przeważnie czerwone tło ikony, prosta forma oraz archaiczno-ludowy styl.

Następna szkoła - pskowska była silnie związana z Nowogrodem, jednak już w XVI wieku usamodzielniała się. Ikony tej szkoły wyróżniają się niesymetryczną, dynamiczną kompozycją charakterystyczną gamą barwną z dominacją ciemnej zieleni i różnych czerwieni oraz złotym lub żółtym tłem.

Najmłodszą ze szkół ikonopisania na Rusi była szkoła moskiewska. W XIV wieku, kiedy to przypada rozwój szkoły, Moskwa była niewiele znaczącym grodem. Szkoła kształtowała się pod wpływem Włodzimierza, gdzie rezydował Wielki Książę oraz dwór metropolity. Szkoła ta, podobnie jak szkoła nowogrodzka, kształtowała się pod wpływem malarzy greckich. Tutaj również przez jakiś czas tworzył Teofan Grek. W szkole moskiewskiej mieszało się wiele nurtów i wpływów artystycznych. Ikony tej szkoły cechuje ciemny koloryt, który nadaje im cechy archaiczności i napięcia. W szkole tej tworzył też Andrej Rublow. Wiek XVII to schyłek malarstwa ikonowego. Nastąpiło to wskutek wpływu sztuki zachodniej na wschodnią. Ponowne jego odrodzenie to przełom XIX i XX wieku. Głównym powodem tego odrodzenia było doskonalenie procesu renowacji.

Ikona przeciętnie „żyła” od 80 do 100 lat.

Następnie pokost, którym było zabezpieczone malowidło, ciemniał do tego stopnia, że całkowicie zakrywał wizerunek. Często też dochodziła do tego sadza ze świec, które paliły się przed ikonami. Wtedy „odnawiano” je. Na poprzedni, niewidoczny już rysunek nanoszono nowy, nie-rzadko całkowicie inny. Proces renowacji w XX wieku osiągnął prawie doskonały stopień. Wtedy to spod starych pokostów zaczęły wyłaniać się wspaniałe kolory i piękne formy.

W 1913 roku na wystawie sztuki staroruskiej w Moskwie ikony zadziwiły świat jako zjawisko unikalne i posiadające ogromne znaczenie artystyczne. Wystawiono wtedy odrestaurowane ikony szkoły nowogrodzkiej i moskiewskiej z XIV-XVI wieku.



Hodegetria przedstawienie Matki Bożej z Dzieciątkiem. Maria prawą dłonią wskazuje na Chrystusa Emanuela trzymanego przez Nią na lewym ramieniu.

Przyjęło się powszechnie uważać, że ikona to po prostu obraz o tematyce religijnej. Nic bardziej mylnego. Ikony nie powinno się uważać za dzieło artystyczne, ponieważ ikona zawiera w sobie znacznie więcej. Ikona jest wyobrażającą się przez obraz Tajemnicą Boga, a walory artystyczne ikony są wartością marginalną.

Aby zrozumieć kult ikony i znaczenie, jakie jej nadaje Kościół wschodni, należy się cofnąć aż do początków cywilizacji ludzkiej. Już w czasach najdawniejszych człowiek, aby zawiązać kontakt z czymś boskim, czymś nie z tego świata, posługiwał się wizerunkami wyrytymi lub namalowanymi na skale.

Najstarsze cywilizacje, tj. Egipt, Rzym, Grecja, uważały, że wizerunek ma charakter sakralny i jest symbolem obecności. Najlepszy przykładem traktowania wizerunku jako symbolu obecności jest stosowana w dalekich prowincjach starożytnego Rzymu praktyka rozstrzygania spraw w sądach przy wystawionej podobiznie cesarza - Divus. Wtedy trybunał mógł występować w jego imieniu, a podobizna gwarantowała

świętość każdego wyroku, tak jakby wydał go sam cesarz.

Na soborze w Efezie ikonę określono jako „przybytek” miejsce, w którym osoba przedstawiona jest w cudowny sposób obecna, jest uczestnikiem Tajemnicy Wcielenia wydarzenia, kiedy to Bóg stał się człowiekiem, aby człowiek stał się Bogiem. Ikony nie są obrazami. One nie przedstawiają, ale ukazują inny świat przez szczególne, znalezione w przeciągu wielu stuleci środki przekazu. Ikona staje się miejscem spotkania modlącego się przed nią człowiekiem z Żywym Uobecnionym Bogiem. To jego łaski wylewają się na kontemplującego przed ikoną człowieka i to on jest autorem każdej ikony. Ikonograf dba jedynie o stronę techniczną ikony, zaś jego rękę z pędzlem prowadzi sam Bóg. Dlatego też często mówi się o ikonach, że są „nie ręką ludzką uczynione” - *nierukotvornyje, achiropatejos*.



Eleusa (gr. czułość, miłosierdzie) przedstawienie Matki Bożej z Dzieciątkiem siedzącym na jej ramieniu i przytulającym policzek do jej twarzy.

Z tak rozumianej teologii ikony wypływa cały szereg wymogów i zasad natury czysto artystycznej. Już sam proces wytwarzania ikony musi być mistyczny i modlitewny, ponieważ powstała ikona ma być misty-

cznym miejscem spotkania z samym Bogiem. W 1551 roku Sobór moskiewski zalecił ikonografom pokorę, łagodność, pobożność i przestrzeganie czystości duchowej i cielesnej. Mnich, który miał napisać ikonę, musiał się do tego odpowiednio przygotować. Pisanie ikony poprzedzał post, modlitwa i medytacja. Ikonę pisano w izolacji od świata zewnętrznego.

Zasady pisania ikon podlegały ścisłym normom kanonicznym. Reguły te zebrano w podręcznikach nazywanych *hermenejami* (grec.) lub *podlinnikami* (ros.). Przepisy te dotyczyły schematów przedstawień akceptowanych przez Kościół oraz szczegółów technicznych. Często określały nawet jakość użytych tworzyw. Przepisom tym towarzyszyły nieraz rysunkowe wzorniki w formie książek lub luźnych kartek gdzie zaznaczano obowiązujące kolory. Obok tych instrukcji technicznych *podlinniki* dotyczyły też reguł życia ikonopisa. Twórcom ikon stawiały one wysokie wymagania moralne.

Najstarszą *hermeneją* jest *Księga z góry Athos*, której autorem jest mnich, lekarz i artysta - Dionizos. Księga ta była przez wiele stuleci przepisywana i uzupełniana, dlatego ciężko jest określić dokładną datę jej powstania. Niektórzy uczeni przypuszczają, że powstała ona począwszy od VI aż do XVI wieku.

Na terenie Bułgarii również zachowało się kilkanaście *hermenei*. Pochodzą one w większości z XIX wieku i są wzorowane na *Księdze z góry Athos*, np. *hermeneja Dymitra Zagrafa z 1851 r.*, lub *hermeneja Zachara Petrowicza z 1836 r.* Jednak mimo tego, że te *hermeneje* są wzorowane na *hermenei Dionizosa*, część przepisów tam zawartych opiera się na miejscowych tradycjach warsztatowych i własnych doświadczeniach autorów.

Podobrazim ikony jest przeważnie drewno drzew liściastych - lipy i topoli. Jednak w poszczególnych szkołach stosowano różne gatunki drewna. Dominowały oczywiście gatunki miejscowe.

Zanim przystąpiono do prac malarskich, deski przechodziły długi proces przygotowania. Przed suszeniem deski były poddawane działaniu gorącej pary wodnej. Składniki drewna rozpuszczalne w wodzie



Ornata (gr. Modląca się) Matka Boża przedstawiona jest na tej ikonie twarzą do przodu, z rękami uniesionymi na poziomie głowy rozłożonymi na strony i zgiętymi w łokciach. Gest ten oznacza modlitewne zwrócenie się do Boga. Na Jej łonie, na tle okrągłej strefy znajduje się Chrystus Emanuel - Dzieciątko Jezus. Ikona ta też była nazywana Panagia (gr. Najświętsza).

ulegały w ten sposób wylugowaniu i zniszczeniu, co powodowało w przyszłości większą stabilność podobrazia. Proces ten trwał kilka godzin. Następnie jeszcze gorące deski umieszczano w piecu piekarniczym, w którym dopiero co ukończono wypiekać chleb, i tam pozostawały aż do całkowitego oziębienia. Oziębione deski zawieszano pod stropem pomieszczenia, gdzie istniało zmienne działanie gorąca, dymu i przewiewu. Dym „wędził” deski zabezpieczając je w ten sposób przed działaniem owadów. Deski zawieszano ujęte z obu stron w dwie listwy mocno zesnurowane. Uniemożliwiało to paczenie i wyginanie się desek podczas schnięcia. Przygotowane w ten sposób deski schły kilka lat. Gdy były już całkowicie wyschnięte, przy uderzaniu musiały wydawać dźwięk zbliżony do dzwonu.

W zależności od potrzeb deski ze sobą sklecano. Przed paczeniem i pękaniem zabezpieczano je tzw. szpongiem. Były to dwie deski szerokości od 2,5 do 4 cm z twardego drewna wpuszczone lub przybite z tyłu ikony. W niektórych ikonach wydrążano tzw. krowczeg - na głębokości ok. 1 cm, uży-

skując w ten sposób obramowanie - pole. Krowczeg był płaszczyzną na zasadniczą scenę, a na polu, które tworzyło jakby ramę, umieszczano teksty komentujące lub drobne sceny z życia świętych. Uskok między krowczegiem a polem nazywano lużą.

Na tak przygotowaną deską naklejano płótno lniane, konopne lub bawełniane. Stosowano do tego zabiegu kleje skórne lub skrobiowe. Naklejenie płótna przyczyniało się do stabilizacji podobrazia, stwarzało dobre warunki związania między drewnem a zaprawą (poprzez zaklejenie płótnem wszystkich styków desek, szczelin i sęków) oraz zabezpieczało zaprawę i warstwę farb przed spękaniem, odłuszczeniem i przenikaniem żywic. Gdy przyklejone płótno wysychało наносzono na deskę zaprawę. Zaprawa była mieszaniną kleju i gipsu. Nieraz zamiast gipsu stosowano kredę. W skład zaprawy wchodziły też gotowany olej lniany i mydło. Zaprawę наносzono w kilku cienkich warstwach (od 3 nawet do 10). Wyschniętą zaprawę wygładzano za pomocą pumeksu. Wygładzanie zaprawy miało już duży wpływ na późniejszy wygląd następnych warstw - pozłoty i farb. Stopień wyszlifowania sprawdzano posypując zaprawę sproszkowanym węglem drzewnym i uderzając podobrazem o kamień. Jeżeli cząstki węgla drzewnego utrzymały się na wygładzonej powierzchni świadczyło to o potrzebie dalszego szlifowania.

Gdy zaprawa była już odpowiednio wyszlifowana, наносzono na nią rysunek trzymając się ściśle reguł określonych w podlinnikach. Jeszcze przed przystąpieniem do zasadniczych prac malarskich wykorzystywano złocenia. Najwyżej ceniona była metoda na tzw. pulment. Jest to rodzaj kleju składającego się z krzemoglinianu zawierającego tlenki żelazowo manganowe, wosku, białka jaja i niewielkiej ilości tłustego mydła. Na nałożony w wyznaczonych miejscach rysunku pulment наносzona złota folia. Nieraz stosowano też srebro, miedź lub cynę.

Ikony pisze się głównie techniką temperową. Spoiwem w tej technice jest tempera jajowa. Przygotowywano ją mieszając żółtko

jajka kurzego z octem. Następnie z tak sporządzonym spoiwem ucierano barwniki organiczne z dodatkiem wody uzyskując w ten sposób farbę. Barwnikami były np. tlenek rtęci, który dawał piękną czerwień, lub arsenik, z którego uzyskiwało się żółty kolor.

Ikony pisało się etapami w ściśle określonej kolejności. Najpierw poszczególne części rysunku pokrywano cienkimi warstwami odpowiednich farb w następującej kolejności: tło, góry, budowle, ubrania. Następnie ciemniejszym kolorem zaznaczano linie konturowe budowli, załamań szat itp. Kolejną czynnością było rozjaśnianie oświetlonych części. Przeprowadzano to przeważnie w trzech etapach. Etap pierwszy to pokrycie przewidzianych jasnych miejsc farbą jaśniejszą od podstawowego tonu tła. W etapie drugim, farbą jeszcze bardziej rozjaśnioną, pokrywano miejsca przewidziane na jeszcze jaśniejsze partie, natomiast w etapie trzecim, farbą najbardziej rozjaśnioną, a nieraz samą białą, drobnymi liniami i kreskami zaznaczano miejsca najbardziej rozjaśnione. W ten sposób uzyskiwano tzw. światło naturalne. Cienie na szatach postaci i w krajobrazie pogłębiano наносząc cienką warstwę ciemnej farby.

Następnie malowano karnacje, tj. odsłonięte części ciała i oblicze. Najpierw pokrywano partie ciała podstawowym tonem karnacji nazywanym sankirem. Był to kolor uzyskany z wymieszania umbry zielonej z dodatkiem ochry jasnej i czerwonej. Po tonie karnacji można było odróżnić, z jakiej szkoły jest dana ikona, ponieważ ton karnacji był różny w różnych szkołach, np. w ikonach bizantyjskich ciemnooliwkowy, w nowogrodzkich jasnooliwkowy, w moskiewskich brązowo-żółty itp. W następnej kolejności malowano kontury oczu, ust, nosa, zarostu itp. Po zaznaczeniu konturów rozjaśniano poszczególne partie ciała nakładając coraz jaśniejsze warstwy farby. Na końcu maluje się żrenice oraz konturuje tęczówkę, powieki, końcówkę nosa, usta. Ostatnim etapem malowania części ciała jest naniesienie blinków, tj. jasnych kreseczek będących refleksami światła. Kładzie się je na uwypuklone części

ciała: wokół oczu, na czole, koniuszku nosa, na szyi i dłoniach.

W ostatniej fazie pisania ikony wykonywało się napis. Napis jest nieodzownym i istotnym elementem ikony. Wskazywał on na imiona przedstawianych postaci lub na ewangeliczne wydarzenia przedstawione na ikonie. Były one wykonywane w języku greckim lub cerkiewno-słowiańskim. Na przykład ikona Chrystusa ma napis z greckich liter IC XC będący skrótami od słów Jezus Chrystus. Zaś na nimbie (aureoli), na ramionach wpisanego weń krzyża znajdują się greckie litery OWV, które oznaczają imię objawione Mojżeszowi przez Boga przy krzewie gorejącym „Ten który jest”. Litery w nimbie mogą mieć różną kolejność w zależności od tego czy ikona jest grecka czy ruska. Kolejność wynika ze sposobu odczytywania - na greckich ikonach po okręgu z lewej do prawej, a na ruskich wersami - najpierw górny a później dolny. Ikony nieposiadające napisów nie mają wartości sakralno-mistycznych.

Ostatnią czynnością przy pisaniu ikon było zabezpieczenie warstwy malarskiej i pogłębienie tonacji barw przez pokrycie malunku oliwą. Składała się ona z szybko schnącego gotowanego oleju lnianego lub konopnego i żywicy (bursztynu lub kopalu). Oliwa wnikała głęboko w warstwę malarską i zabezpieczała ikonę przed wilgocią i zabrudzeniami. Jej minusem było to, że z czasem ciemniała.

Ikony są zbudowane z symboli. Symbole te są jak litery, którymi można napisać święty tekst. Dlatego mówi się, że ikony się pisze. Przeczyta go i zrozumie tylko ten, kto zna litery, znaki i układy, kto zna całą skomplikowaną teologię ikon. Rozumienie symboli pomaga zrozumieć mistycyzm ikon. W podobrazu ikony często jest wybrany krowczeg - wgłębienie, a pole tworzy naturalną ramę. Gdy nie jest wykonane wgłębienie, rama była malowana podczas pracy malarskiej. Krowczeg symbolizuje arkę, ikona jest bowiem arką świętości, a pole - rama, stanowi jej ochronę - ochronę świętości.

Symboliczna jest też perspektywa. Jest ona odwrócona. Polega ona na tym, że punkt zbiegu linii nie znajduje się na ikonie, lecz przed nią, czyli w miejscu gdzie znajdują się

osoba modląca. Powoduje to, że przedmioty przedstawione na ikonie rozszerzają się w miarę ich oddalania od widza. Stosowanie tej perspektywy stwarza na osobie modlącej się przed ikoną niezwykle silny efekt. Przestrzeń rozwija się we wszystkich kierunkach wszcz i w głąb, w górę i w dół tak mocno, że to, co dzieje się na oczach modlącego, uzyskuje nierealny boski rozmiar. Uzyskuje on wrażenie, że przedstawiony na ikonie boski świat otacza go i to nie osoba modląca patrzy na ten świat, ale ten boski świat patrzy na nią.

Detale twarzy świętych, ułożenie ciała i gesty mają również symboliczny charakter. Święci przedstawieni na ikonach są już w innym świecie, gdzie nie ma ruchu, zmian i czasu w zwykłym sensie tego słowa. Oni są już zaszczytzeni życiem wiecznym. Ich spojrzenia są spojrzeniami z wieczności. Nie mącą ich żadne namiętności, widzą świat pozaziemski. Ich oczy, duże i przenikliwe, rozplamienia ogień niebieski. Wąskie wargi świętych pozbawione są jakiegokolwiek zmysłowości, namiętności czy łakomstwa symbolizują ascetyzm. Wydłużone uszy słuchają ciszy. Czoło wysokie i szerokie oznacza mądrość, a jego lekkie zniekształcenia przewagę myśli kontemplacyjnej. Nos jest tylko długą i cienką linią. Z obliczem są też związane ręce, których długie palce oznaczają duchową szlachetność i czystość działania. Gesty rąk są przemyślane i związane z całością.

Na ikonach nie występuje światłocień. Jest to również symboliczne. Cień jest brakiem światła, a skoro Bóg jest światłością to nie może brakować światła w świętej rzeczywistości. Światło to byt, a cień to brak bytu. Światło Boskie prześwieśla realność ikony. Ono nie oświetla przedstawionych postaci, ale wyraźnie promieniuje od nich.

W symbolice ikonograficznej bardzo ważny jest kolor. To dzięki kolorowi, nawet bez odczytywania napisów, można rozpoznać przedstawionego świętego. Każdy kolor miał swoje miejsce i swoje znaczenie. Kolor złoty symbolizował światło. Oznaczał samego Boga. Złoty blask pozwalał poczuć blask Boga i wspaniałość Królestwa Niebieskiego. Kolor czerwony symbolizował ludzką naturę i męczeństwo. Był to kolor ciepła, miłości, życia, energii życiodajnej.



Agiosortissa - na tej ikonie Bogarodzica przedstawiona jest bez Dzieciątka, w pełnym wzroście, zwrócona w prawo, niekiedy ze zwojem w ręce.

Jest symbolem zwycięstwa życia nad śmiercią. Zmartwychwstania. Ale też na ikonach w czerwonych szatach byli przedstawiani męczennicy, ponieważ jest to kolor krwi, kolor męczeństwa. Kolor purpurowy symbolizował króla i władzę. To kolor Boga - władcy na ziemi i w niebie. Na ikonach kolor purpurowy miały szaty Boga i szaty Matki Bożej Królowej Niebios. Kolor zielony to kolor wieczności, nadziei, młodości, wiecznego odnowienia. To kolor kwitnienia, trawy i liści. Na ikonach zielonym kolorem malowano ziemię. Był on obecny tam, gdzie zaczynało się życie - na ikonach ze scenami Bożego Narodzenia. Kolor niebieski był symbolem nieba, innego, wiecznego świata. Był symbolem głębi i tajemniczości. Kolor niebieski to kolor Matki Bożej, łączącej w sobie cechy ziemskie i niebiańskie. Kolor biały to symbol Boskiego światła, czystości, świętości, prostoty i sprawiedliwości. W ikonografii w białych ubraniach przedstawiano świętych, sprawiedliwych, aniołów i dusze umarłych, ale tylko dusze sprawiedliwych. Kolor brązowy to kolor ziemi, prochu, wszystkiego co czasowe i skazitelne. Kolor ten symbolizował ludzką naturę podwła-

dną śmierci. Kolor czarny to symbol śmierci i zła. Na ikonach kolorem czarnym zamalowywano groty, które symbolizowały grób. Koloru tego używano też przedstawiając otchłań piekielną. Nieraz był to też kolor tajemnicy, nieosiągalnej głębi wszechświata, kosmosu. Czarne habity mnichów symbolizowały ich rezygnację z poprzednich przyjemności i przyzwyczajęń. Odstąpienie od zwykłego życia, swego rodzaju śmierć za życia.

Kolor, którego nie znajdziemy na żadnej ikonie, to kolor szary. Był to kolor niebytu, pustki, niejasności. Łączył w sobie dwa kolory: biały i czarny, dobro i zło i dlatego nie było dlań miejsca w świętym i promiennym świecie ikon.

Ikony są pogrupowane w cały szereg typów kanonicznych. Głównym typem są ikony Chrystusa w pojedynczej postaci (np. *Mandylion*, *Pantokrator*), jak też złożonych (np. Ukrzyżowanie). Drugi typ to ikony Matki Bożej z dzieciątkiem (np. *Hodegetria*, *Ornata*, *Eleusa*) lub w scenach wielopostaciowych (np. Zwiastowanie, Narodziny Jezusa). Następny typ to ikony z postaciami Świętych, Ojców Kościoła, a w Rosji nawet carów i kniaziów. Ponad tymi typami znajduje się ikona Trójcy Świętej w ujęciu starotestamentalnym (np. ikona przedstawiająca Tróję Świętą pod postacią trzech aniołów tak, jak na słynnej ikonie Andreja Rublowa) lub nowotestamentalnym (Bóg Ojciec, Syn Boży z krzyżem lub na krzyżu i Duch Święty jako Gołębica).

Bibliografia:

1. W. Ślesieński „Techniki malarstwa, społwa organiczne”, Warszawa 1984.
2. Wielcy malarze. Ich życie, inspiracje i dzieło. Część 60 Andrzej Rublow i ruskie ikony, Warszawa 2003.
3. www.jezuici.pl
4. www.ikona.art.pl
5. www.ikony.czyst.pl
6. www.orthodoxworld.ru





ADAM ŚWIĆ

#

wieczorami łątamy naszą miłość
 nitkę do cerowania splatamy z dwóch
 trzech różnych promieni
 i dlatego raz jest szaro a raz kolorowo
 ta nić mota nasze ręce i głowy
 w kokonach wyglądamy pokracznie
 ale można w nich przeżyć zimę
 powoli rosną skrzydła które wiosną
 oderwą nas od ziemi

#

zamieszkał w pustej muszli
 którą morze wyrzuciło na brzeg
 Nora znalazła ją
 i przyłożyła do ucha

zniewolił już wiele dziewcząt
 szept pięknego syna króla piratów

#

ostatni raz poprawiła włosy
 ten ruch miał być swobodny ale nie był
 jej szare oczy nie pasowały tu do
 niczego
 i bardzo chciała już je schować w
 poduszkę
 szybko biegła do niej
 ale łzy wysypały się na schody

#

każdy ma własną Itakę
 choć najczęściej dryfujemy
 nie znając jej położenia
 żeglowanie jest rzeczą konieczną i
 piękną

żeglowanie jest rzeczą straszną
 nigdy nie jesteśmy gotowi
 na godziny Scylli i dni Charybdy

ale nawet wtedy
 ktoś czeka



ARTUR ROGALSKI

POGRANICZA, CZYLI PAN TADEUSZ PO PODLASKU, CZ.2

Na początek wypada stuknąć się w piersi za pierwszy esej z tego cyklu. „Do cudzych błędów wyrozumiałe a do własnych bez miłosierdzia” i w myśl tej zasady pokornie proszę PP Czytelników o wybaczenie za uśmiercenie ks. Aleksandra Sapiehy w 1813 roku. Oczywiście Książę zmarł w Dereczynie we wrześniu 1812 roku; pfuj, panie Rogalski, naprawdę starzejesz się ekspresowo skoro takie byki strzelasz. A do księcia jeszcze powrócimy....

Po sprostowaniach wróćmy do teraźniejszości, czyli do peregrynacji, bo nim właśnie miał być poświęcony niniejszy „Kozł”. Ileż treści można zmieścić słowie „wędrowka” wie każdy wszystko jest podróżą na tym leż padole, zawsze dokądś dążymy, nawet kiedy się nie poruszamy i tak podróżujemy w bezlitosnej otchłani czasu. „On wlecze nas my wlecemy go, kałuże lśnią nam pod nogami...” parafrazując słowa piosenki. Ponieważ jesień w tym roku jakaś taka depresyjna to zaczęę minorowo cofając się na dodatek nieco dalej w dziejach naszego pogranicza niż w XIX wieku. Kilka tygodni temu dotknąłem śladu fascynującej wędrowki sprzed wieków. Po raz pierwszy wybrałem się na znany mi dotąd tylko z opowieści stareńki ewangelicki cmentarz w Węgrowie. Przez kręte uliczki prowadzi mnie człek, który o Węgrowie wie wszystko. W prawo, w lewo i już jesteśmy na miejscu. Ale to przecież blokowisko. Pierwsza myśl i pytanie gdzie tu historyczny cmentarz? Mój cicerone wskazuje niewielką kępę drzew i zarośli otoczoną parkanem ukrytą wśród betonowych domów/płyt. Zgrzyt metalowej furtki i patrzę na modrzewiowy XVIII-wieczny zbór protestancki otoczony wianuszkami grobów. Szkoci, Niemcy i Anglicy leżą pod kamiennymi płytami i metalowymi nagrobkami. Daleką podróż odbyli oni lub ich przodkowie na Podlasie... Ile w niej było przypadku a ile planów? Ilu zmarło traktując tę ziemię jako obcą i nienawistną a dla ilu była to ziemia obiecana? Od razu na myśl przychodzi podlascy Tatarzy, Ormia-

nie, tatarskie mizary w Studziance w bialskim... Ech....

Czas jednak wrócić do naszego pogranicznego macecznika początków XIX wieku, choć dziś o naszych stronach będzie niewiele. W końcu wędrujemy. Na początku - podróż w obrębie mentalności, tej lokalnej, najbliższej. Tu się wszystko zmienia na początku XIX wieku. Zgodnie z duchem czasów - rewolucyjnie. Zmiany chyba najbardziej dotknęły grupę społeczną najczęściej kojarzoną z naszym pograniczem - drobną szlachtą. Z tej grupy zaczynają się rekrutować w początku XIX wieku *-horribile dictu!* - służący w mieszczańskich domach... Oczywiście uboga, rozrodzona szlachta, do końca wolnej Rzeczypospolitej nie mogąc pozostać na roli też miała do wyboru służbę, ale służbę „honorową” u bogatszych krewnych lub najbliższego magnata. Pamiętać trzeba, że pojęcie „służba” w tych wypadkach było względne, bardziej odpowiednio byłoby tutaj określenie stosunki patronalno-klientarne. Początek wieku XIX przyniósł zasadniczą zmianę - po wygaśnięciu wielu fortun magnackich, lub zasadniczych zmianach w ich strukturze (jak w przypadku Siedlec), po zubożeniu średniej szlachty (czyli owych wspomnianych „bogatszych krewnych”), służy się już w pełnym tego słowa znaczeniu, i tym, którzy mają pieniądze. Pieniądze zaś mieli wówczas urzędnicy państwowi, rzemieślnicy i kupcy (a w ich gronie szczególnie hurtownicy i dostawcy) - ogólnie rzecz biorąc mieszkańcy miast. Wojny prowadzone w pierwszej dekadzie wieku XIX wzbogaciły mieszkańców miast, a zubożyły właścicieli majątków ziemskich. Rzemieślnicy miejscy zawierali zyskowne kontrakty na prace dla wojska, kupcy podejmowali się dostaw produktów owemu wojsku potrzebnych, urzędnicy dysponowali stałymi choć niezbyt wielkimi pensjami, które z wielką wprawą jak się wówczas określało „sposobem łapowego” potrafili sobie powiększyć. Natomiast właściciel ziemski był nękanym nieustan-

nymi rekwizycjami na rzecz wojska (o ile otrzymywał za nie pieniądze to - po cenach urzędowych, kilkakrotnie zaniżonych), dodatkowo tracąc poddanych wybieranych bezlitośnie „w rekruty”. Średnia szlachta pozbawiona koneksji swoich magnackich sąsiadów uciepiała mocno, uderzyło to pośrednio w szlachtę najuboższą. Przedstawiciele tej najliczniejszej i najmocniej się rozradzającej grupy, znaleźli się w tragicznej sytuacji. Małych gruntów dzielić nie było można, pozostawał na nich zazwyczaj najstarszy z rodu. Wyjątkiem zaś podówczas było jedno dziecko. W okresie wolnej Rzeczypospolitej pozostałe dzieci miały do wyboru karierę wojskową, kościelną lub urzędniczą. W okresie zaboru austriackiego szansa na objęcie stanowiska urzędniczego dla drobnej szlachty były minimalne (zmieniło się to od 1810 roku, kiedy drobna bądź zubożała szlachta zasilila masowo polskie urzędy a zwłaszcza rozbudowujące się podówczas sądownictwo). Dobrowolna służba wojskowa w czasach austriackich także nie wchodziła w rachubę, gdyż była dalszym ciągiem deklaskacji tej grupy. Pozostawała wreszcie - co jeszcze kilkanaście lat temu było uważane za niewyobrażalny dyshonor - służba w mieście...

Wspomnieć też niestety trzeba, że minimalny procent dzieci owej ubogiej szlachty zwłaszcza tych obdarzonych awanturniczą żyłką i wybuchowym temperamentem wybierało wówczas życie obieżyświatów i wagabundów bez stałego utrzymania, kariery ich często kończyły się chwałebnie w szeregach legionów we Włoszech, lub później w armii ks. Józefa, ale bywało, że dokonywali żywota jako pospolici przestępcy, jedni dorabiali się małego mająteczku, a inni wegetowali osiadając na obczyźnie, czasem bardzo egzotycznej.

Mój ulubiony romantyczny podróżnik Władysław Wężyk jasna sprawa Podlasiak z dziada pradziada, z rodziny osiadłej w powiatach łosickim i bialskim wspominał takie spotkanie z krajanem na początku 1840 roku na jednej z ulic Kairu „Mały człeczek, siwy jak gołąb, szyje sobie spokojnie w dziurze, w której na dwie osób najwięcej miejsca ... Wpatrzmy się w rysy



Artur Rogalski

jego twarzy... Z wejrzenia uczciwy!... Z jakiego on też może być narodu? Nie chytre to i zmienne spojrzenie Włocha! Nie ponure i zbojcekie Greka! Nie Turek to, ani Arab, bo ma twarz zbyt białą!... Któż więc on? Oto lepiej słuchajmy, bo otwiera usta i ociera zielone okulary. „A wzdyc państwo Polacy!” - „A właśnie mój stary!” - „A witajcież! witajcie! A wchodźcież do mego sklepiku! O! Jaki ja rad! Jaki ja rad dzisiaj”. „Witaj nam stary pocziwczel! co płaczesz na dźwięk rodzinnej mowy”. „A ja stary żołnierz!... Podlasiak!... Michał z Kęczek Kęczkowski! Szlachcic... krawiec w Kairze pod piramidami”. Króciutki wątek Podlasiaka w Egipcie niestety kończy się kilka stron dalej przy okazji wędrówki Wężyka na szczyt piramidy. Ale za to jak! Okazuje się, że na wielką piramidę wejść było dość łatwo, ale na pozostałe, mniejsze - niemal niemożliwe, bo „od wierzchniej połowy tynk jeszcze nie odpadł i formuje prostopadły spadek nie wydający sterczących kamieni. Wdrapują się oni Arabowie - A. R. na nie za kilka groszy nagrody”. A teraz uważajcie „A raz nawet, stary pan Michał z


 Mirosław Koczkodaj

Kęczek dla honoru narodowego wlaź także na nią, ale mówi, że jak się spuszczał, to mu włosy stały jak igły na głowie”!!!

Jeśli już mówimy o Egipcie wspomnijmy też o Antonim Haumanie jednym z niewielu Polaków biorących udział w wyprawie Napoleona nad Nil. Antoni był bratem Filipa, który organizował siłę zbrojną na terenach Galicji Zachodniej (czyli właśnie na naszym pograniczu) wyzwolanych w 1809 roku spod władzy austriackiej. Tutaj m.in. nominował na podporucznika Prota Lelewela (o którym już wspominałem i jeszcze nie raz wspomnę). Filip związany z naszym regionem przez służbę wojskową (a potem też przez majątek ziemski - Uści-mów pod Parczewem, zmarł tam w 1829 r.), uważany był przez współczesnych za bohatera; w świetle nowszych badań jawi się bardziej jako sprytny lawirant. Zaś Antoni faktycznie zdolny i odważny wojskowy, przekreślił swoją karierę a także i żywot nadmierną porywcznością. W trakcie służby w legionach włoskich zastrzelił kolegę i to starszego stopniem, powszechnie lubianego majora Zabłockiego. Oczywiście w pojedynku, lecz z powodu nader błahego, który i wtedy i dziś każdy wziąłby za żart, lecz wtedy dołączyły do zatargu zadawnione animozje osobiste, podgrzane przez obecnych przy zaiściu „życzliwych”. Ratując głowę przed zemstą towarzyszy broni Hauman uzyskał zwolnienie ze

służby i wziął udział w kampanii egipskiej Bonapartego. Nie miał jednak tyle szczęścia co Michał z Kęczek Kęczkowski i w 1798 roku schwytyany w drodze powrotnej do Włoch przez korsarzy tureckich, zmarł na dżumę w niewoli, w lochach stambulskiego arsenału. Egzotyczne podróże nie zawsze kończą się na szczytach piramid....

Ach ci Podlasiacy rozsiani po całym napoleońskim świecie! Pod koniec 1813 roku w Weissenfels do schwytanego w niewolę Szczepana Swinarskiego żołnierza napoleońskiego (w cywilu pan na włościach w powiecie węgrowskim), feldmarszałek pruski Gebhard Blucher (w cywilu - psychopata) demonstrując charakterystyczną dla Prusaków rycerskość ryczał: „powiesić bezwarunkowo!”. Być może na nasilenie przyływu przyjaćielskich uczuć papcia Gebharda do przedstawicieli sarmackiej nacji wpływ miały - jakby to ująć - prywatne troski ojcowskie, otóż w dniu 17 września 1813 roku w bitwie pod Peterswalde Seweryn Fredro starszy brat Aleksandra „ręką własną” ucałował do niewoli feldmarszałkowskiego synalka. Ze względu jednak na to, że Prusy szły jak zwykle na pasczku Rosji, a car Aleksander miał wówczas wobec Polaków akurat nieco inne plany niż stryk i powróż - Swinarski wrócił wraz z kolegami do kraju.

A Ejzyk, kupiec z Żelechowa, pytający młodego Prota Lelewela w tym samym tragicznym

1813 roku na ulicach Frankfurtu: „czy Pan nie jesteś przypadkiem Cieciszowski z Okrzei?” A potem wspierający młodego wojaka kilkoma dukatami...

A Władysław Wójcicki, późniejszy znany pisarz i etnograf? To właśnie on jako sześciolatek w 1811 roku przywędrował z Warszawy wraz z rodzicami na nasze pogranicze. Może i niewielka to podróż ale dla kształtowania się zamilowania „do spraw ojczystych” u przyszłego kronikarza Warszawy kluczowa. Ojciec Kazimierza, warszawski rajca, osobisty lekarz Stanisława Augusta Jan Wójcicki w 1811 r. za 40 000 złp wziął w zastaw od księcia Dominika Radziwiłła dobra Sławacin i Łukowce pod Białą. Wójcicki zamieszkali tam i chłopak ujrzał krajobraz, jakiego nie widział wcześniej, i którego nie dane mu było zobaczyć więcej. A oprócz wspaniałego zamku Radziwiłłów, prawdziwych Tatarów, oswojonych węzów, olbrzymich pięciolokciowych ryb łowionych w tutejszych stawach, wilków podchodzących w biały dzień pod stada wołów i innych dziwów chłopiec podziwiał odwieczną puszcę: „Olbrzymie sosny, dęby, olchy, gdy chciałeś spojrzeć na ich wierzchołek, musiałeś czapkę przytrzymać na głowie. Dużo było leżaków [przewrócone pnie drzew - A.R.] próchniejących wśród wilgotnych moczarów. Słońce w największy skwar letni przedrzeć się tu nie mogło, a chłód był tak przejmujący i szczególny, że gdyś wpadł w ten ostęp, nic z nim porównać nie mogłeś. Wśród południa dnia letniego, w czasie pogody i promieni słońca, tam panował zawsze pomrok wieczoru [...]. Im głębiej zapuszczałeś się w ten ostęp, pośród największej burzy i ulewy w najstraszniejszej zawiei, tu ciągle majestatyczna cisza panowała [...] doświadczony strzelec Tatar Jankiewicz, a dawniej hułał z nadwornej chorągwi Radziwiłłowskiej mówił „Tu mój paniczu - od wieki wieków siekiera żadnego pnia nie dotknęła.” Pisząc o peregrynacjach trzeba koniecznie wspomnieć o podróży powrotnej Wójcickich do Warszawy w 1813 roku, właśnie w tym roku po raz pierwszy *en masse* Polacy mieli nieszczęście zostać wyzwoleni przez kolegów ze wschodu. Jak wiele rodzin miejscowych posesjonatów także rodzina

przyszłego literata opuściła w popłochu bialskie dzierżawy. Po latach Kazimierz Władysław wspominał dramatyczne epizody ucieczki: „Z tego folwarku w roku 1813 z matką moją uciekaliśmy ku Warszawie. Mieliśmy 4 konie z tabunu, zakupione we Włodawie, i ręczności ich, oraz zręczności Jana Huczko (woźnicy) [...] winniśmy, żeśmy z rąk Kozaków uszli, którzy wpadłszy do Białej puścili się za nami w pogoń. Dogał nas w drodze Murzyn Lapierre i odtąd jechaliśmy razem. W wielkim lesie pod Kałuszynem po drodze piaszczystej jechaliśmy wolno, gdy wyszedł z gąszcza drab ogromny, prosząc o jałmużnę. Lapierre dał mu kilka groszy, on mu je rzucił w oczy, a włożywszy dwa palce w usta przeraźliwie świsnął. Na ten zbójcecki odzew wypadło kilka o pół staja przed nami z pałkami. [...] Na próżno zbójcy chcieli zaskoczyć drogę i uchwycić za lejce; dwóch konie piersiami rozbiły i rzuciły daleko i dzięki ręczności ich zostaliśmy ocaleni. Lapierre jadący za nami bryczką, dostał uderzenie pałką, lubo nieszkodliwe, po plecach. Przybyliśmy szczęśliwie pod Pragę, noc zapadła i dalszej podróży przeszkodziła. Wojska rosyjskie napelniały cały gościniec, zajechaliśmy więc do najbliższej karczmy, natłoczonej już oficerami”. Murzyn Lapierre? Któż zacz? Podczas niewoli Kościuszki w Petersburgu Jean Lapierre był służącym Naczelnika. Potem pojawił się w otoczeniu księcia Dominika Radziwiłła, należał do grona najbliższych przyjaciół młodego ordynata. Do 1813 roku mieszkał w Białej. Mały Kazio zapamiętał go tak: „był to człowiek czytany i otarty w świecie, mówił kilku językami i nieźle po polsku; wysokiego wzrostu, składny, zręczny, umiał sobie zjednywać względy pięknych kobiet”. Po wkroczeniu Rosjan w granice Księstwa przyjechał z Wójcickimi do Warszawy. Ciekawe co działo się z nim potem... Od siebie dodam, że należytości Jeana Lapierre na dobrach bialskich są odnotowane w księgach siedleckiego konserwatora hipotek. Jak długo z nich korzystał nie wiem. Pewne jest jedno - ten to dopiero podróżował!

W późniejszym okresie Wójcicki senior zakupił na własność dwie wsie w powiecie bialskim, i Wójcicki junior znów był na po-

graniczu. Ale wszystko co piękne kończy się bezpowrotnie. Kazimierz opuszczając Białą około 1820 roku nie wiedział, że krajobrazu dzieciństwa nie zobaczy już nigdy więcej: „To był mój ostatni pobyt w puszczy, pożegnałem się z nią wtedy na zawsze” - napisał po kilkudziesięciu latach - „...topór spekulantów żydowskich puszcze tę wycinał do szczytu. W roku 1850 z ruin zamku bialskiego widziałem z boleścią, jak z tej wielkiej i poważnej puszczy lichy tylko las kępinami przerastał...”. Naszym starszym braciom w wierze serdecznie dziękujemy. Ja zaś korzystając z okazji wyrażam wdzięczność dla współczesnych władz samorządowych, które chwalebnie kontynuują tradycję czyszczenia rzeczywistości od wrażeń zieleni i przeklętych drzew. Żeby wam tak w płucach grało (tak życzył swym wrogom mój dziadek kiedy się zezłościł) jak dźwięczą te piły, którymi tniecie pnie w mieście, tego wam drodzy włodarze Siedlec i innych miast pogranicza serdecznie życzę.

A Oborski ze starej szlacheckiej rodziny spod Liwa, w 1812 roku komendant placu w Siedlcach a w kampanii 1814 roku dowódca sławnego pułku Krakusów, pułku, którym zachwycał się sam Bonaparte, pułku rozbijającego w proch i pył jazdę pruską i rosyjskich kozaków? A czym przyjacielem był Oborski? Aleksandra Orłowskiego, coś Państwu świta? Tak, tak to ten sam „Nasz malarz Orłowski...”, miał gust Soplicowski. Trzeba wiedzieć, że to jest Sopliców - choroba, że im oprócz Ojczyzny nic się nie

podoba. Orłowski, który życie strawił w Peterburku, sławny malarz..., mieszkał tuż przy cesarzu, na dworze, jak w raju... lubił ciągle wspominać swej młodości czasy, wysławiał wszystko w Polsce ziemię, niebo, lasy...” Nie od rzeczy będzie dodać, że Orłowski, był synem siedleckiego karczmarza. Talent chłopaka do utrwalania świata za pomocą węgla, ołówka i kredki ponoć odkryli Czartoryscy, podczas jednej z wizyt u księżnej Aleksandry Ogińskiej ówczesnej właścicielki grodu nad Muchawką... Dość już, moja choroba polega chyba na przeświadczeniu, że wszystko co ciekawe leży się na naszym pograniczu.

Ale najbardziej fascynującą podróż tamtych czasów odbył nie kto inny jak właściciel Radzyna, książę Aleksander Sapieha. Od 1804 do 1806 roku penetrował - prawdopodobnie jako agent francuskiego wywiadu - kraje południowosłowiańskie. Wspaniała podróż przez Styrię, Karyntię, Istrię, Chorwację, Dalmację, Bośnię, Hercegowinę, Czarnogórę i Albanię i wyspy greckie zakończyła się w Konstantynopolu. Potem była jeszcze jedna ważna wyprawa - do Polski odradzającej się w ramach Księstwa Warszawskiego. I działanie w którym peregrynacje i mobilność grały niepoślednią rolę - prywatne biuro wywiadu działające na pograniczu Księstwa i Litwy. I w końcu podróż ostatnia - do Dereczyna. Aż nie chce się wierzyć w przypadkowość śmierci księcia Aleksandra. Kto wie co byłoby gdyby nie ona... Wiadomo, że Sapieha odradzał Napoleonowi marsz w głąb rosyjskiego interioru, a doradzał anektowanie w granice Grand Empiru jedynie Litwy i Ukrainy. Takie rozwiązanie byłoby dla Rosji fatalne, o wiele bardziej niebezpieczne niż walka z choćby największą armią świata. Rosja odepchnięta od granic Europy i pozbawiona żyznych ziem ukraińskich - o ile takie status quo by się utrzymało - byłaby mocarstwem ale... już tylko azjatyckim. Niestety, tak się nie stało.

cdn.





MARIA KRYŃSKA - SZOSTAK

Podróż

Co lubię?

Latem lubię zdmuchiwać dmuchawce

nasza podróż pachnie
złotym grzany winem
taniem i śpiewem zielonym
kwiatem danym dziewczynie
są w niej słowa szkarłatne
domysły metafor
zagładanie w oczy
fiolety powagi
jest też przestrzeń niebieska
w drzew gałęzi rozchyle

takie serce co bije
mocno
choć chwile

Koło życia

Witaj pełen miłości
otwarty umyśle
Duchu w ciele człowieka
w harmonii z górami

Twoje życie zatacza kręgi
Wielki Duch
wyznał mi twe imię

Zatańcz taniec życia
rozrzuć swoje mokasyny
włosy w pióra rozwiń
Cztery wiatry wokół

Ziemia matka
ojciec Niebo
poruszają się w kole

Ptaki i duchy
opuszczają ziemię

Rzeki i góry wznoszą się
w przestworza

Nasze plemiona
zataczają kręgi



TOMASZ SOBIERAJ

FOTOGRAFIA

- TERMINY I POJĘCIA ISTOTNE

W związku z licznymi nieporozumieniami, których doświadczam, postanowiłem wyjaśnić i niekiedy stworzyć kilka potrzebnych mi terminów i pojęć, dotyczących fotografii i jej okolic. Nie jest to kompendium wiedzy, tylko niezależna próba uporządkowania chaosu pojęciowego i rozprawienia się z niektórymi błędnymi a powszechnymi poglądami. Mam świadomość, że wszelka niezależność jest źle widziana, ale, jak pisał Nietzsche, jest przywiłem silnych, z którego korzystam.

Założenia podstawowe

I

Fotografia to technika rejestracji obrazu za pomocą promieniowania elektromagnetycznego. Obraz powstaje i jest utrwalany na chemicznym materiale światłoczułym (fotografia klasyczna) lub cyfrowym (fotografia cyfrowa).

II

Błędnym jest powszechne i zupełnie bezpodstawne twierdzenie, jakoby obraz fotograficzny był wiernym odbiciem rzeczywistości. Rzeczywistość konwencjonalna, ludzka, umieszczona w czasoprzestrzeni, jest czterowymiarowa i odbywa się w niej ruch, rzeczywistość fotograficzna to jej przeniesienie na płaszczyznę, z konieczności dwuwymiarowe, w którym ruch i czas można wyrazić jedynie symbolicznie. Dodatkowo, na każdym etapie rejestracji i powielania powstają zniekształcenia spowodowane przez obiektyw, film, matrycę, obróbkę chemiczną, powiększanie, druk itd. Najbliższą ideału poprawnego oddania rzeczywistości, a tym samym jak najdalej od sztuki, jest nieprzetworzona fotografia cyfrowa i również nieprzetworzona, wielkoformatowa, kolorowa fotografia klasyczna.

III

Fotografia, pokazująca rzeczywistość fotograficzną jest interesująca jedynie jako dokument lub tworzywo do dalszej pracy.

Poza tym, jest zazwyczaj prostym zapisem, słusznie zwanym przez masy fotopstrykaczy „foceniem”, w efekcie którego powstają „foty”, „fotki”, cyfropstryki lub w najlepszym przypadku, zdjęcia.

IV

Dopiero w wyniku uświadomionych, celowych ingerencji fotograficznych i pozafotograficznych pojawia się sztuka, obrazy zajmujące, nie służące banalizacji rzeczywistości, ale uwalniające wyobraźnię z ograniczeń konwencjonalnych sposobów myślenia i widzenia.

V

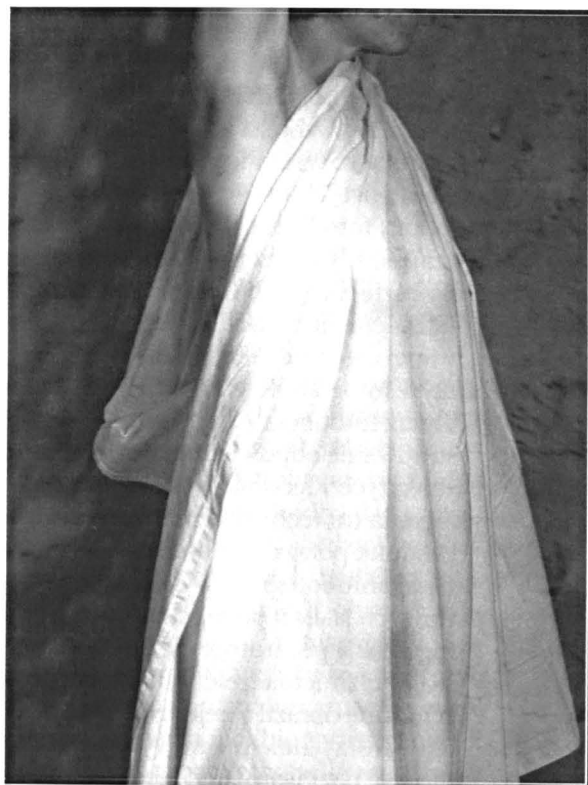
Technika, w wyniku której te obrazy powstały, determinuje czym są, i w związku z tym, jak należy je nazywać. Innymi słowy, to warsztat decyduje, z czym mamy do czynienia, a nie widzimy się autora, odbiorcy czy krytyka.

Terminy i pojęcia

Celem tej pracy jest przedstawienie terminów i pojęć, czyli narzędzi pozwalających rozstrzygnąć, które obrazy można jeszcze nazwać fotografią, a których już na pewno tak nazwać nie można. Niestety, nie jest to matematyka, więc niekiedy nie da się ściśle przeprowadzić rozróżnienia, można jednak dokonać go w sposób przybliżony, ale logiczny i wystarczający na tyle, by rozjaśnić nieco ten ciemny kąt, do którego zmiata się wszystkie działania z jakimkolwiek udziałem maszyny rejestrującej obraz. Wychodzę z założenia, może na obecne niechlujne czasy nieco ortodoksyjnego, że zanim zacznę się mówić, trzeba wiedzieć o czym, i że bez logiki i aparatu pojęciowego nie ma ani istotnej dyskusji, ani pracy.

Niektóre zagadnienia przedstawiam nieco szerzej, ponieważ jest to niezbędne dla zrozumienia sposobu pojmowania przeze mnie fotografii, zarówno jako techniki, jak i sztuki. W celu zachowania przejrzystości przekazu, zasadniczo pomijam rozwijającą się intensywnie sztukę intermedialną, zdecydowanie wychodzącą poza ramy tego

opracowania, chociaż jej silne związki z fotografią i moją twórczością są oczywiste. Wszystkie międzydyscyplinarne przenikania i poszukiwania uważam za cenne, a ich wyniki niejednokrotnie za interesujące, jednakże, mimo coraz bardziej wyraźnego zachwiania tradycyjnych podziałów gatunkowych i trwającej powolnej agonii sztuki fotografii oraz klasycznej fotografii srebrowej (tudzież innych technik wizualizacji, szczególnie tych tradycyjnych), pozostaje ona najważniejszą dziedziną moich artystycznych i teoretycznych zainteresowań. Nie uważam, aby w dającej się przewidzieć przyszłości fotografia *sensu stricto* została całkowicie wyparta przez nowe i mieszane formy wizualnej ekspresji artystycznej, mimo dokonującego się gwałtownego postępu technicznego. Przetrwał drzeworyt, przetrwało malarstwo olejne, przetrwa też fotografia, także w swojej czystej, klasycznej postaci - najpewniej wyłącznie jako zjawisko elitarne, ale to akurat nie jest powodem do zmartwienia.



📷 Tomasz Sobieraj

Litera n oznaczam nowe, wprowadzone przez siebie terminy i pojęcia, pozostałe wyjaśniam, rozwijam lub definiuję na nowo. Nie zawsze są to zmiany rewolucyjne, ale zawsze istotne.

Materiał światłoczuły dowolna materia, na której lub za pośrednictwem której rejestruje się obraz: matryca cyfrowa, błona, papier, pokryte właściwą substancją chemiczną kamień, drewno itp.

Fotografia czysta (n) prace powstające wyłącznie w wyniku rejestracji, następnie skopiowane lub wydrukowane; wszelkie ewentualne deformacje i kreacje rzeczywistości są dokonywane w momencie ekspozycji, a obraz reprodukowany (odbitka, wydruk) jest możliwie najdokładniejszym przeniesieniem obrazu zarejestrowanego. Szczególne, idealne przypadki czystej fotografii to przeźrocze, polaroid, fotogram, oraz im podobne, gdzie obraz zarejestrowany jest jedynym i ostatecznym.

Fotografia manipulowana (n) powstaje wyłącznie w wyniku rejestracji oraz ingerencji fotograficznej w już zarejestrowany obraz.

Fotomontaż szczególna odmiana fotografii,

która polega na kreowaniu nadrzeczywistości lub rzeczywistości równoległej (paralelizmu) za pomocą gestów plastycznych i techniki fotograficznej. Obraz jest otrzymywany poprzez sfotografowanie konstrukcji złożonej z różnych elementów, zazwyczaj fragmentów fotografii, wydruków, przedmiotów, ułożonych na płaszczyźnie. Drugim sposobem tworzenia fotomontażu jest konstruowanie kompozycji bezpośrednio pod powiększalnikiem. Fotomontaż zawsze jest dwuwymiarowy - to warunek konieczny.

Fotokolaż trójwymiarowa kompozycja na płaszczyźnie, złożona z fotografii lub ich fragmentów; po jej sfotografowaniu otrzymujemy fotomontaż.

Fotoplastyka (n) wszelkie manualne gesty wobec fotografii (destrukcja negatywu, pozytywu, rysowanie, drapanie, malowanie, fotokolaż, obiekty fotograficzne itp.), będące ingerencją pozafotograficzną, pozwalające na swobodę wobec materiału, jaką dają sztuki plastyczne, wyzwalamy spod władzy maszyny.

Fotoliryka (n) wszelkie gesty wobec fotografii, które mają na celu poszerzenie jej hory-

zontów za pomocą metod zarezerwowanych dla sztuki słowa, głównie poezji; łączenie fotografii i liryki w układ komplementarny, synteza kontemplacyjnego charakteru sztuki fotograficznej z przeżyciem poetyckim.

Fotoobraz, fotoobiekt pojęcia nadrzędne, oznaczają każdy obraz lub obiekt wykreowany na bazie fotografii lub z jej znaczącym udziałem, niezależnie od rodzaju zastosowanej ingerencji i techniki.

Forma w fotografii i cyfrofotografii, to zewnętrzny wyraz fotoobrazu, uzyskany poprzez zastosowanie odpowiednich środków artystycznych i technicznych.

Cyfrofotografia (n) technika kreacji fotoobrazu i jej produkt; polega na elektronicznym przetwarzaniu fotografii w celu uzyskania nowych jakości po rejestracji obrazu i jest ingerencją pozafotograficzną; w dowolnym stopniu zmienia treść i/lub w sposób istotny formę obrazu zarejestrowanego, nierzadko tworzy zupełnie nowy obraz, często błędnie nazywany fotomontażem.

Cyfrofotografia zazwyczaj ogranicza się do kreacji nadrzeczywistości, rzeczywistości równoległej lub cyfrowych przetworzeń, czyli ładnych plastycznie efektów uzyskiwanych przy pomocy oprogramowania komputerowego. Zdarza się też, że jej dokonania są ciekawe, mocne plastycznie, o niebanalnym przekazie i niewątpliwych walorach artystycznych. Do cyfrofotografii nie zaliczam skanowania oraz typowych zabiegów należących do klasycznej techniki fotograficznej (kadrowanie, plamkowanie, drobny retusz, korekcja barwna itp.), które są obecnie wykonywane cyfrowo i nie zmieniają ani treści, ani w sposób istotny formy obrazu w tym przypadku następuje jedynie zmiana narzędzia, metody, a nie celu i idei, jakby zamiana marszu na jazdę rowerem.

Granice znaczeń słów są nieraz trudne do wyznaczenia i cyfrofotografia jest właśnie tym terminem, spośród prezentowanych w niniejszej pracy, który najtrudniej ująć i jednoznacznie określić jego zasięg, i który może sprowokować najwięcej sporów i nieporozumień, szczególnie między zwolennikami ortodoksyjnego podejścia do fotografii a orędownikami technik cyfro-

wych. Gwoli ścisłości, żeby nie być posądzonym o brak obiektywizmu - nie należę do żadnej z tych grup, swobodnie poruszam się we wszystkich technikach fotograficznych, często je łączę, mam więc świadomość możliwości i ograniczeń każdej z nich oraz, co najważniejsze, świadomość wymaganych przez nie umiejętności i wiedzy. Oba terminy - fotografia i cyfrofotografia - traktuję jako warsztatowe, co oczywiście nie niesie ze sobą automatycznego zaliczenia produktu którejkolwiek z tych technik do odpowiednich dziedzin sztuki, gdyż to wymaga spełnienia zupełnie innych warunków. Wraz z cyfrofotografią pojawiło się zagadnienie z pogranicza warsztatu twórczego i etyki, niezwykle istotne, mianowicie często trudno jest odróżnić efekty, uzyskane za pomocą oprogramowania komputera czy cyfrowego aparatu fotograficznego, od efektów stworzonych przy użyciu klasycznych technik fotograficznych, wymagających dużych umiejętności warsztatowych i niejednokrotnie sporej sprawności manualnej. Wtedy pozostaje tylko odwołać się, chociaż to może naiwność we współczesnym świecie, do uczciwości autora pracy, który powinien dokonać jej kwalifikacji i opisu zgodnie z faktami, czyli zastosowanymi technikami, a nie, jak to się często zdarza, nazywać fotografią albo nawet, o zgrozo, fotografią artystyczną, przefiltrowany w programie komputerowym banalny pejzaż, pstryknięty na spacerze, i to, co gorsza, za pomocą tak ograniczającego kreatywność narzędzia, jakim jest aparat fotograficzny, wbudowany w telefon komórkowy. Technika wykonania pracy ma bowiem znaczenie kluczowe, przynajmniej dla mnie - niezmiennie przecież jedną z wartości dzieła sztuki jest to, że powstaje w wyniku połączenia wysiłku intelektualnego i bezpośredniego, fizycznego kontaktu twórcy z materiałem, która to wartość z powodu nadużywania technik cyfrowych jest coraz rzadsza. I jeśli w przypadku fotografii klasycznej możemy mówić w pewnym uogólnieniu o negatywie jak o matrycy grafika, czyli istniejącej fizycznie substancji, poddanej powolnej i przemyślanej obróbce, z błędami, odciska-

mi palców itp., innymi słowy, ze śladami człowieka, tak w przypadku techniki cyfrowej dysponujemy jedynie precyzyjnym, szybkim, tanim, ale jednocześnie wirtualnym i bezdusznym zapisem zer i jedynek, z towarzyszącym mu często niedoborem myśli i umiejętności.

Technika fotograficzna obejmuje wszelkie działania, których celem jest uzyskanie i powielenie obrazu fotograficznego, czyli zapisanie światłem, dlatego z definicji nie należy do niej obróbka manualna, bliższa plastyce (fotoplastyka) oraz ingerujący w treść i formę fotografii montaż cyfrowy, bliższy grafice komputerowej (cyfrografia). Ze względu na zastosowane narzędzia, technikę fotograficzną można podzielić na klasyczną, cyfrową i mieszaną.

Ingerencja fotograficzna (n) czynności wpływające na formę i treść obrazu fotograficznego za pomocą środków właściwych technice fotograficznej (filtrowanie, dobór błony, parametrów ekspozycji, wywołanie, powiększanie, montaż, wykonanie odbitek, techniki szlachetne itp.).

Ingerencja pozafotograficzna (n) czynności wpływające na formę i treść obrazu fotograficznego za pomocą środków nie należących do techniki fotograficznej (montaż komputerowy, obróbka manualna itp.)

Realizm fotograficzny kierunek graniczny, przeciwstawny konceptualizmowi; odtwarza rzeczywistość zgodnie z obserwacją i osiągniętym poziomem poznania, zazwyczaj wymaga warsztatowych umiejętności i dużej wiedzy na temat fotografowanych zjawisk. Nie jest jeszcze sztuką fotograficzną w moim ujęciu, ale może być to początek drogi do niej; ma wielkie znaczenie tam, gdzie niezbędna jest precyzja i obiektywizm, czyli np. w fotografii społecznej, przyrodniczej, reklamowej, naukowej, reportażu itp. W wyniku postępującej demokratyzacji, rozwoju techniki i upowszechnienia zautomatyzowanej fotografii cyfrowej, realizm stał się zjawiskiem masowym, i jako takie nie wymaga specjalistycznych umiejętności, wiedzy i świadomości artystycznej. Realizm w fotografii jest kierunkiem szczególnym, w dużym uproszczeniu można powiedzieć, dwubiegunowym. Objawia się to z jednej strony elitarnością, niezbędnym w realizowaniu

jego założeń wysokim stopniem profesjonalizmu i pojawiającą się wraz ze wzrostem świadomości artystycznej, sztuką fotografii, zaś z drugiej, pospolitym cyfropstrykactwem, czystą, zautomatyzowaną do maksimum rejestracją zdarzeń bez towarzyszącej idei i refleksji, pospolitą, powszechną rozrywką. Wraz z rozwojem i upowszechnieniem cyfrowych metod obróbki obrazu, realizm masowy może stać się masową cyfrografią.

Konceptualizm fotograficzny kierunek graniczny, przeciwstawny realizmowi; występuje zasadniczo w dwóch odmianach: dadaistycznej i konstruktywistycznej. W odmianie będącej pochodną dadaizmu nie wymaga umiejętności, wiedzy i świadomości artystycznej; z założenia jest antysztuką, jego istotą jest idea, obraz stanowi wartość drugorzędna; w tej wersji konceptualizm ogranicza tak zwaną twórczość do pomysłu, stworzenia sytuacji wywołującej wrażenia u odbiorcy, rezygnuje z plastycznej mocy fotografii i rzemieślniczego warsztatu na rzecz wtórnych,



naiwnych, postduchampowskich i postdadaistycznych gestów, popartych cherlawą intelektualnie ideologią. Nie jest już sztuką fotograficzną w moim ujęciu, sam także definiuje się jako antysztuka a przynajmniej z niej wyrasta, ale w środowiskach o pozornej erudycji, głównie akademickich, jest nazywany sztuką i niezwykle popularny, dzięki małym wymaganiom warsztatowym i intelektualnym oraz wrażeniu elitarności, które wywołuje na nieświadomym blagi, nieprzygotowanym i niesamodzielnym odbiorcy. Konceptualizm w odmianie będącej pochodną znaczących osiągnięć konstrukttywizmu i Bauhausu, skupia się głównie na prostocie formy, syntetyczności, minimalizmie, nie odrzuca umiejętności warsztatowych, wiedzy, świadomości artystycznej, estetyki, logiki; w tym przypadku idea i moc plastyczna obrazu są równie ważne; może prowadzić do doskonałych wyników artystycznych.

Dyfuzjonizm fotograficzny (n) pojęcie stosowane przeze mnie wobec fotografii, których głównym założeniem jest dystansowanie przedstawionych obiektów od ludzkiej rzeczywistości, nadanie im cech indywidualnych i wyzwolenie wyobraźni odbiorcy z ograniczeń konwencjonalnego widzenia. Uzyskuje się to wyłącznie za pomocą ingerencji fotograficznej, na przykład poprzez zastosowanie techniki fotografii otworkowej czy wielokrotne naświetlanie materiału światłoczułego, najczęściej wykorzystując w kompozycji obiekty banalne, zdegradowane, pozbawione wizualnego podobieństwa, dzięki czemu powstają przenikania, dające nową jakość rzeczywistości równoległej.

Sztuka fotograficzna (fotografia artystyczna) powstaje wtedy, gdy artyści udaje się w sposób zamierzony stworzyć konstrukcję z form przestrzennych i przenieść ją na płaszczyznę kadru, w możliwie jak największym stopniu pozbawiając powstałą kompozycję dosłowności. Można tego dokonać wyłącznie za pomocą środków właściwych technice fotograficznej (ingerencja fotograficzna). Sztuka fotograficzna (jak i każda inna) jest nierozłączna ze świadomością artystyczną, wiedzą i umiejętnościami

warsztatowymi, których posiadanie, przynajmniej w stopniu podstawowym, jest warunkiem koniecznym, aby powstało dzieło. Stosując heglowską dialektykę można powiedzieć, że jest syntezą plastycznej mocy i idei.

Świadomość artystyczna zdolność umysłu umożliwiająca celowe i przewidywalne w skutkach działanie w danej dziedzinie sztuki; poziom świadomości artystycznej jest pochodną rozwoju i osobowości; to najważniejszy czynnik niezbędny w procesie tworzenia dzieła sztuki.

Umiejętności warsztatowe (warsztat) stopień opanowania technik właściwych dla danej dziedziny sztuki; znajomość całości warsztatu nie zawsze jest konieczna, bywa, że artyści na niektórych etapach realizacji pracy korzystają z usług specjalistów (laboranci, korektorzy).

Rzeczywistość (rzeczywistość konwencjonalna, ludzka) względny, wielowymiarowy i złożony system, w którym znajduje się istota lub przedmiot; jest zależna od świadomości i aktywności.

Rzeczywistość fotograficzna (n) występuje wtedy, gdy zarejestrowany (powielony) obraz jest w jak największym stopniu zbliżony do ludzkiej, konwencjonalnej rzeczywistości. Pozornie podobna do rzeczywistości konwencjonalnej, jednak podlega ograniczeniu do dwuwymiarowości i bezruchu.

Nadrzeczywistość fotograficzna innymi słowy, stary, pocziwy nadrealizm, albo surrealizm, jak kto woli.

Rzeczywistość równoległa (paralelizm, rzeczywistość poza rzeczywistością) (n) objawia się, gdy sfotografowane obiekty rzeczywistości konwencjonalnej nabierają nowych wartości w wyniku wyrwania z typowego dla nich kontekstu; efekt jest uzyskiwany za pomocą ingerencji fotograficznych i/lub pozafotograficznych. Od nadrzeczywistości różni się tym, że nie zrywa z tradycją klasyczną, nie stosuje motywów niezwykłych, nie eliminuje logiki i kontroli rozumu.

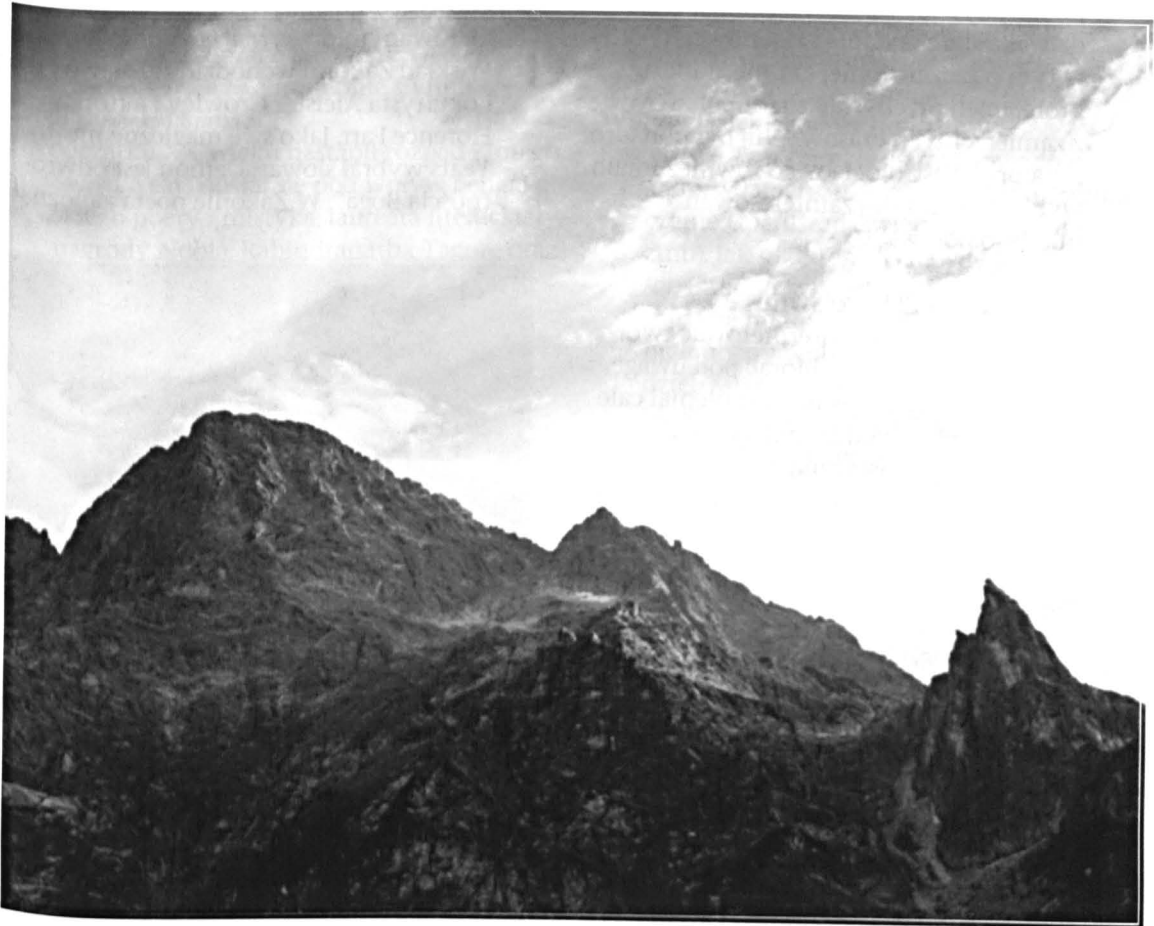
Nie wszystkie powyższe terminy i pojęcia są definicjami równościowymi w ścisłym znaczeniu, niektóre są bliższe definicjom cząstkowym. Niewątpliwie jednak porzą-

dkują i wyjaśniają podstawowe zagadnienia związane z fotografią i sztuką fotografii, co dotychczas zbyt często było pozostawione na pastwę dyletantów, nieodczuwających potrzeby istnienia spójnego, logicznego systemu podstawowych pojęć, bez którego przecież wszelka dyskusja jest niemożliwa. Oczywiście może się zdarzyć, że konstrukcje pojęciowe nie wystarczą do jednoznacznej kwalifikacji (podobnie jak trudno jest określić na ciągłym widmie optycznym, gdzie kończy się np. barwa żółta a zaczyna pomarańczowa). Wtedy pozostaje już tylko fenomenologiczna intuicja racjonalna, albo przynajmniej zdrowy rozsądek.

Appendix

Orzeł nie porozumie się z kurami, może nawet zostać przez nie zadziobany, gdy ogarnie go słabość. Ale może też wznieść się ponad nie i uzyskać inną perspektywę niż z dna kurnika. Takim spojrzeniem z innej perspektywy jest ta praca. Do jej napisania skłonił

mnie postępujący, powszechny zanik umiejętności logicznego myślenia, powiązany z brakiem indywidualności i błyskawicznym rozwojem zachowań stadnych w kurniku tak zwanej ludzkości. Coraz mniejsza odpowiedzialność za słowo, głupota i unifikacja świadomości prowadzą nieuchronnie do powstania nowego podtypu kregowców, jakiegoś *Homo consumatus felix*. Moja praca artystyczna i teoretyczna jest przejawem niezależności, zdrowego instynktu i jednocześnie rozumowego działania. To obrona przed unicestwieniem indywidualności, nad którym pracują rzesze hodowców: nauczyciele szkolni i akademicy, politycy, media, korporacje, i co najgorsze sami twórcy.





JAKUB JASIŃSKI

WILLIAM BUTLER YEATS

- POETA MISTYCZNY

Wybitny irlandzki poeta żył w latach 1865-1939. Był czołowym twórcą tzw. Odrodzenia Irlandzkiego, czyli wielkiego zwrotu literatury irlandzkiej ku celtyckim podaniom, legendom i mitom. Odrodzenie Irlandzkie (datujące swój początek na lata 80. XIX wieku) było poszukiwaniem własnej tożsamości kulturowej przez irlandzkich pisarzy i intelektualistów oraz wyrazem buntu wobec angielskiej okupacji, panoszącej się w sferze polityki i kultury.

Duży wpływ na poetę wywarła wielka przyjaźń z ojcem, Johnem Butlerem Yeatsem, który zaszczepił w synu swe fascynacje poezją romantyczną i poezją prerafaELITÓW angielskich. Sam zaś był malarzem. W czasie wyjazdów do dziadków w Sligo (hrabstwo w zachodniej Irlandii) młody Yeats po raz pierwszy usłyszał od swego wujdźiwaka stare podania i legendy celtyckie, w tym o zaczarowanej krainie Sidhe, w której mieli przebywać znani bohaterowie z zamierzchłych czasów. Wuj był ponadto zapalonym astrologiem, co również miało wpłynąć na rozwój zainteresowań młodego poety.

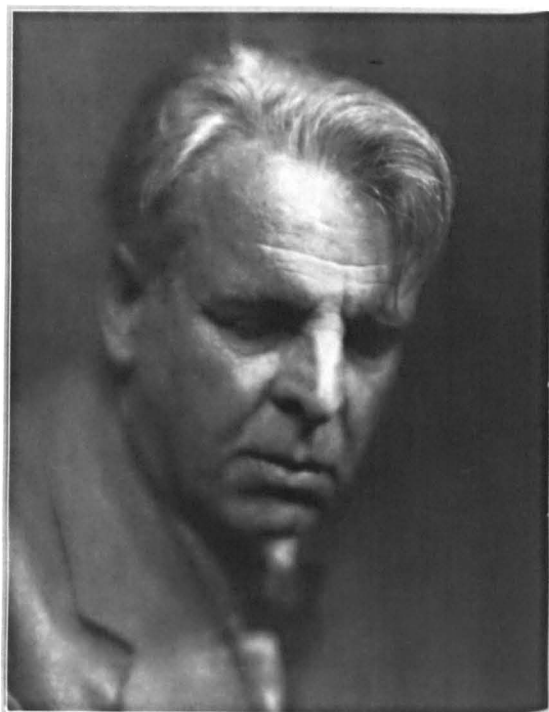
Teozofia i Zakon Złotego Świtu

Trudno jest zrozumieć i interpretować twórczość W. B. Yeatsa, nie biorąc pod uwagę jego wieloletnich, trwających niemal całe życie, pogłębionych fascynacji okultyzmem i myślą mistyczną. Jak sam podkreślił w jednym ze swych listów, życie mistyczne było dlań centrum wszystkiego co robił, myślał i pisał. W życiu tego irlandzkiego poety, dramaturga i filozofa, twórcę w języku angielskim, mistycyzm przechodził przez wiele faz.

Jako pierwsza w sferze zainteresowań poety znalazła się teozofia (przebywał wówczas w Dublinie, miał 17 lub 18 lat), która w znacznej mierze bazuje na neoplatonizmie i buddyzmie, a jej głównym mottem jest „Nie ma religii wyższej niż prawda”. W ruch teozoficzny wprowadził Yeatsa George William Russell (poeta i mistyk irlandzki), w tym też okresie zetknął się on po raz

pierwszy z irlandzkim ruchem narodowym. Oba te nurty wpłynęły bardzo silnie na poezję uprawianą przez Yeatsa. W 1885 roku Yeats spotkał indyjskiego teozofa Mohiniego Chatterdźi, który zapoznał go z Bhagavadgītą, świętą księgą hinduizmu oraz pismami indyjskiego filozofa z VIII wieku, Siankary. Siankara głosił wyższość indywidualnej jaźni nad nierealnym bytem świata zewnętrznego. Yeats postanowił wstąpić do Towarzystwa Teozoficznego, noszącego imię założycielki ruchu, Rosjanki, Heleny Bławatskiej. Dość szybko je opuścił, bo już w 1890 roku.

W 1887 roku przeprowadził się z rodzicami do Londynu i tam tuż po odejściu od Towarzystwa Bławatskiej, wstąpił do hermetycznego Zakonu Złotego Świtu, które było gnostycyzmo-magicznym stowarzyszeniem, kierowanym przez MacGregora Mathersa. W skład Zakonu wchodził też sławny mag i okultysta Aleister Crowley i aktorka Florence Farr. Jako swe magiczne motto Yeats wybrał słowa: „Demon jest odwrotnością Boga”. W Zakonie poeta zapoznał



się z symboliką kabały, astrologii, dziejami Różokrzyżowców oraz tarotem. Posiadał nawet swą własną talię kart z własnoręcznie poczynionymi zapiskami. Jednocześnie Yeats, niejako siłą rzeczy, przesiąkł atmosferą dekadentckiego Londynu. Był bowiem świadkiem wielu rodzących się buntów i protestów przeciw wiktoriańskiej obyczajowości objawiającej się „poluzowaniem” norm moralnych i zasad etycznych. Yeats jednak nigdy nie uległ wpływom cyganerii i nie popierał wystąpień dekadentów.

W tym też okresie zaczął pogłębiać swą wiedzę o historii Irlandii, przywiązując dużą wagę do celtyckich podań, mitów i legend. Średniowieczna celtycka poezja, dawne stroje i obyczaje, rosnący irlandzki nacjonalizm, separatystyczne dążenia do stopniowego wypierania brytyjskich wpływów w kulturze i polityce, zmieniały Yeatsa i jego twórczość na bardziej pro narodową, społeczną i mocniej wyrażającą wewnętrzne fascynacje i tęsknoty. Wówczas to opracował *Baśnie i gadki ludu wiejskiego Irlandii* a następnie słynne *Wędrowniki Osjana*.

Na początku XX wieku nastąpił rozpad Złotego Świtu. Yeats dostał się pod wpływ bengalskiego poety i mistyka, laureata literackiej nagrody Nobla, Rabindranatha Tagore oraz indyjskiego nauczyciela Purohity Swamiego. Rozwijał też poezję, czerpiąc wiele z mistycyzmu wschodnich nauk duchowych oraz mistycznego nurtu irlandzkiego patriotyzmu. Na bazie poznanych teorii i myśli stworzył własny system mistyczny, który przedstawił w dziele *Wizja (A Vision)* wydanym w 1925 roku.

Dom w wieży

W 1917 roku Yeats ożenił się ze swoją przyjaciółką Georgie Hyde-Leeds. Od swej protektorki, mecenasa sztuki Lady Gregory, zakupił wieżę Thoor Ballylee, do której po remoncie wprowadził się wraz z żoną. To tam powstały oceniane jako najdoskonalwsze w jego twórczości utwory - *Wieża* (1928) oraz *Kręte schody* (1933). Wieża jako miejsce do mieszkania utożsamiała dla Yeatsa sedno irlandzkości, całą spuściznę irlandzkich dziejów zawartą w gaelickich utworach poetyckich, legendach i

baśniach.

W 1919 roku na świat przyszła córka Anne Butler, a w 1921 syn, William Michael. Co ciekawe, zaraz po ślubie żona artysty odkryła u siebie zdolności mediumistyczne oraz umiejętność pisma automatycznego (przesłanie dyktowane przez istoty pozaziemskie). Yeats był zafascynowany tymi zdolnościami, zaczął pogłębiać swe zainteresowania metafizyką. W *Wizji*, wspomnianej wcześniej, koncepcja filozoficzno-mistyczna przedstawiała ludzkie wnętrze i historię, łączyła koncepcje ogólne, społeczno-historyczne z losami ludzkimi (mistycyzm ortodoksyjny). W tamtym czasie (lata 1918-39) poeta wyłączył się spod wpływu polityki, a w tekstach odszedł również od tematyki narodowej. Co prawda jeszcze w 1923 roku został senatorem w irlandzkim parlamencie, a wcześniej występował jako delegat Sinn Fein, partii irlandzkiej, lecz jego aktywność skupiała się głównie na kulturze. W tym też roku otrzymał nagrodę Nobla w dziedzinie literatury.

Wpływ Dalekiego Wschodu

Fascynacja Tagorem i Indiami spowodowała, iż Yeats w latach 30. wydał angielskie tłumaczenie Upaniszad (świątych ksiąg hinduizmu). Jak podkreślają znawcy jego twórczości, Indie, a zwłaszcza ich duchowość, mistyka buddyzmu i hinduizmu miały przemożny wpływ na treść i artyzm jego dzieł. Mistycyzm H. Bławatskiej, W. Blake'a i E. Swedenborga wpłynął na odczuwanie świata przez poetę, na zrozumienie, iż to wyobraźnia jest środkiem do osiągnięcia, dotarcia do absolutu. Zadaniem sztuki, jej nadrzędną rolą, jest wyrażanie go. Tak jak w twórczości T. S. Eliota, choćby w *Ziemi jałowej*, gdzie pobrzmiewają echa buddyzmu, sanskrytu jako wspólnego języka poetyckiego wyrazu i koncepcji hinduistycznych, tak i u Yeatsa spotykamy się z wykorzystaniem tych elementów jako świadków wewnętrznych przemian artysty, komasowania się struktury myślowej głęboko zanurzonej w mityczno-mistycznej historii Irlandii i hinduskich pismach filozoficznych.

Poeta życzy ukochanej, żeby zaznała
spokoju (*Wiatr pośród trzcin, 1899*)
przekład - Ludmiła Marjańska

Słyszę konie z Krainy Cieni, rozwiane ich długie
grzywy,
Kopyta ciężkie wzburzeniem, oczy łyskają
biało,
Północ nad nimi rozciąga noc lepka, pełną
pomału,
Wschód swoją radość ukrytą w przedświcie
lęklwym,
Zachód przejrystą rosą płacze i wzdycha, nim
minie,
Południe płonącymi różami jak ogień ziele.

O, marnością jest sen, bezkresne pragnienie,
nadzieje,
Konie klęski je zdepcą, pograża w ciężkiej glinie;
Przymknij oczy, kochana, niech twoje serce bije
Tuż przy moim, a włosy rozsyp na moich
ramionach,
Niech zatopią godzinę miłości jak gęsta
zmierzchu zasłona,
Która rozwiane grzywy i tętniące kopyta skryje.

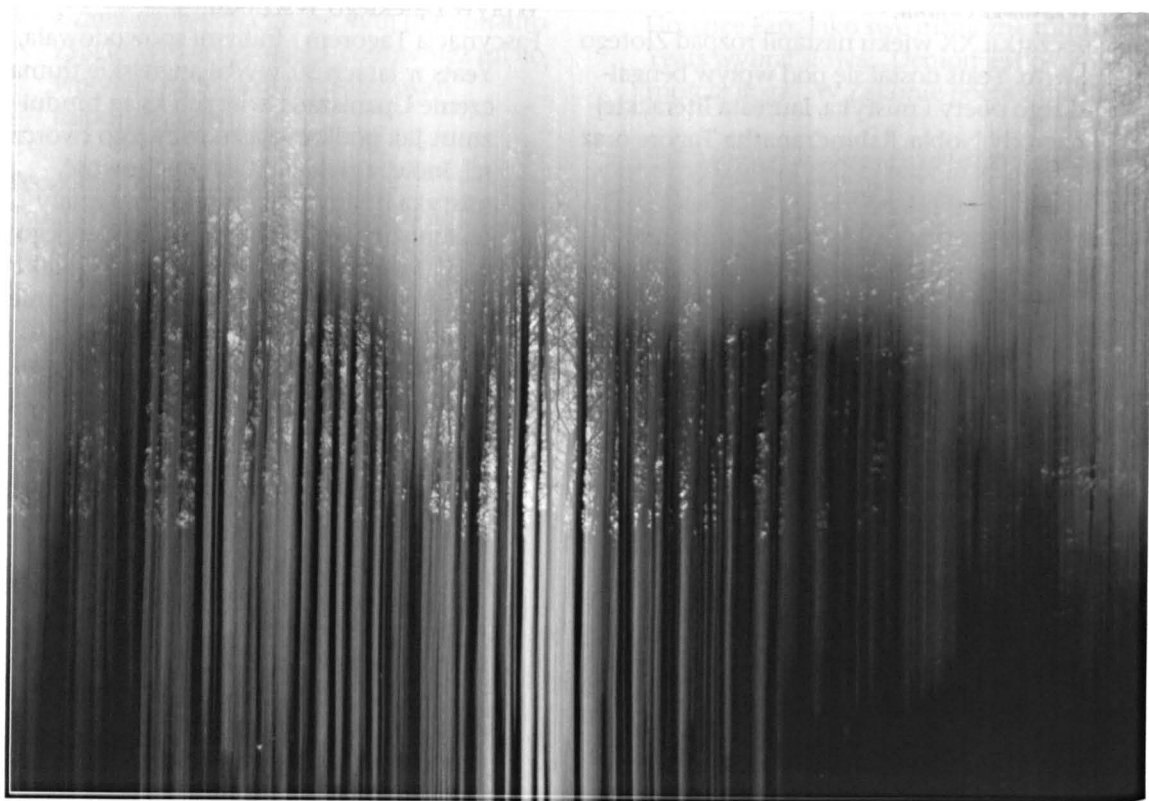
Słowa może do muzyki (Kręte schody i inne
wiersze, 1933)

XVIII. Szalony jak mgła i śnieg
przekład - Stanisław Barańczak

Zarygluj okiennice,
Wiatr dmie, jakby się wściekł:
Dumajmy obaj, niech nam mówi
Myśli podwójny bieg,
Że wszystko, co na zewnątrz nas,
Szaleje jak mgła i śnieg.

Na półce Homer i Horacy,
Platona złoty brzeg
I tom Tulliusza wpół otwarty.
Gdzie nasz chłopięcy wiek,
Gdyśmy obydwaj, dzicy, młodzi,
Szaleli jak mgła i śnieg?

Pytasz mnie, czemu wzdycham, czemu
Cień mi na czoło legł?
Wzdycham, gdy myślę, przyjacielu,
Że wszystko, co Homer rzekł,
Nie przeczy temu, że i on był
Szalony jak mgła i śnieg.



CHIMERA (WIECZNIE ŻYWA)



Ἔσπερε, πάντα φέρεις.



Odplynę z pierwszą falą za złowrogą a jasną gwiazdą Lucifera, co po nieprzejrzanym morzach śmiało serca ludzkie na zagładę wodzi.

Odplynę, gdy na śnieżnych szczytach najwyższych gór wytli się o zachodzie różano-złota zorza, gdy wonny letni zmierzch przymgli niebo i zamroczy oddale. O tej porze falują nad wodami melodye, pełne cudnej i niewysłowionej melancholii, i drzewa szumią, jak gdyby śpiewały. O tej porze najśłodsze są usta, najpięszcotelniejsze łona i najpiękniejsze oczy dziewczęce. I wszędzie kwitną cudy, i wszędzie zamykają się kwiaty, a otwierają dusze ludzkie, podobne do kwiatów.

O tej porze, na tarasie marmurowego pałacu, co wśród rozkwieconych i szumiących gajów wznosi się wysoko nad ciemnym morzem, żegnać będę moich przyjaciół —

moich przyjaciół młodych i pięknych, w których zrenicach tlą się orle sny, których dusze są jako żywe źródła twórczej mocy i tajemniczej krasy.

Przy świetle smolnych pochodni, których płomienie wichrzą się i szumią smutno na powietrzu, będziemy pili wonne, złociste wino i będziemy rzucali dźwięczne czary w morze. Będziemy śpiewali kołyszące się z chwiejną falą pieśni i będziemy rzucali płonące pochodnie w morze, —

będziemy rzucali w bezdenne wiry płonące pochodnie, aby, lecąc w ciemność, krwawiły się groźnie i boleśnie, jak się krwawią strącone z jasnych szczytów dumne serca ludzkie.

A kiedy zatoni ostatnia dźwięczna czara i zagaśnie ostatnia smolna pochodnia, zejść w półjasną głęb' rozkwiecionych i szumiących gajów, gdzie mnie czekają moje siostry —

moje siostry, młode i piękne, w których zadumanem oku przygasa o wieczorze zimny blask klejnotów, a zapalają się drżące gwiazdy tęsknoty.

I będę patrzył, jak ich wiosenne, smukłe ciała przełatują w rytmicznym tańcu po miękkiej zieleni pachnących traw, —

jak im w rozwiane, śliczne włosy osypuje się z rozwahanych drzew woniejące kwiecie na podobieństwo gwiazd, które się z dróg mlecznych osypują nocą w wezbrane, rwące rzeki.

I będę słuchał ich pieśni, w których cieniu, jak w cieniu wierzby płaczącej, dobrze jest spocząć na chwilę tułaczkiej duszy.

A zanim odejdę, wezmę od każdej siostry mojej pocałowanie jest ust, a z włosów jej kwiecie, któremu krasa podobna: —

z balsamicznych, płowych włosów pierwszej, co ma oczy modre i świetliste jak przejaśniony błękit, wezmę różowiejący kwiat jabłoni;

a z pozłocistych, miedzianych włosów drugiej, której źrenice mienia się posępnie jak szmaragdowe dalekości wystygłych mórz polarnych, czarną gałązkę cyprysu;

i wezmę kwiecie z włosów tej, w której źrenicach świecą łyzy jak opalowe perły na dnie przezręczystej krynicy, i tej, której oczy błyskają, jakby się w nich co chwila rozniecały i gasły błędne ogniki, i tej, której oczu, świetniejących blaskiem ametystu, nigdy pod długą rzęsą dojrzeć nie można.

A z hyacyntowych, kruczonych włosów ostatniej, której oczy jak u jasnowidzów czarne są, promieniste i jak śmierć wszechmocne, wezmę kwiat granatu, gorejący misticzną purpurą. I czując, że mi twarz niemiej od długo tajonego bólu, pochylę się do jej stóp, jakgdyby po złoty klejnot, co się osunął z jej jasnej ręki między rosiste trawy i fijołkowe kwiecie.

Wtedy na niebie, na odwiecznym, szafirowym niebie rozbłyśnie złowroga gwiazda Lucifera. Poprzez spletaną gęstwę liści i drżących puchów kwiatnych prześlizną się jej modre promienie i ku rozwidnionym błękitom podniosą łagodnie moje oczy olśnione.

I pójdzie za nią łódź moja, i poleci za nią serce moje w śpiewające cisze. A gdy wichry zawieją szaremi mgłami pustkowia wodne, gdy nagle błyskawica targnie ściemionem niebem i ukaze wśród mroków nad lecałą w bezden lodzią ślaniające się orły morskie, —

wtedy wszystko dokoła pocznie się stawać snem, pięknnością i niepojętem, nienazwanem szczęściem, jakie może było w przededniu stworzenia.

Stanisław Wyrzykowski.



EWA KORCZYŃSKA

Wiednąca róża
czerwienią
maluje uczucia
ogłupiających serc

Więc kochaj
miłością gasnącego
dnia
szarością
popołudniowego mroku
ostatnim tchnieniem
drgającej ciszy

Gdy zadzwonią gwiazdy
obsypię ciebie
granatem nieba

Pójdziemy pod rękę
z księżycem
by nie powrócić
do wspomnień
pędzących donikąd radości



WOJCIECH SZMIĄG

podróże z kotem Schroedingera

postawiłeś stół na ziemi w samym środku
kosmosu
chodzimy pomiędzy szklanymi taflami,
racjonaliści
nasłuchujący ciszy wpisanej w papierowe
dzwony

*dzieci nie rodzą się opakowane w plastikowe torby
myślę o nas, dojrzewających na skwerach i
ulicach*

nadchodzi kolejna fala refleksji, tunele bez
początków
słowa w superpozycji bez znaczeń, czas bez
kierunku
żaden obserwator nie obserwuje własnej
świadomości

a gdyby tak zaistnieć? dotykać wszystkich
wymiarów
zamiast lęku rysować kredą czarne
winogrona zdarzeń
zatracić iluzoryczną symetrię słów - *przed,*
po i teraz

pospieszny do Warszawy

wstałem wcześniej niż moja czerwona
koszula
tuląca się kurczowo do sztywnej poręczy
krzesła
przez moment budzik i ja skrzyżowaliśmy
spojrzenia
dlaczego nie zaskoczył mnie dziś swoim
milczeniem?
nie wiem...

*(może życzliwość nie leży w jego wrednej
zegarkowej naturze?)*

wszystko jest drogą, zrzedzą mijane latarnie,
a dla mnie
miasto jest tylko nienormalnie
groteskowym labiryntem
gapiącym się w słońce narysowane żółtym
flamastrem
na reklamach prezerwatyw o zwiększonej
wytrzymałości

do dworca docieram mijając przestrzeń
wymyślaną przed sobą ad hoc
nie jest to łatwe z powodu powtarzalności,
(dobrze wiesz o czym mówię)

powtarzalność komplikuje wędrowcom
brodzenie w mulistym dnie rzeki
powtarzalność jest nudą wpisaną w dymek
poezji snującej się nad kartką
powtarzalność to narkotyk poety, odbiera
żarliwość dając w zamian podziw

przedział kolejowy staje się azylem dla
moich skórzanych butów ukrytych
pod sąsiednim fotelem, one niemało już
wiedzą o kolejowych zakamarkach
później, a właściwie po chwili, zakochuję się
w istniejących tutaj kobietach

moje prawe oko napotyka na dzieło
Rubensa wymalowane na oparciu
pachnąca piwem matka boska z
dzieciatkiem będzie z nami całą drogę
moje lewa strona ciała zamienia się w
miękkie języki freudowskich symboli

nie widziałem tu ciebie ślicznotko nigdy
wcześniej a wiem, że odkryję z tobą
całą drogę do Warszawy, a może nawet
odejdę na całe życie z pierwszą stacją

podróż poprawia makijaż przed własnym
weselem, a my oboje siedzimy zaręczeni
ojciec konduktor zaraz da nam ślub,
pobłogosławi swoim urzędowym
kasownikiem

zazdrość dopadnie mnie wkrótce, bo jak tu
rywalizować z kolejowym dworcem
który oferuje wyjście z każdej sytuacji,
bardziej hipnotycznej niż pierwszy krok
na peronie

NOTA BIOGRAFICZNA





DARIUSZ MAGIER

ZENON PRZESMYCKI

Przesmycki Zenon Franciszek pseudonim:

Miriam, Jan Żagiel, Epsilon i in. (1861-1944), poeta, krytyk literacki, wydawca, tłumacz, minister kultury i sztuki, czołowy twórca programu Młodej Polski. Ur. 22 XII w Radzynie Podlaskim. Jego dziad, Paweł, posiadał dobra Droblin i Bordziłówka w Siedleckiem, ojciec Tomasz był inżynierem drogowym na powiat radzyński, a następnie naczelnikiem sekcji dróg bitych okręgu warszawskiego w Kaliszu. Matka, Maria z Przanowskich, pochodziła z rodziny ziemiańskiej. Przesmycki urodził się jako drugi z czterech synów z tego małżeństwa.

Kształcił się w renomowanym, dbającym zwłaszcza o poziom w przedmiotach humanistycznych, IV Państwowym Gimnazjum w Warszawie. Po ukończeniu szkoły średniej rozpoczął studia na Wydziale Prawnym Uniwersytetu Warszawskiego, który nadał mu tytuł kandydata prawa



dzięki rozprawie w języku rosyjskim dotyczącej znaczenia prób kodyfikacji prawa międzynarodowego obronionej w 1886 r. (*Znaczenie popytok kodifikacji międzynarodowego prawa dla teorii i praktyki. Kritischeske obozrenie sovremennoj literatury po skazannomu voprosu*). Praca została nagrodzona złotym medalem i mogła dobrze rokować przyszłej karierze naukowej, jednak Przesmycki w tym czasie wykazywał już zainteresowania literackie, a szczególnie w zakresie piśmiennictwa czeskiego, które zaczął tłumaczyć na język polski. W 1883 r. wydał tragedię J. Vrchlickiego *Drahomira*, a w roku następnym *Duch i świat* tegoż autora. Inne utwory czeskich literatów publikował również w polskich czasopismach, zwłaszcza na łamach „Tygodnika Ilustrowanego”. To sprawiło, że szybko zaskarbił sobie sympatię pisarzy i osób z kręgu czeskiej kultury i sztuki, a z wieloma nawiązał bliskie stosunki towarzyskie, które skutkowały również czeskimi przekładami jego wierszy. W okresie studiów pisywał już bowiem Przesmycki własne wiersze i artykuły, które poza „Tygodnikiem Ilustrowanym” publikowane były w „Kurierze Codziennym”, „Kłosach”, „Bibliotece Warszawskiej”, „Bluszczu”, „Ateneum”. Ponadto jego utwory znalazły się w zbiorowym tomiku *Z chwil wolnych. Wiązanka prac literackich* wydany w 1884 r. Później pojawił się jego autorski tomik pt. *Z czary młodości. Liryczny pamiętnik duszy (1881-1891)* wydany w Wiedniu w 1893. Poezja Przesmyckiego nie odzwierciedlała jednak nowych trendów w liryce, zarzucano jej brak echa aktualnych trendów i tkwienie w poprzedniej epoce, toteż po kilku latach zaniechał własnej twórczości na rzecz poetyckich tłumaczeń, w których odnosił większe sukcesy.

Od połowy lat 80. XIX współpracował z T. Paprockim, wydawcą „Wiadomości Bibliograficznych”. Doceniając zdolności Przesmyckiego Paprocki zaproponował mu redagowanie nowego warszawskiego pisma literackiego „Życie”. Poza walorami arty-

stycznymi pismo miało duże znaczenie dla ratowania kultury polskiej w okresie wzmózonej rusyfikacji Królestwa Polskiego. Przesmyckiemu udało się pozyskać do współpracy ówczesnych czołowych twórców polskich, m.in. K. Ujejskiego, A. Asnyka, M. Konopnicką, J. Kasprówicza, I. Balińskiego, E. Porębowicza, W. Rolicz-Liedera, A. Lange. Na łamach pisma publikował też własne przekłady poezji G. Carducci'ego, S. Mallarm, Edgara A. Poe, W. Whitmana. Sukcesy pisma zwróciły wkrótce zainteresowanie cenzury. Kary finansowe ze strony administracji carskiej oraz naciski wydawcy zmusiły Przesmyckiego do ustąpienia z funkcji redaktora „Życia” w 1888 r.

Postanawiając bliżej poznać się z literaturą Zachodu w 1889 r. wyjechał do stolicy świata kultury Paryża, a stamtąd do Austrii, gdzie na Uniwersytecie Wiedeńskim uzyskał stopień naukowy doktora praw i jako przedstawiciel uczelni aktywnie działał w Towarzystwie Biblioteki Polskiej. W 1894 r. ponownie pojawił się w Paryżu, by głębiej zapoznawać się z zachodnioeuropejską kulturą i najnowszymi jej prądami we Francji, Belgii i Austrii. Mimo pobytu za granicą nadal publikował w prasie wychodzącej na ziemiach polskich studia poświęcone światowemu piśmiennictwu oraz przekłady utworów. Bliską współpracę nawiązał zwłaszcza z redakcją krakowskiego „Świtu”, gdzie wydrukowano serię jego artykułów poświęconych ówczesnemu życiu kulturalnemu Belgii i francuskiemu symbolizmowi oraz felietonów dotyczących stosunków literackich w kraju, poziomu rodzimej literatury i krytyki. Twórczość Przesmyckiego pozwalała czytelnikom na ziemiach polskich zapoznawać się z nowymi prądami w europejskim piśmiennictwie i wychodzić z kulturalnego zaścianka jaki wznosiły stuletnie już zabory. Toteż w czasie krótkich wizyt w kraju zapraszany był do wygłaszania prelekcji na temat przejawów kultury współczesnej. Z żywym odzewem, również na Zachodzie, spotkał się zwłaszcza artykuł pt. *Maurycy Maeterlinck i jego stanowisko we współczesnej poezji belgijskiej*. 3 IV 1898 r., w 50. rocznicę śmierci Juliusza

Słowackiego, wygłosił słynne przemówienie przy grobie poety na paryskim Montmartre, w którym zachęcał do bliższego zainteresowania się twórczością wieszczą i kładł nacisk na potrzebę pełnego wydania jego pism.

W połowie lat 90. jego zainteresowania zdominowała osoba i twórczość filozofa Józefa Marii Hoene-Wrońskiego prowadził swoje badania w całej Europie, zbierał materiały, gromadził kopie prac, poszukiwał rękopisów. Z powodu nie otrzymania stypendium na dalsze badania oraz braku akceptacji dla filozofii Hoene-Wrońskiego nie uwieńczył badań planowaną wcześniej monografią.

Nie do przecenienia jest wkład Przesmyckiego w przybliżanie Polakom twórczości Cypriana Kamila Norwida. Jeszcze w trakcie badań na Hoene-Wrońskim, poszukując portretu filozofa autorstwa Norwida, w wiedeńskim antykwariacie natknął się Przesmycki na autobiografię tego niedocenianego za życia polskiego poety. Doprowadziła go ona do osób przechowujących spuściznę Norwida. Przesmycki od razu poznał geniusz tkwiący w tej poezji oraz jej znaczenie dla polskiej kultury i życia narodowego. Rozpoczął szeroko zakrojone studia poświęcone Norwidowi, publikował jego utwory i niewątpliwie przyczynił się do umieszczenia poety w panteonie największych narodowych twórców.

W końcu 1898 r. Przesmycki wrócił do kraju i poświęcił się przygotowaniom do wydania nowego pisma literackiego. W 1901 r. ukazał się pierwszy numer „Chimery” nieregularnego czasopisma poświęconego literaturze i sztuce, które Przesmycki wydawał własnym sumptem. W latach 1901-1907 ukazało się 30 numerów, które ogółem złożyły się na 10 tomów. Ideowym programem Przesmyckiego odnośnie kultury promowanym w piśmie, było realizowanie harmonii estetycznej poprzez sztukę, która dodatkowo miałaby zadanie otwierać perspektywy metafizyczne dzięki stosowanej symbolice i alegoriom. Odbiorcą takiej sztuki miała być zaś tylko „arystokracja ducha”. Potępiał twórczość rozrywkową, schlebającą niskim instyn-

ktom, skierowaną ku niewyrobionym gu-
stom „tłumu”. Jego działaniom przyświe-
cało hasło: „sztuka dla sztuki”. Na łamach
„Chimery” pisywali m.in.: S. Przybyszewski,
W. Berent, J. Kasprzowicz, J. Lemański, L.
Staff, T. Miciński, B. Leśmian, W. Reymont i
S. Żeromski. Publikowano nieznane utwo-
ry Norwida i Słowackiego oraz liczne
przekłady literatury obcej.

„Chimera” osiągnęła bardzo wysoki poziom
edytorski i powszechnie uznawana była za
jedno z najpoważniejszych europejskich
periodyków artystyczno-literackich. W
1905 r. otrzymała medal na wystawie To-
warzystwa Polskiej Sztuki Stosowanej w
Krakowie, „jako jedyne wydawnictwo w
Polsce, które dbałością o artystyczny układ
całości, o dokładne odbijanie klisz, o całą
stronę ilustracyjną, papier, czystość druku,
stoi na poziomie najwyższych wymagań
współczesnych” („Chimera”, IX, s. 164).

W okresie przed odzyskaniem niepodległości
przez Polskę Przesmycki prowadził akty-
wne życie kulturalne. Znalazł się w gronie
założycieli Komitetu Pamięci Stanisława
Wyspiańskiego w Warszawie, brał udział w
pracach Warszawskiego Towarzystwa
Artystycznego, tworzył koncepcję nowo-
czesnego muzeum sztuki, udzielał się w
pracach nad problemem regulacji praw
autorskich. W 1909 r. animował działalność
Komitetu Jubileuszowego setnej rocznicy
urodzin J. Słowackiego. Cały czas publi-
kował nieznane utwory Norwida oraz
przekłady z literatury europejskiej.

Działania te przyniosły Przesmyckiemu duże
uznanie i popularność. W 1917 r. został
mianowany członkiem Komisji Sztuk
Pięknych w Ministerstwie Wyznań
Religijnych i Oświecenia Publicznego, w
Polsce Odrodzonej mianowano go pod-
sekretarzem stanu w Ministerstwie
Ochrony Kultury i Sztuk Pięknych, a 19 I
1919 r. ministrem kultury i sztuki. Prze-
smycki był prezesem Straży Piśmiennictwa
Polskiego, członkiem Polskiej Akademii
Literatury oraz członkiem honorowym
Towarzystwa Bibliofilów Polskich.

W 1905 r. Przesmycki poślubił Anielę Hoene,
córkę sędziego trybunału, właścicielkę
pensji dla dziewcząt w Warszawie. Mieszka-
li w Warszawie przy ulicy Mazowieckiej 4,

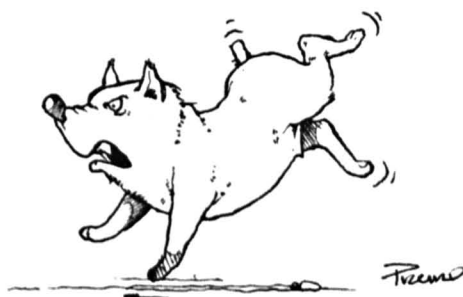
a pracownia Przesmyckiego znajdowała się
w Chyliczkach pod Warszawą. Jego pry-
watna biblioteka liczyła około 7 tys. wolu-
minów, które spłonęły podczas Powstania
Warszawskiego. Sam Przesmycki nie zgo-
dził się opuścić Warszawy i zmarł w szpitalu
polowym 17 XII 1944 r.

17 V 1945 r. ciało Przesmyckiego przeniesiono
do rodzinnego grobowca na Powązkach.
Został odznaczony m.in. Orderem Polonia
Restituta i francuską Legią Honorową.
Archiwum Przesmyckiego zawierające m.in.
rękopisy Norwida, notatki i prace doty-
czące Hoene-Wrońskiego oraz obfita
korespondencja ocalały i obecnie przecho-
wywane są w Bibliotece Narodowej w
Warszawie.

Bibliografia:

- B. Koc, *Przesmycki Zenon*, [w] PSB, t. 17, s. 15-20; S. Bylina, B. Jaroszewicz-Kleindienst, E. Madany, *Stosunki literackie polsko-czeskie i polsko-słowackie*, Wrocław 1978; H. Floryńska-Lalewicz, *Zenon Przesmycki*, www.culture.pl; J. W. Gomulicki, *Pod znakiem Norwida*, Wiktor Gomulicki i Zenon Przesmycki, „Poezja”, nr 6-7/1984, s. 66-87; idem, *Przedmowa do Dziel zebranych Norwida*, Warszawa 1966; S. Jarmuła, *Zenon Przesmycki poeta i edytor*, „Grot” (Radzyński magazyn społeczno-kulturalny), nr 6/2000, s. 19-20; B. Koc, Z. *Przesmycki (Miriam) bibliofil, edytor i tłumacz*, „Roczniki Bibliotek Narodowej”, t. 15/1979, s. 235-252; S. P. Kaczorowski, *Zenon Przesmycki (Miriam)*, „Pamiętnik Literacki”, z. 3-4/1946; E. Korzeniewska, *Miriam a Norwid*, „Pamiętnik Literacki”, z. 2/1965; idem, *Miriam redaktor „Życia”, „Ruch Literacki”*, nr 2/1961; W. Krajewska, *Recepcja literatury angielskiej w Polsce w okresie modernizmu*, Wrocław 1972; Z. Krajewska, *Wronsciana i norwidiana kórnickie w korespondencji Zenona Przesmyckiego (1892-1937)*, „Pamiętnik Biblioteki Kórnickiej”, z. 11/1974; B. Kuś, *Poezja rosyjska w polskim życiu literackim przełomu XIX i XX w.*, Wrocław 1979; J. Lorentowicz, *Miriam i „Chimera”*, [w] Młoda Polska, Warszawa 1908; J. Magnuszewski, *Stosunki literackie polsko-czeskie w końcu XIX i XX w.*, Wrocław 1951; O. Missuna, *Warszawski pitaval literacki*, Warszawa 1960; K. Olchowicz, *Czwierć wieku z „Kurierem Warszawskim”*, Kraków 1974; M. Podraza-Kwiatkowska, *Młodopolskie harmonie i dysonanse*, Warszawa 1969; idem, *Programy i dyskusje literackie okresu Młodej Polski*, Wrocław 1977; W. S. Reymont, *Listy do Wandy Toczyłowskiej z lat 1907-1912*, Warszawa 1981, s. 149-168; A. Ryszkiewicz, *Miriam-Przesmycki i Manggha-Jasiński*, „Akcent”, nr 2/1983, s. 173-180; J. Sowinski, *Szkola typograficzna Młodej Polski*, Kraków 1983; M. Szurek-Wisti, *Miriam tłumacz*, Kraków 1937; *Wśród mitów teatralnych Młodej Polski*, Kraków 1983; F. Ziejka, *Studia polsko-prowansalskie*, Wrocław 1977; J. Zielinski, *Miriam poeta czeski*, „Twórczość”, nr 5/1983, s. 133-136; A. Zyga, *Krakowskie czasopisma literackie drugiej połowy XIX w.*, Kraków 1983.









KRZYSZTOF T. DABROWSKI

TAM GDZIE GASNĄ GWIAZDY

Tego się nie spodziewali, już prędzej że ujrzą Boga, ale to po prostu przekraczało ich zdolności pojmowania... nagle wszystkie teorie dotyczące wszechświatów równoległych znalazły swoje logiczne uzasadnienie, wszystkie tezy mówiące o tym, że ginący kosmos jest zastępowany przez nowy, też okazały się prawdziwe! Kapitan Hans Olo obejrzał się na załogę - wszyscy byli poruszeni, nie dowierzali własnym oczom. Nikt nie spodziewał się że ujrzy...

Czy przodkowie mieli moralne prawo, by decydować za przyszłe pokolenia? Czy misja usprawiedliwiała fakt, że Ziemia stała się dla nich niemalże mitem, starym, zakurczonym, który trzeba znać właściwie tylko z obowiązku? Manta Saria, ogromny statek kosmiczny przemierzał przestrzeń od ponad trzech tysięcy lat, by dokonać czegoś, co kiedyś byłoby uważane za czyste szaleństwo. Odkąd, wieki temu, naukowcy udowodnili, iż wszechświat w pewnym miejscu się kończy, kiedy kolejnych parę wieków później dowiedziono, że ów krańiec jest zbudowany z materii, jakby ktoś specjalnie otoczył go wielkim murem, uznano, że sprawą najwyższej wagi będzie sprawdzenie, co się za nim kryje. Niektórzy nawet żartobliwie ochrzcili tą wyprawę mianem „odkryć boga” wkrótce się okaże, czy żarty nie były prorocze.

Mijali wiele galaktyk. Gdy tylko któraś rokowała nadzieję, że może istnieć tam życie, lub choćby planeta, którą można by zasiedlić, natychmiast wysyłali sondy badawcze. Mimo braku sukcesów, mogli sobie na tą rozrzutność pozwolić gdyż dzięki dobrodziejstwu nanotechnologii owe pojazdy zbudowane były z zaledwie kilku tysięcy atomów. Trzy tysiąclecia przemierzania czarnej pustki. Ponad dwadzieścia pokoleń znających Ziemię jedynie z podręczników - czasami zadawał sobie pytanie czy to wszystko ma sens?; czy nie zmierzają przypadkiem ku własnej zgubie? Czy mają prawo spojrzeć w twarz Boga? Udowodnić istnienie Najwyższego, jeśli

naprawdę tam jest. Hans Olo od pięćdziesięciu dziewięciu lat przewodził wyprawie i nie było symulantu dnia, by nie dręczyły go te pytania. Pytania bez odpowiedzi. Najważniejsza w dziejach ludzkości eskapada została zaplanowana w najdrobniejszych szczegółach. W fazie przygotowań najtwardszym orzechem do zgryzienia była kwestia produkcji pożywienia. Aby załoga nie pomarła z głodu musieliby mieć, ze sto razy większą od statku, ładownię pełną żywności. Upłynęło kilka lat, nim wynaleziono generator cząsteczkowy i jednocześnie uratowano cały projekt. Urządzenie rozbiło odpadki na atomy, z których mogło potem skonstruować dowolną rzecz, pożywienie czy napój. Wybawienie i przekleństwo w jednym. Przekleństwo, bo nic nie mogło się zmarnować nawet zmarłych i odchody muszą rozбивać na atomy (a potem jeść w postaci wygenerowanego pokarmu), nigdy nie poznają smaku prawdziwego ziemskiego jedzenia, soczystych owoców, krwistych steków. Wszystko, co wyprodukowali, miało podobny, lekko tekturowy posmak.

Zmarli przerabiani na pokarm mimo, iż spędził tu całe życie, mimo tego, że nie znał innego jedzenia, ta myśl wzbudzała w nim jakieś niedookreślone, pierwotne uczucie obrzydzenia i grozy. Fakt, że jego organizm przetrawia przerobione odchody jeszcze jakoś dawało się znieść, ale to, że być może któregoś dnia spożył rodziców, matkę, ojca...

Nie mniej problemów nastroczała kwestia napędu. To, że światła nie da się prześcignąć, było sprawą bezdyskusyjną, jednakże, dzięki wykorzystaniu antymaterii jako paliwa i wynalezieniu nowych niesmowicie odpornych na uszkodzenia materiałów, udało się ostatecznie osiągnąć podświetlną, nieznacznie tylko mniejszą od prędkości fotonów. Mimo tych niezaprzeczalnych sukcesów naukowcy wciąż załamywali ręce... statek musiałby lecieć ponad milion lat, by dotrzeć do punktu docelowego. Przygotowania utknęły w

martwym punkcie na dziesięć lat. Z każdym dniem mniej ludzi wierzyło w to, że wszystko zakończy się sukcesem. Pojawiały się nawet głosy oburzenia, iż budżet planetarny wydał na całe przedsięwzięcie wiele miliardów eurolarów, które oczywiście najbardziej obciążały najuboższych podatników. Tych nie obchodziły jakieś tam wyprawy, kosmiczne fanaberie.

Pewnej, nasiąkniętej atmosferą rezygnacji, nocy jeden z młodziutkich stażem astrofizyków zerwał się z łóżka i do rana, niemalże z szaleństwem w oczach, wyliczał wzory, które wyśnił. Powstała teoria synchronizacji zakrzywień czasoprzestrzennych. Najprościej rzecz ujmując ów młodziak przyczynił się do stworzenia „mapy drogowej” wszechświata i wytyczenia „tuneli” krzywizn czasoprzestrzennych... w praktyce oznaczało to, iż dotarcie do punktu docelowego zajmie ludzkości prawie trzy tysiące lat; a to było już do zaakceptowania.

Gdy budowa statku była na ukończeniu zgromadzono najtęższe umysły obu płci. Spośród nich wyselekcjonowano pięć

tysięcy ochotników, z czego jedną połowę stanowili mężczyźni a drugą kobiety. Wybrańcy musieli zaakceptować tylko jeden warunek – musieli się dobrać w pary, każda miała spłodzić dwójkę dzieci. Cykl ten miał się powtarzać przez wiele przyszłych pokoleń. Pokoleń, którym nie pozostawiono już żadnego wyboru...

Nastał dzień zerowy. Dla pięciu tysięcy śmiółków rozpoczęło się nowe liczenie czasu. Tak jak kiedyś początek wyznaczały narodziny Chrystusa, tak teraz ich początkiem było oderwanie się od orbity ziemskiej. Wybrańcy ludzkości na dobrowolnym zesłaniu. Poświęcenie, o którym, niezależnie od wyników, po wsze czasy będą uczyć w szkołach.

Hans często zastanawiał się, jak teraz wygląda Ziemia. Nigdy na niej nie był. Narodził się wśród gwiazd, a nie na odległej, błękitnej planecie, ale czuł do niej dziwną tęsknotę, jakby gdzieś głęboko w genach zakodowano mu poczucie więzi z tą pierwotną matką ludzkości. Fakt faktem otrzymywali przekazy wiązka informacyjną, lecz były zniekształcone na skutek oddziaływania



różnorodnych promieniowań i krzywizn czasoprzestrzennych. Poza tym były niestety nieaktualne. Najświeższe wiadomości miały prawie dwa tysiące lat. Problemu komunikacji przy takich odległościach chyba nikt nigdy nie rozwiąże. Lepsze to niż nic. Ziemia mogłaby w tym momencie już nie istnieć, a oni dowiedzieliby się o tym dopiero za kolejne dwa tysiąclecia.

Zapewne nie on jeden miewał takie stany. Cała obecna załoga narodziła się na statku, w kosmosie. Umrą również najpewniej w tej czarnej głuszy. Lecz każdy obowiązkowo musiał poznać kulturę, historię, geografę i przyrodę planety przodków. A to wszystko tylko po to, by móc nauczać kolejne pokolenia. By pamięć o tym miejscu nie zaginęła. Kiedyś przecież wrócą tam ich potomkowie.

Im dłużej lecieli, tym więcej rodziło się teorii spiskowych. Ktoś stwierdził, że są uciekinierami, że błękitna planeta została napadnięta przez obcych. Ktoś inny, że nie ma dokąd wracać z powodu kolizji macierzy z ogromnym meteorytem. Ktoś nawet wymyślił takie kuriozum, że niby Ziemia nie istnieje i nigdy nie istniała... że statek był od zawsze, od zarania dziejów! Włos się na głowie jeży. Najlepsze, starannie wyselekcjonowane geny, potomkowie geniuszy i takie brednie legną się w co poniektórych głowach. Jak dobrze, że są już prawie u celu.

Z zamyślenia został wyrwany przez gwałtowny wstrząs i głośny pulsujący basowe dudnienie. Hamowali. Po raz pierwszy od kilku lat wytracali prędkość. Dotarli do celu! Byli już w odległości zaledwie kilkuset kilometrów od „końca wszechświata”. Zwolniono do czterystu za półtorej godziny przyjdzie im się zmierzyć z nieznanym. Czujniki wariowały, piskliwie alarmując załogę o wielkiej materialnej przeszkodzie. Hans uznał, że trzeba je wyłączyć; potrzebna będzie cisza i skupienie. Nadeszła wiekopomna chwila nie mogą sobie pozwolić na najmniejszy błąd.

Manta Saria sunęła niewzruszenie ku swemu przeznaczeniu, zostawiając za sobą roziskrzoną biliardami galaktyk przestrzeń, zmierzając ku idealnej czerni. Siły porządkowe i brygady ratownicze postawione zostały w stan najwyższej gotowości.

Oddziały komandosów, na wszelki wypadek, zajmowały pozycje przy blasterach i pojazdach bojowych. Na każdym z poziomów panował niesamowity tumult. Ludzie tłoczyli się przed ogromnymi ekranami mającymi transmitować całą akcję i przemowę głównodowodzącego. Na ich twarzach malowały się przeróżne uczucia, od strachu po ekscytację może to ostatnie chwile ich życia, a może otrzymali właśnie przepustkę do nowego, lepszego wszechświata...

Hans Olo przez prawie całe życie przygotowywał się do tej chwili, wiele raz ją sobie wyobrażał, nawet w snach go czasami nawiedzała. Gdy nastała, nie potrafił opanować emocji; głos drżał, serce łomotało, pot spływał obfitymi strumieniami po siwych skroniach. Załoga zdecydowanie nie powinna oglądać przywódcy w takim stanie. Postanowił wysłać swego zastępcę by odczytał w jego imieniu przemowę. Teraz najważniejszym zadaniem było porównywanie ze sobą najświeższych danych. Byli już na tyle blisko owej bariery, iż mogli sobie pozwolić na jej dogłębną analizę. Naukowcy krzatali się gorączkowo wokół urządzeń badawczych i przeglądali setki wydruków. Jeszcze dziesięć. Góra piętnaście minut i zwoła wszystkich do szczegółowego raportu. Odbędzie się prawdziwa burza mózgów.

Statek zatrzymał się w odległości kilometra od krańca. Wystrzelono miniaturową nanosonde badawczą. Mknęła z zawrotną szybkością, by wyhamować gwałtownie zaledwie metr od nieznannej materii. Natychmiast zaczęła transmitować szczegółowe dane zarejestrowane przez czujniki. Jednocześnie szykowała się do przeniknięcia przez szczeliny międzycząsteczkowe bariery.

To nie była burza mózgów... to było istne tornado. Ostatecznie o dalszych poczynaniach miały rozstrzygnąć informacje, które nanosonda miała przesłać po przeniknięciu na drugą stronę. Wszyscy w skupieniu wpatrywali się w ekrany transmisyjne. Początkowo panowały nieprzeniknione ciemności z czasem zaczęło się robić coraz jaśniej. W końcu ujrzeli osłepiającą biel. Komputery zaczęły wypływać nowe porcje danych. Jeden z naukowców

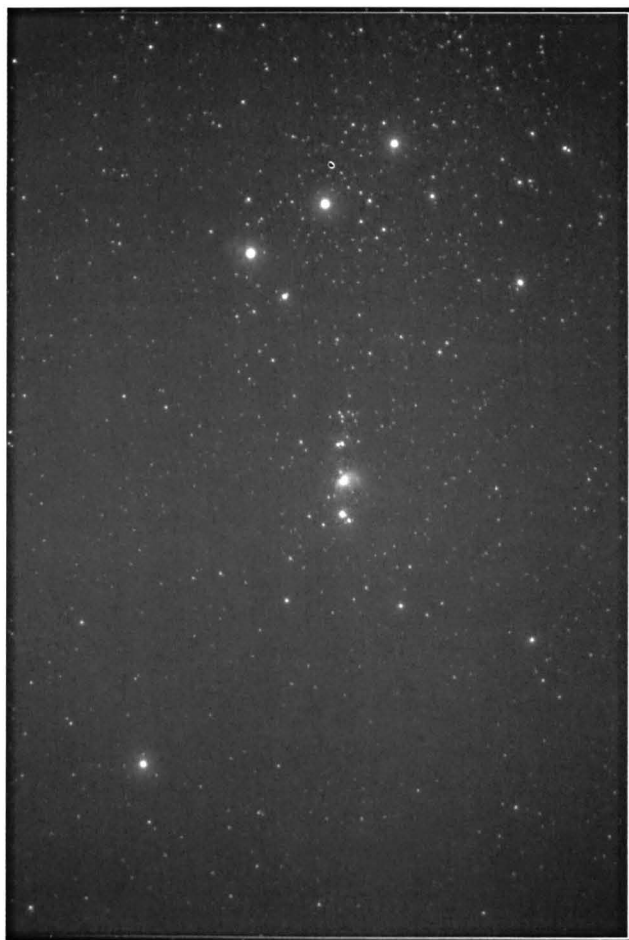
podbiegł do Hansa ściskając wydruk, jakby był czekiem na milion eurolarów. Z nadmiaru emocji, przez trwającą wieczność chwilę, nie mógł wydobyć z siebie głosu. W końcu wykrzyknął drżącym głosem:

Tam jest atmosfera!

Analizy i gorące dyskusje trwały kilka godzin. Ostatecznie postanowiono, iż trzeba przelecieć na drugą stronę. Fakt - ryzyko, że stanie się coś nieprzewidzianego, było ogromne, ale nie po to tyle pokoleń dokonało żywota z dala od Ziemi, by teraz tchórzliwie się wycofali. Ze względu na istniejącą po tamtej stronie atmosferę postanowiono otoczyć Manta Sarię bańką plazmy z ciemnej materii. Gdy tylko ów twór przylepił się do bariery, zaczęli się przewiercać przez kraniec. W miejscu przelotu wygenerowana została pętla czasoprzestrzenna, aby nie było ryzyka, że coś z tamtego wszechświata, przeniknie tam gdzie nie powinno. Nawet jakby trochę atmosfery przedostało się przez klaster, dostanie się do pętli i ugrzęźnie tam na zawsze nie czyniąc żadnych szkód.

Po kilku, pełnych napięcia, godzinach wlecieli wreszcie do nieznanego wszechświata. Większość kamer została momentalnie skierowana na barierę, by można było zobaczyć jak wygląda z drugiej strony była jasnoróżowa, bardzo chropowata i...

...i zaczęła się błyskawicznie oddalać, z prędkością tak niewiarygodną, że sprzęt badawczy zaprotestował z powodu braku skali. Nikt nie miał odwagi, by choćby drgnąć. Wszyscy zastygli w niemym przerażeniu, w bezruchu. Tego się nie spodziewali, już prędzej, że ujrzą Boga, ale to po prostu przekraczało ich zdolności pojmowania... nagle wszystkie teorie dotyczące wszechświatów równoległych znalazły swoje logiczne uzasadnienie, wszystkie tezy mówiące o tym, że ginący kosmos jest zastępowany przez nowy też okazały się prawdziwe! Kapitan Hans Olo obejrzał się na załogę, byli poruszeni, niedowierzali własnym oczom. Nikt nie spodziewał się, że ujrzy... Im bardziej ich wszechświat się oddalał, tym bardziej wyraziste były kształty... dziecka. Ich kosmos... był zaledwie komórką w gigantycznym organizmie nie zdającego sobie z tego sprawy kilkuletniego brzdąca. Czy wszechświat



 Mariusz Lemiecha

tego malca również jest tylko komóreczką, jedna z wielu miliardów, w czyimś ciele? Czy on, Hans Olo, w każdej swej komórce również ma wszechświat? Czuł, że za moment zwariuje. Czy teraz, zagryzając ze zdenerwowania wargi (do krwi)..., czy uśmierca właśnie miliardy bytów dokonując zniszczenia ich wszechświatów?

Pociemniało mu w oczach.
Zemdlał.



Złośliwa redakcyjna Chimera dała o sobie znać i w poprzednim numerze "Koziegorynku" opowiadanie "Naśmierciny" autorstwa Krzysztofa T. Dąbrowskiego zostało opublikowane w formie nieco okrojonej. Autora i Czytelników serdecznie przepraszamy.

(red)



HUBERT CZARNOCKI

Drzwi

wysyłał w niebo błyski
dawał długie i krótkie
znaki słał stada
tresowanych gołębi

drzwi nieba
otwierały się i zamykały
wyfruwały z nich kartki
wymykały się
błyski i zapachy

dobiegały strzępy
rozmów i przeciskały
promienie

pochylony nisko
szedłem tropem
podnosiłem pióra

moje serce
śpiewało dla
ciebie



ROBERT KONCA

WAKACJE

Patrzę na swoje ręce, a potem na swoje odbicie w szybie okna, nocą. Dwóch ludzi; któryś z nich jest tylko odbiciem. Który? Może obaj. A może żaden. Jutro wyjeżdżam. Jest lato, są wakacje. Późno już. Rano trzeba wstać. I jechać. Rzucić się błyskawicznym ruchem na budzik, przydusić silnie ręką, żeby przestał wreszcie dzwonić. I znowu wrócić na posłanie, położyć się, ale już tylko na chwilę, minuta czy dwie. I zaraz wstać na dobre. Do okna, rozsunać zasłony, zobaczyć, czy nie pada deszcz. I znowu powrót do posłania, aby zrobić z nim porządek. Później do kuchni, znaleźć coś do jedzenia i zjeść, nie za dużo. Napić się. Wyjść z domu i na stację, o wschodzie słońca. Dwudziesta trzecia czterdzieści, a jutro wyjeżdżam. Zrywa się wiatr, uderza w szyby. Czy jutro będzie padać? Nasłuchuję, bo wydaje mi się, że gdzieś daleko zagrzmiało, burza. Ale chyba nie. Czy jutro będzie padać? Czy jest tu gdzieś w moim domu ukryty parasol? Zapalam światło w przedpokoju, otwieram szafę. Gdzie parasol? Dwudziesta trzecia czterdzieści dwie. Czyżby pukanie do drzwi domu? Wynurzam głowę z szafy i podchodzę do drzwi. Nasłuchiwanie. Wyglądam przez wizjer. Ciemność na korytarzu. Otworzyć? Ale czy ktoś pukał? Nie słyszałem przecież, żeby ktoś pukał. Wracam do szafy. Jest wielki, czarny parasol. Chcę go otworzyć, ale zawsze te trudności z rozpostarciem parasola. Otwieram go wreszcie. Piękny, czarny, stylowy. Przechadzam się z nim kawałek po mieszkaniu. Wspaniały, okazały, ledwo mieści się w przedpokoju. Dwudziesta trzecia czterdzieści dziewięć. Ale nie lubię chodzić z parasolem, nie bardzo. Czy jutro będzie padać? Czy wyrwany z głębokiego snu jak z grobu, rzucę się oszalały na budzik, a potem chwycę rękami ciężką głowę? Niskie ciśnienie. Trzeba rozsunać zasłony i spojrzeć na strugi deszczu płynące po szybie. Szaro, prawie mrok. W blasku latarni czają się tłuste kałuże. Potem coś zjeść, bez większego apetytu niskie ciśnienie atmosferyczne. Wygrzebać z szafy czarny parasol, zarzucić na plecy plecak i iść, iść na stację z parasolem w rękę,

z plecakiem na plecach, deszcz bębni o chodniki. Dwudziesta trzecia pięćdziesiąt pięć. Składałam parasol, jest świetny. Ale nie lubię chodzić z parasolem. Będę musiał poszukać w razie czego kapelusza albo czapki. Wydaje mi się, że jest tu gdzieś czapka z daszkiem. Chowam parasol w szafie i rozglądam się trochę za kapeluszem. Nie ma. Do skrzyni trzeba. Otwieram skrzynię. Grzebię, pochylony nisko. Za chwilę jednak prostuję się nagle. Chodzi mi przecież o czapkę z daszkiem, a rozglądam się za kapeluszem. Wydaje mi się, że czapka z daszkiem była w szafie, jestem prawie pewien. Chciałem ją znaleźć, ale z nieznanych powodów rozglądałem się za kapeluszem i dlatego nie zwróciłem na nią uwagi. Podchodzę do szafy po raz trzeci, ostrożnie, aby nie obudzić Tego Co w Niej. Żyje, i rozglądam się za czapką z daszkiem. Jest. Chowam ją od razu do plecaka, może się przydać. Zero minut siedem. Ważę w rękę plecak. Jest lekki, nieduży. Jest lato, są wakacje. Jest noc. Patrzę z niepokojem na okno, wieje. Otwieram okno, chłodny powiew rozwiera mi szerzej oczy. Nie pada. Zobaczę, czy są gwiazdy. Są, nie ma chmur. Stoję w oknie, oddycham głęboko. Czy pukanie do drzwi domu? Zamykam okno, idę do przedpokoju, do drzwi. Słucham. Nic. Wyglądam przez wizjer. Czarno. Ale czy ktoś pukał? Nie słyszałem, żeby ktoś pukał. Zero trzynaście, a rano trzeba wstać. Na znak wygrzebać się z dusznej trumny, zgarnąć z siebie wiekową warstwę kurzu, a potem ramionami z całych sił przez wilgotną ziemię ku światłu, i do budzika. Nacisnąć mocno, by przestał wreszcie dzwonić, ale nie trafić za pierwszym razem zaspianą, na wpół żywą i niepewną ręką. Więc ponownie nacisnąć ze wściekłością, tym razem już dobrze, i wrócić na chwilę do posłania. Poleżeć jeszcze pilnując się, żeby znowu nie... Potem wstać na dobre, ubrać się i do okna, odsunąć zasłony. Znowu do posłania, by zrobić z nim porządek. Zjeść, i co tam jeszcze, i wyjść nareszcie z domu, z plecakiem na plecach, iść na stację, na poranny pociąg. Puste ulice, bramy



📷 Grażyna Hankiewicz

jeszcze ciemne. Słońce wschodzi, rozjaśnia krwawo szklane ściany wielkich fabryk. Chłodno. Zapiąć kurtkę, zastanowić się, czy niczego nie zapomniałem. Wejść na stację, kupić bilet i na peron. Przechadzając się po peronie jeszcze raz wyliczyć sobie w myśli wszystkie stacje przesiadkowe. Kombinować, jak najszybciej i najtaniej dojechać. Czy ona czeka na mnie w starym domostwie? Patrzyć, jak z dali nadjeżdża wolno pociąg, coraz bliższy, coraz bliższy. I do pociągu, w rozsunięte drzwi. Zero dwadzieścia. Patrę na swoje ręce, a potem na swoje odbicie w szybie okna, nocą. Jutro wyjeżdżam, dzisiaj właściwie, kilka godzin jeszcze. Nie zostanie tu po mnie nawet odbicie. Zero dwadzieścia siedem. Czy pukanie do drzwi domu? Znowu do drzwi, nasłuchuję, jakby świst oddechu. Wyglądam przez wizjer. Trzy przerażające, jarzące się źrenice w ciemności korytarza. Czwarta dwadzieścia osiem.

Kiedy mówi, jego ręce drżą jeszcze bardziej, a oczy poszukują czegoś na niedalekim, miejskim horyzoncie. Jego głos jest ochrypły, jego myśli rozwijają się i zanikają nagle: Nadchodzę stamtąd - pokazuje ulicę białą od słońca - z tamtej ulicy, tak, zawsze tak jest, że z tamtej ulicy nadchodzę. Nie pamiętam, co jest za tą ulicą, co też tam takiego jest, że zawsze z tej ulicy nadchodzę. I nie wiem, dokąd. Nie wiem, dokąd nadchodzę. Ty nie wiesz tego, co ja wiem. Ty nie wiesz tego, a ja tu przychodzę każdego dnia, ty nie wiesz tego - pokazuje powolnym, sennym ruchem ręki budynek dworcowy że ta budowla jest każdego dnia inna. Inny jest zegar dzisiaj, inny jest wczoraj, inny jest zegar jutro, pojutrze, pojutrze. Okna! Okna też są inne - krzyczy piskliwym głosem. Dzisiaj jest o jedno okno więcej, niż wczoraj, wiem to na pewno. Ja liczę okna dokładnie. Siadam w tym

miejsu, w tym samym zawsze cieniu i liczę okna, i liczę rysy na murze, drzwi. Liczę okna, bo czas wtedy szybciej przemija i wreszcie chce mi się spać. Wreszcie mija tyle czasu, że chce mi się spać, oczy zamykają się i śpię na siedząco, czy jak tam, na leżąco, nie wiem, nie ma mnie. Ale ja wiem to, czego ty nie wiesz. Ja wiem to, że czas każdego dnia mija inaczej. Bywa tak, że liczę ja okna, drzwi, rysy na murze, ptaki na niebie, wagony przetaczające się obok, ludzi przechodzących po moście, liczę wszystko, kładę rękę na sobie i liczę te stuknięcia, te drgnienia, co czuję w środku, gdy przyłożę rękę, choć bywają dni, kiedy nie wyczuwam ani jednego uderzenia, wszystko liczę, a czas nie mija i nie chce mi się spać, i tylko patrzę dookoła, co by tu jeszcze można było policzyć, żeby czas szybciej minął, i liczę liście na drzewie, ale i wtedy nie chce mi się spać, wciąż jeszcze zbyt mało czasu minęło. I wtedy patrzę na jasną od słońca ulicę. Nadchodzę stamtąd, z tej ulicy. Nie wiem, dokąd nadchodzę. Wieje wiatr unosi powoli głowę i patrzy w górę, gdzie małe listki poruszają się leniwie i bez szelestu ale tu, nisko, gdzie ja siedzę, nie ma żadnego wiatru. Na mojej twarzy osiada kurz i nie ma wiatru, który by go strząsnął. Coś za tą ulicą musi być, skoro zawsze stamtąd nadchodzę. Ale to się skończy. Przejdę tędy, minę siebie i pójdę dalej. Dziś jest inaczej. Okna, drzwi, zegar, rysy na murze. Któregoś dnia, pamiętam, było tak, że tylko jedno okno naliczyłem w tej budowli - patrzy z napięciem na stację. Jedno okno. A drzwi w ogóle nie było. I w tym oknie była jakaś twarz, jakaś głowa z długimi, białymi włosami. I ona się śmiała, bezzębna i władcza. Ona wie więcej. Siedzi tam, w tym oknie, którego dziś nie ma, ale może jutro znowu będzie, i tylko naciska guziki i zmienia zwrotnice torów. Tu przychodziło jeszcze takich dwóch. Pili coś z długich, zielonych butelek, zawsze w tamtych krzakach - pokazuje palcem pobliskie zarośla, wokół których leżą szkła porozbijanych butelek. Zawsze przychodzili, a wczoraj nie przyszli. I dzisiaj ich nie ma - jeszcze raz wskazuje głową na puste zarośla. Zmienili miejsca, mówię. Nie, nie, to nie to. Oni musieli odejść, choć nikt im nie kazał. Wieje wiatr, ale ja nie czuję na swojej twarzy żadnego powiewu. Był jeszcze jeden - przemyka na

chwile oczy, nie przestając mówić - taki w pomarańczowej kamizelce, małowówny jakiś. Milczek. Kiedy pociąg stał na peronie, on podchodził, schylał się nieco i stukał swoim młotkiem czy drażkiem w koła wagonów. Sprawdzał. Ale i on gdzieś poszedł. A dziś wszystkie pociągi - odjeżdżają w jednym kierunku. Ty nie wiesz tego, co ja wiem. Dziś czas inaczej płynie. Ta ręka - podnosi swoją rękę na wysokość twarzy - jest dzisiaj inna, niż była wczoraj. Ta ręka będzie inna jutro, a jeszcze inna pojutrze - opuszcza rękę z rezygnacją. Chciałbym, żeby minęło już tyle godzin, że moje oczy i myśli zmęczyłyby się i zasnęły wreszcie. Czasem śni mi się, że liczę okna, drzwi, rysy na murze, ptaki na niebie. Nadchodzę stamtąd, z tamtej ulicy. Nie wiem, dokąd nadchodzę.

Dokąd teraz ? Zszedłem z peronu małej stacji kolejowej, nieobecnej na dokładnych nawet mapach. Patrzę na góry na wschodzie, porośnięte czarnym lasem. Chyba tamtędy. Najpierw droga, miną małą wioskę, przy ostatnim domu zatrzymać się i spytać kogoś o starą budowlę, gdzie nikt nie chodzi. Później polną ścieżką coraz wyżej na wzgórze, skąd, odwracając się, zobaczyć wieś, stację, tory i inne wzgórza. I do lasu. Wielkie, stare drzewa, nierealne słońce między gałęziami, powykęcany w fantastykę kształty jak ramiona torturowanych. Dalej „krzyżówka”, należy skrócić w lewo; jest dosyć stromo, ale o wiele bliżej. Wystarczy przejść jeszcze jedną górę. Droga jest pusta; to wyjątkowo spokojna okolica. Na szczycie polana z kamiennym kręgiem, ustawionym przed tysiącletnimi przez nieznanych czarowników. Można odpocząć, coś zjeść, odetchnąć świeżym powietrzem. Jest lato, są wakacje. Można pochylić głowę, zamknąć oczy, poddać się hipnozie kamieni. Śnić raczej, niż widzieć, jak zachodzi słońce, a między drzewami przemyka zwinnie pochylona postać z długimi, białymi włosami.

To musi być gdzieś tutaj. Obserwuję mgły płynące po zalesionych górach. Moja ścieżka jest ledwo uchwytana, ginie wśród bujnej roślinności. Paprocie. Już widać polanę. Stoi tam stare domostwo. Jeszcze

trzeba przemierzyć sto, sto pięćdziesiąt metrów, by stanąć na rozległej polanie nieopodal starego domu. Ogarnąć czujnym spojrzeniem budowlę, okna, drzwi. Stwierdzić, że bardzo postarzał się dom od czasu mojej ostatniej tu, niedawnej przecież wizyty. Obrócony w ruinę. Pokiwać głową i podejść bliżej. Do okna najpierw. Czy ona jest? Z niecierpliwością i z lękiem przed tym, że jej nie zastanę, zajrzeć przez wylamane okno. Pusto. W kącie, gdzie trwa mrok, zarysy posłania. Czy ona tam jest? Później do drzwi, których nie ma. Wejść do środka ostrożnym krokiem. Rozejrzeć się po podłodze zagraconej kawałkami mebli, szkła, gazet. Ktoś tu jednak czasem przechodzi. I do pokoju, otwierając skrzypiący szkielet drzwi. W pokoju jeszcze bardziej zagracona podłoga, ale już nie zwracając na to uwagi, podejść do posłania w kącie, gdzie panuje mrok. Czy ona tam jest? Wreszcie przyzwyczajonymi do mroku oczami dostrzec jakiś niewyraźny kształt leżący na posłaniu w ciemności. Stać nad posłaniem, czując krople potu na czole i karku. Wyciągnąć rękę. Zbliżyć rękę; wiele godzin. Dotknąć wreszcie. Nie ma jej. Tylko zwinięty, porwany koc, w ciemnościach i kurzu. Dlaczego tak ciemno w tym kącie? Żeby nie myśleć o niej, odwrócić od niej myśli i dlaczego tak ciemno w tym kącie? Myśleć o nadchodzącej nocy i czuć wzrastający niepokój, ale nie z powodu mroku, lecz dlatego, że jej tu nie ma. Tylko ruina i kurz. A przecież nie minęło dużo czasu, a przecież obietnice, porozumienia naszych rąk, szepczące plany na przyszłość. Trzeba się czymś zająć, aby nie myśleć o tym. Do plecaka, poszukać świecy. Zapalić świecę i postawić ją na wielkiej, blaszanej puszcze znalezionej na podłodze. Spojrzeć w okno i stwierdzić, że już ciemno.

Siedzę oparty o ścianę i patrzę na płomień świecy. Jest dosyć widno, nie mogę narzekać. Słyszę, jak wokół domu ostrzegawczo szumi las. Teraz zamykam oczy i nasłuchuję jeszcze bardziej, czy tam, gdzieś pośród szumu, nie odzywają się jakieś kroki. Czy ona przyjdzie? Czy zobaczy nagle światło świecy idąc przez bezkresne lasy i góry? Czy idąc nocą wśród czarnych zarośli śpiewa cichutko, by dodać sobie otuchy, i czy ja jej śpiew usłyszę? Jak wygląda? Jak ona wygląda? Otwieram oczy, myślę, że już. Ogarniam wzrokiem ciemne ściany, ale

może jeszcze za wcześnie. Teraz w stronę okna; w pierwszym spojrzeniu wydaje mi się, że ją widzę - tylko przez moment, potem powtarzany bez końca przez mój umysł bezgłośnie stukającą w szybę, i myślę, że już, ale potem znowu pusto. Czasem wydaje mi się, że ją sobie przypominam, jej twarz, oczy, usta, wszystkie szczegóły. Czasem wydaje mi się, że czuję jej dotykanie, jedyne w swoim rodzaju dotknięcie. Jest dosyć widno, nie mogę narzekać. Tak o tym trzeba myśleć, odwrócić swą uwagę od niej i nie podsycać jeszcze bardziej niepokoju. W niektórych kątach panuje noc, ale nie można narzekać, a gdyby pojawiły się jakieś wątpliwości, to wystarczy przypomnieć sobie te domy ciemne, bez żadnego światła, w których trzeba było przeczekać tyle nocy; te szalasy ciasne i chłodne, gdzieś w lasach czy na szczytach gór; te ruiny z dwiema tylko ścianami i kawałkiem sufitu, a wokoło pochylają się w ciemnościach drzewa i leje deszcz; i wreszcie te pokoje, w których nagle znajdowałem siebie leżącego na podłodze zimnej i betonowej, czując się jak ryba na Księżycu, w szarości świtu lub zmierzchu. I deszcz na szybach. Trzeba o tym myśleć. Wstać i podejść do okna, omijając ostrożnie świecę. Wyrzucić przez okno, czy są gwiazdy na niebie, czy jest jeszcze niebo. Oprzeć się rękami o parapet i patrzeć do góry, i słuchać, jak szeleszczą liście, jak płynie niedaleki potok. A może do potoku, przemyć twarz rozpaloną, zanurzyć przeguby pokrwawionych rąk? Najpierw do przedpokoju, omijając ostrożnie świecę, zastanowić się, czy wziąć ze sobą ogień. Niech zostanie, nie jest tak ciemno. Przez ciemny jednak przedpokój, potykając się o zagraconą podłogę, widząc jaśniejszy nieco otwór drzwi. I wreszcie drzwi, nieistniejące, sam otwór, choć może są, lecz już nieodczuwalne? Na podwórze, gdzie trzeba postać chwilę i odetchnąć nocnym powietrzem. Potem dalej, spacerowym krokiem, przez trawy szumiące, sięgające kolan, przez polanę coraz bliżej lasu. Lekko w dół lasem, ostrożnie, by się nie potknąć, zejść w dolinę nad brzeg potoku. I patrzeć w srebrne fale, tak jasne pośród nocy, patrzeć stojąc na śliskim kamieniu. Pochylić się ku pędzącej wodzie, znów ostrożnie, by się nie potknąć. A jednak się poslizgnąć i usłyszeć, jak nocny ptak przeszyszywa listowie spłoszony. Ale



Grażyna Hankiewicz

wszystko w porządku. I wreszcie zanurzyć w wodzie ręce patrząc, jak fale splukują z nich czerwień, która odpływa w dal, i ręce stają się znowu czyste, białe jak lodowata woda, i tak samo zimne. Ale jest to jakiś inny chłód, nie natrętny, taki naturalny...
Później siedzieć długo nad potokiem, patrzeć, czy ona nie nadchodzi. Przypominać sobie ją, szczegół po szczególe, całą, i znowu tracić ją z oczu. Więc nie poddając się, wyobrażać ją sobie od nowa i wciąż patrzeć, czy nie nadchodzi. Potem, wierząc, że przyjdzie w dzień, zastanawiać się, czy ona mnie rozpozna. Będę musiał trochę posprzątać w domu przed jej przybyciem. Dom powoli obraca się w ruinę, ale to nie znaczy wcale, że musi być w nim brudno. Co się da, trzeba sprzątnąć, umyć jakoś podłogę, ściany, nareperować okna i zrobić jakieś prowizoryczne drzwi, żeby nikt nie przeszkadzał, kiedy ona do mnie przyjdzie. Kiedy słońce zablśnie nad polaną, trzeba zabrać się do

roboty. Powynosić na podwórze co większe graty z podłogi, a resztę wymieść miotłą sporządzoną z brzozowych gałęzi. Znaleźć stare wiadro, zaczerpnąć wody w potoku i umyć podłogę. Jeszcze raz iść do potoku, przynieść nowej wody i umyć ściany i meble, które nadają się jeszcze do użytku. Myjąc i sprzątając często podchodzić do okna i patrzeć, czy ona nie nadchodzi. Potem podchodzić z miotłą do każdego kąta i wygarniać wielkie pajęczyny spod sufitu, gnieść sędziwe, zasuszone pajaki w refleksach zachodzącego słońca.

Przystaję na chwilę i patrzę na zamglony płaskowyż. Nie widać gór, tylko kilka samotnych drzew. Zaczyna padać deszcz. Zdejmuję plecak i pochylam się nad nim.

Czy jest tu gdzieś ukryty kapelusz? Szukam. Gdzie kapelusz? A może czapka z daszkiem? Gdzie czapka z daszkiem? Jest: żółto - zielono - czerwona. Wspaniała. Nakładam, bo pada coraz bardziej. Nie ma wiatru w ogóle. Idę, zbliżam się do tunelu, w czapce z daszkiem, skulony od deszczu. Jeszcze ostatnie spojrzenie na szarą płaszczyznę rzeczywistości, dalekie, nieruchome drzewo odbite na kliszy pamięci. I do tunelu, coraz głębiej. Ciemność. Moje kroki odbijają się głośnym echem od granitowych ścian. Nie widać końca. Ale widać jakieś światło. Do światła teraz. Już blisko. Tunel się rozszerza w galerię światłości. Słyszę gwar ludzkiego tłumu, dźwięki hamujących lub przyspieszających pociągów.

Jesteśmy tu wszyscy, w tym gigantycznym tunelu, który sprawia wrażenie dobrze oświetlonej wielkiej sali lub jaskini. Przyszliśmy tu wszyscy, pociągów nie zabraknie. Robota przebiega sprawnie. Chodzą słuchy, że już połowa z nas wyjechała. Tunel zdaje się nie mieć końca. Chciałbym już stąd wyjść, ale nie wiem, jak; wszędzie tylko tłumy ludzi, miliony, miliardy osób, które same, bez niczyjego rozkazu, ustawiają się w kolejkach do wąskich drzwi wagonów. W drzwiach stoją spokojni strażnicy o woskowych twarzach pograżonych w melancholii i proszą o zajęcie wyznaczonych miejsc. Jeszcze nie widziałem, a chodzę tu już długo, żeby ktoś nie chciał wsiąść do pociągu. Zapelnione pociągi odjeżdżają i po chwili podstawiają się następne. Obserwuję ludzi. Zachowują się normalnie, rozmawiają. Przystaję i słucham znajomego głosu: „Chciałbym, żeby minęło już tyle czasu, aby moje oczy i myśli zmęczyły się i zasnęły wreszcie”. Mam dziwne wrażenie, że znalazłem się w tym tunelu przez pomyłkę, że to, co się dzieje, nie dotyczy mnie. Przechodzę wciąż obok ludzi gotowych do odjazdu, idę wśród nich tygodniami, latami - choć czas zdaje się tu płynąć w inne strony przez ten tunel, wielką halę ze światłami padającymi z sufitu, ale czuję, że mnie ich odjazd nie dotyczy. Jestem pewien, że gdybym zajął miejsce w kolejce i chciał, jak inni, wsiąść do pociągu, woskowe ramię strażnika zagroziłoby mi drogę, a pomalowane szminką usta powiedziałby beznamiętnie: Fuck off. I trzeba byłoby odejść. Wyjść z kolejki i odprowadzany drwiącymi spojrzeniami ludzi iść

wzdłuż wagonów samotnie, w swojej czapce z daszkiem, mijając innych ludzi, czarnych, białych, żółtych. Chodzić między pociągami, przechodzić przez tory i znowu wzdłuż wagonów samotnie, patrząc na twarze w oknach wagonów, mając wrażenie, że mnie to nie dotyczy. Niekiedy zatrzymać się, patrzeć na jakiegoś człowieka, jakby znajomego, zastanawiać się, skąd go znam, przypominać sobie jego losy, wiedząc jednocześnie, że był on zupełnie inny, niż teraz, gdy jego życie rysuje pamięć i wyobraźnia, że wszystko jest inne, nierozpoznawalne. Potem znowu iść, widząc to ostatnie, nieruchome drzewo wyryte w pamięci na zawsze, przypomnienie, że było kiedyś coś oprócz tego tunelu. I dalej, nie zamieniając z nikim ani słowa, przechodzić przez tory i potykać się o szyny umykając przed pędzącymi pociągami. Twarze w oknach, odjeżdżające bez słowa skargi, bez gestu sprzeciwu. Później, wciąż idąc, przypomnieć sobie ją, szczegół po szczególe, wiedząc jednocześnie, że jest ona inna. Ale nie poddawać się, nie rezygnować, wyobrażać ją sobie od nowa. Patrzeć, jak tunel powoli pustoszeje, a światła stają się coraz słabsze. Czasem przystawać i patrzeć w górę, na nieskończoną powierzchnię sufitu, gdzie miliony przybywających nie wiadomo skąd pajaków biegają po swych lepkich, bezkresnych linach, wijąc coraz gęstsza sieć i stopniowo przesłaniają to nieziemskie światło. Ta rytualna, systematyczna praca pajaków zdaje się być teraz jedyną funkcją czasu. Najpierw liczyłem nowe linie przybywające w precyzyjnych labiryntach pajęczyn; były punktem odniesienia dla trwania moich myśli i wspomnień. Jednak zmęczyło mnie to, a może zrozumiałem, że obowiązuje tu inna fizyka, zaś moje wspomnienia są jedynie mglistą i niepewną przyszłością. Główna wygrana staje się tylko jednym z miliardów losów na loterię, ścisłanym nerwowo w rękę przez pechowca. Więc chodzę sobie tu i tam, nie niepokojony przez nikogo ani przez nic. Już nie pamiętam, z kim miałem się spotkać, gdzie to miało być, w jakim celu i czy do spotkania doszło. Tutaj takie sprawy nie mogą stanowić przedmiotu rozważań. Tutaj pewne rzeczy nie mają prawa się zdarzyć. I nawet nie wiem, kiedy (choć słowo „kiedy” wydaje się tu bezużyteczne) skończyły się halucynacje. Tak to odbierałem, ale równie

dobrze mogły to być obiektywne zjawiska, co jednak nie ma znaczenia, bo nie istnieją (i nie są nikomu potrzebne) dowody na potwierdzenie którejkolwiek z tych tez. Zniknęły pająki, ich długie i lepkie konstrukcje, potem tunel i to, co się w nim działo. W pewnej chwili jeszcze natknąłem się na delikatną, prawie niematerialną, fioletową zasłonę. Wisiała przede mną w przestrzeni, utrzymywana przez jakąś nieznaną siłę, nie zdołałem bowiem dostrzec czegoś, na czym mogłaby się trzymać. Była przezroczysta; wydawało mi się, że nic za nią nie ma. Gdy jednak poszedłem bliżej i uchyliłem zasłonę, ujrzałem zaropiałe oko wielkości lokomotywy, patrzące na mnie złośliwie nerwową i nieludzką żrenicą. I biegłem, nie oglądając się za siebie, czując, jak Jego spojrzenie przenika mnie niczym strumień zaostzonych neutrino. Ostatkiem sił dotarłem jednak do strefy ciemnej mgły i tu znowu wszystko uległo przemianom. Teraz czuję, jak zmienia się mój umysł; staje

się umysłem może nie obcym, ale dziwnym. Zaczynam więc bacznie go obserwować, zdając sobie nagle sprawę z tego, że mam jeszcze jeden umysł, który obserwuje pierwszy. A może jest ich znacznie więcej; tajemnicza, wielopiętrowa struktura, do szczytu której nie da się dotrzeć w czasie jednego ziemskiego życia. Mnie jednak nikt nie pogania, nie ustala sztywnych terminów, nie zmusza do niczego. Zaoferowano mi, jak się wydaje, całkiem niezłe miejsce, atrakcyjne w tej swojej pozornej pustce, którą będę mógł w wolnych chwilach a wszystkie są wolne demaskować; fascynujące ze względu na głosy dobiegające z niewidzialnych, jak na razie, ust. Jestem więc spokojny. Z ciekawością rozpoczynam zwiedzanie; moja wyobraźnia odzyskuje wysoką formę. Można powiedzieć, że wypoczywam. I mam przecucie, że będą to długie wakacje.





KRZYSZTOF ANIN KUZKO

wielcy
dogadują się
nad głowami maluczkich
utrwalają im biedę w myśl zasady
wszystko dla dobra ...
samych siebie

prosty człowieku
nie bądź naiwny
przed kolejnymi
wyborami
kamień pozostaje
zimnym kamieniem
tylko kamieniem

Gdy
gdy osiągnę kres podróży
pamiętaj
połóż na każde słowo
kamień ciepły polem pszenicznym
rzeźbiony deszczem
kamień cierpliwy słuchacz
dźwięków miłości
pokonaj ciszę dni

prababcia
przerzuciła przez plecy
pucowane półbuty
podreptała piaszczystym
poboczem przez pola
przyklęknąć przed
Patronką Podlasia
pokornie prosząc
pomysłności przyszłym pielgrzymom



BEATA MAGIER

CHŁOPIEC W OKNIE

Grudzień

Chłopiec wyglądał, jakby przykleił się do szyby: śmiesznie rozplaszczony nosek, obie dłonie oparte o zimną taflę szkła. I szeroko otwarte ciemne oczy, uważnie wypatrujące każdego ruchu na ośnieżonej ścieżce. A było na co patrzeć. Właśnie spadł pierwszy tego roku śnieg i przykrył świat grubą, puchową pierzynką. Znikła wijąca się pomiędzy krzewami ścieżka, a drzewka wyglądały bajkowo. Cały świat zdawał się jakby był przeniesiony do jakiejś czarodziejskiej krainy... Koło furtki pojawił się zimowy strażnik – pierwszy tegoroczny bałwan w czerwonym wiaderku na głowie. Dziecko z przejęcia miało rozgorączkowany wzrok i rumiane policzki. Ale to nie śnieg i bajkowy widok był teraz dla niego najważniejszy.

- Kostusiu, odejdź od okna, bo się przeziebiesz. Mówiłam ci, że przyjadą dopiero wieczorem i od razu siądziemy do wieczery wigilijnej. Nie chcesz pooglądać bajeczek w telewizji?
- Nie, babciu.
- Szkoda, że jesteś taki zajęty. Wujek Marcin poszedł po choinkę i zaraz z Anią i Zuzią będą ją ubierać... Myśleliśmy, że pomożesz. Dziewczynki już zaczynają podjadać cukierki.
- A co powiesimy na choince? Powiedz im coś
- Sam powiedz.
- O, idzie wujek. Ale wielka choinka
- To pomożesz wujkowi ubierać?
- No pewnie. A ty, babciu, patrz, czy nie przyjechali.
- Dobrze, dobrze. Idź już, bo zabraknie bombek dla ciebie...

Chłopiec jeszcze raz spojrzął badawczo przez okno i zeskoczył z krzesła. Chwilę później rozbrzmiał pisk radości:

- Cudowna, prawda babciu? Ale będzie dużo miejsca na bombki

Gwar dziecięcych głosików przeniósł się z przedpokoju do salonu. Chwilę później słychać było radosne sprzeczki o to, kto i gdzie powiesi upatrzoną ozdobę. Barbara

wróciła do kuchni. Spojrzała tylko przez okno, westchnęła ciężko i dołączyła do córki przygotowującej kolację.

- Mamo, usiądź sobie. Przecież spokojnie zdążę ze wszystkim – powiedziała Małgorzata.
- I co, będę cały czas myślała? Muszę się czymś zająć
- Ale czujesz się dobrze?
- Dobrze. To, że dzisiaj przyjedzie Renatka z Jackiem poprawia mi nastrój.
- Aby tylko się nie spóźnili. Bo coś nie wygląda na to, żeby im się spieszyło.
- Małgosiu, nie mów tak. Przecież oni tak ciężko pracują...
- Coś mi się wydaje, że tak im po prostu pasuje.
- Przestań marudzić. Lepiej kończ już z tą rybą, bo się nie wyrobimy.

Kiedy tylko skończyło się ubieranie choinki, Kostek wrócił na swoje stanowisko przy oknie.

- Babciu, o której przyjadą?
- Przecież mówiłam ci, Kostusiu... Może chciałbyś coś zjeść?
- Ale przecież nie można jeść, zanim nie zaświeci pierwsza gwiazdka – oburzył się chłopiec.
- Kostusiu, post dotyczy tylko dorosłych, a ty jesteś dzieckiem – wtrąciła się Małgorzata.
- Ale ja chcę poczekać – upierał się malec.
- No dobrze, to napij się przynajmniej soku – młodsza z kobiet podeszła i potargała gęstą czuprynę chłopca.
- Babciu, dlaczego rodzice muszą tyle pracować?
- Kochanie, każdy musi pracować
- A ty siedzisz w domu.
- Bo ja jestem już na emeryturze, kochanie.
- A rodzice nie mogą też być na emeryturze?
- Barbara roześmiała się.
- Oj, Kostusiu, Kostusiu... Przecież twoi rodzice są jeszcze młodzi. Żeby iść na emeryturę, trzeba długo pracować. I być starym, jak ja.
- A ciocia Gosia i wujek Marcin też pracują, ale nie tyle co rodzice... O, ciocia jest tu z nami
- Cioci i wujkowi udało się znaleźć pracę tutaj. A twoi rodzice mają inną pracę. Muszą zarabiać pieniądze. Chcą zbudować piękny domek, kupić ci mnóstwo zabawek.

- Wołałbym, żeby tutaj byli... – chłopiec naburmuszył się.
- Oj, kochanie. I mnie, starą, zostawiłbyś samą?
- Wcale nie jesteś stara. Zresztą, zawsze będziemy razem, bo ciebie babciu kocham najbardziej na świecie
- Chodź, niech cię uściskam, mój ty mały mężczyzno
- A ja? Mnie nikt tu nie kocha? – wtrąciła Małgorzata.
- Oj, ciociu - Przecież wiesz
- To i ja zamawiam u ciebie całusa. A najlepiej od razu dwa, jeden na zapas – wszyscy roześmieli się wesoło.
- Babciu, babciu. Już jest na niebie pierwsza gwiazdka - do kuchni wbiegły roześmiane dziewczynki – Chodź, Kostuś
- A wy, panienki, już gotowe? Szybko, przebierajcie się - Trzeba siadać do kolacji - I ty, Kostuś, też - Przygotowałam ci ubrania, leżą na łóżeczku.
- Ale jeszcze ich nie ma – w oczach dziecka błysnęły łzy.
- Zaraz przyjadą, nie martw się

Barbara nie wiedziała już co ma zrobić. Kostuś stanowczo nie chciał zająć miejsca przy stole, a nawet zejść do salonu. Siedział z zaciętą miną na swoim łóżku, odwrócony do ścian.

- Kostusiu, zaraz przyjadą. Dzwonili, że już dojeżdżają. Bądź, grzecznym chłopcem
 - Nie - Obraziłem się
 - Ale ty jesteś małym chłopcem, nie możesz się obrażać. Zaraz przyjadą. Musisz się uspokoić. Jak będziesz wyglądał z taką brzydką buzią? Popatrz na mnie
 - Kostek, przyjechali – dobiegły z dołu głosy dziewczynek.
- Chłopiec błyskawicznie zerwał się, poprawił ubranie.
- Są, babciu, są – krzyknął i wybiegł z pokoju.
 - Mamo, tato - chłopiec z piskiem uwiesił się na szyi Renaty.
 - A na mnie tutaj nikt nie czeka? – mrugnął do chłopca Jacek.
 - Już myślałem, że nie przyjedziecie
 - Kochanie, dorośli muszą pracować i zarabiać pieniądze - Przecież wiesz
 - Ale ja tak się bałem...
 - Już jesteśmy. I zobacz jakie wspaniałe przywieźliśmy ci prezenty

Wtrąciła się Barbara:

- Witajcie - Ale wcześniej był u was Święty Mikołaj. I jakie wspaniałe zostawił prezenty – mówiła z naciskiem.
- Mikołaj? A tak, to Mikołaj zostawił u nas przed drzwiami. Prezenty są dla wszystkich – Renata z niezadowoleniem spojrzała na matkę.
- Witaj, mamo – ucałowała Barbarę i szepnęła jej do ucha – Jeszcze wciskasz mu te bajki o Mikołaju? Przecież to duży chłopak. Ma już 5 lat
- Póki co, wierzy w Mikołaja i niech tak będzie. Nie można mu odbierać dzieciństwa. Wystarczy, że was ciągle nie ma. Zresztą, pogadamy później. Teraz chyba na to czasu nie ma.
- Dobrze, mamo.
- Myjcie ręce, czas siadać do stołu. Czekaemy tylko na was.
- Nie mogliśmy się wcześniej wyrwać z pracy – Jacek ucałował teściową w oba policzki – I Jeszcze dzisiaj było przyjęcie firmowe. Mnie też zaprosili... Mówię ci, jakie było pyszne jedzenie... Mniem. Nigdy czegoś podobnego nie jadłaś. Aż nie chciało się wychodzić. Dzisiaj już chyba nic nie wcisnę
- Przyjęcie? W Wigilię? – oburzyła się Barbara – Woleliście siedzieć w pracy zamiast wracać do domu? A post?
- Co ty mamo wiesz – przerwała matce Renata – W dzisiejszych czasach firma jest dla pracownika drugim domem. Jak moglibyśmy nie pójść na przyjęcie? Pomyśleliby, że nie podoba mi się ta praca. A co do postu, to kto dziś jeszcze pości w wigilię? No chyba, że to głodówka zdrowotna – roześmiała się – Ale było wyśmienite jedzenie. Tak przygotowanego drobiu nigdy nie jadłam.
- A mnie najbardziej smakowało prosie. Nawet miało jabłko w pysku.
- Co wy wygadujecie...
- Mamo, już nie marudź. Prawda, Kostuś? Siadamy do stołu. Tylko się odświeżymy.

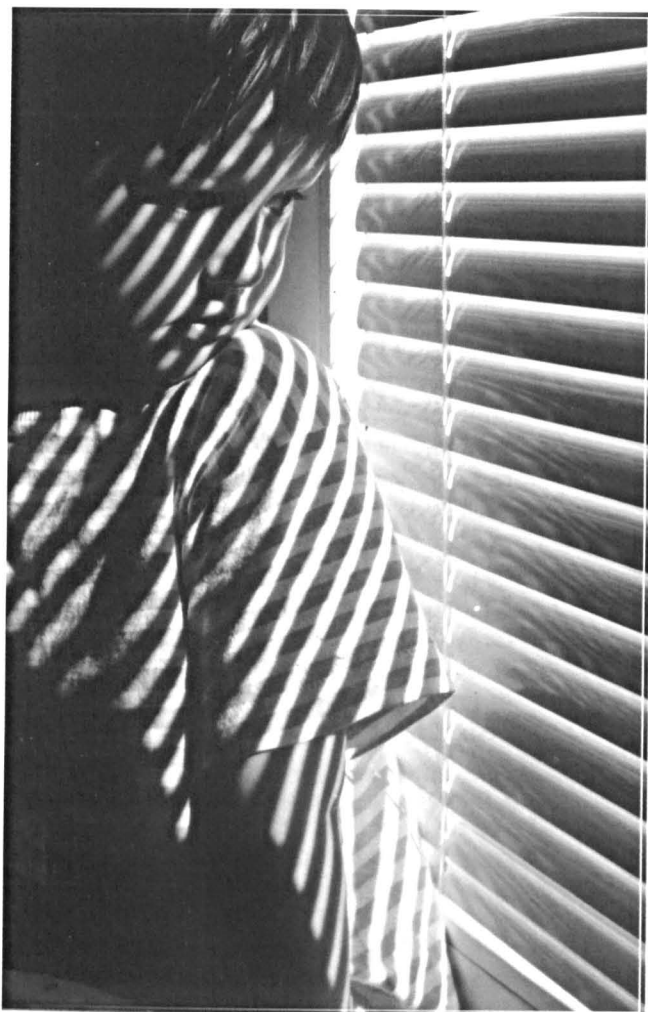
Wigilijna kolacja, jak zwykle, upłynęła w radosnym rozgardiaszu: każdy każdego usiłował przekrzyczeć, zwłaszcza dzieci. Kostusia trudno było zmusić, żeby siedział na krześle, nie mówiąc już o jedzeniu.

Zwłaszcza, że Renata cały czas robiła mu zdjęcia.

- Kostusiu, popatrz na mnie I uśmiechnij się
- Dzieci, przypominam, że trzeba spróbować wszystkiego. Każda opuszczona potrawa, to jakaś opuszczona przyjemność w przyszłym roku – Barbara patrzyła na rodzinę pobłażliwie, ale próbowała jakoś przywołać ich do porządku – Uspokójcie się trochę
- Babciu, ale ja nie lubię ryby – rozplakała się Zuzia.
- A ja chcę kluski z makiem – dodała Ania.
- A ja chcę już usiąść przy choince i zobaczyć prezenty – nie wytrzymał Kostuś.
- Cierpliwości, kochani, cierpliwości Prezenty nie uciekną, a wy musicie spokojnie zjeść – roześmiała się Małgosia.

Barbara patrzyła uważnie na członków swojej rodziny.

- Bardzo chciałabym, abyśmy mogli spotykać się co roku przy stole w tym samym gronie... – powiedziała.
- Mamo, przecież jeszcze przez wiele lat będziemy wspólnie zasiadać do wigilii. Potem, jak dzieci podrosną, to zobaczymy... – uspokajała Renata – W następnym roku może uda się nam gdzieś wyjechać? Fajnie by było, nie?
- Ależ Renatko, chciałabyś spędzić święta poza rodzinnym domem? Coś wygadujesz
- Już w tym roku mieliśmy zaproszenie z firmy na wyjazd na narty – wtrącił Jacek – Ale Renatka nie chciała. Dawno nie widzieliśmy Kostusia...
- No i dobrze, że nie chciała Dziecko nie mogło się doczekać waszego przyjazdu. Prawda, Kostuś?
- Prawda, babciu – odpowiedziało dziecko, próbując szybko przeżuć trzymane właśnie w ustach kluski z makiem.
- To kiedy wracacie do domu?
- No właśnie, mamo... – z zakłopotaną miną odpowiedziała Renata – dostałam podwyżkę. Chcielibyśmy jeszcze zostać w Warszawie. Wiesz przecież, że dla mnie to ogromna szansa.
- Jest miejsce w szkole u Małgosi. Mogłabyś zacząć już niedługo. Tam sekretarka odchodzi na emeryturę.
- I co? Będę tam harowała za niewielkie pieniądze i bez żadnej satysfakcji? Teraz mam fajną pracę, rozpościerają się przede mną perspektywy.



📷 Tomasz Młynarczyk

- Perspektywy? A co z dzieckiem?
- Z jakim dzieckiem, babciu? – zainteresował się Kostuś.
- Z żadnym, z żadnym... Kończycie już jedzenie? Czas chyba rozpakować prezenty A my porozmawiamy później. Najlepiej po pastercie.
- Jesteśmy tacy zmęczeni... Raczej położymy się wcześniej spać.
- To kiedy chcecie porozmawiać?
- A o czym tu rozmawiać? Po prostu nic się nie zmieni Nie marudź, mamo.
- Skoro mama chce porozmawiać, to chyba znaczy, że ma coś do powiedzenia – wtrąciła Małgorzata
- Jak ma, to nam powie sama. Ty, Małgośka, zajmij się swoimi sprawami. Po prostu jesteś zazdrosna
- Zazdrosna? O co?
- Dziewczyny, nie kłóćcie się Porozmawiać

trzeba, bo chcę wiedzieć, co planujecie. Ale może nie teraz. Dzieci, czas na prezenty

– Hurra!

Chwilę potem wszyscy z wielkim zapalem zajęli się rozrywaniem papieru i oglądaniem prezentów. Niezaprzeczalnie najwspanialsze dostał Kostuś.

– Mamo, opowiedz mi coś przed snem.

– Chcesz, to powiem ci, jaki będzie nasz nowy dom, jak już rodzice zarobią pieniądze. Nasz dom będzie piękny, z olbrzymim podwórzem. Będziesz miał mnóstwo miejsca do zabawy i codziennie będziesz mógł zapraszać kolegów. Będziecie grali w piłkę, biegali. Może nawet uda się wybudować basen...

– Naprawdę, basen?

– Tak, kochanie. Zobaczysz, jak będziesz się dobrze bawił. A koledzy w szkole, aż się będą skrecać z zazdrości.

– A po co?

– Co, po co?

– Po co się będą skrecać?

– Bo tak będą chcieli się z tobą bawić i pływać na basenie. A ty będziesz zapraszał do nas tylko tych, których będziesz najbardziej lubił.

– To na pewno zaproszę Anię i Zuzię.

– Będziesz się bawił tylko z dziewczynami? Przecież jesteś chłopcem.

– Ale ja lubię się bawić z Anią i Zuzią.

– No dobrze. Będziesz bawił się, z kim tylko chcesz. Na dole będzie piękny salon, z dużym oknem, na całą ścianę...

– A ja nie wypadnę?

Renata roześmiała się głośno i ucałowała syna.

– Nie wypadniesz, głuptasie. To będzie taaakie okno

– I to będzie mój pokój?

– Nie, to będzie salon. Do twojego pokoju będzie się wchodziło po takich wielkich schodach. Mówię ci, będą olbrzymie

– I co?

– Dalej będzie korytarz, z mnóstwem luster i obrazków.

– Jak będę szedł, będą mógł robić śmieszne miny. Takie jak robię przy tym lustrze na dole. Zobaczymy, kto będzie śmieszniejszy: babcia, czy ja.

– Dlaczego babcia?

– Bo zawsze z babcią robimy konkurs na

najśmieszniejszą minę. Ostatnio zawsze ja wygrywałam

– Fajnie. To może wróćmy do tematu? Na końcu korytarza będzie twój pokój. Będzie w nim łóżko – takie podniesione do góry. Będziesz do niego wchodził po drabinie, bo ono będzie na grzbiecie dinozaura. W jego paszczy będziesz mógł chować zabawki. Będzie też wielka dinozauro-szafa, a w jej brzuchu mnóstwo półeczek. A na całych ścianach będzie mnóstwo dinozaurów, bo wykleimy je tapetami... Co ty na to?

Kostuś nie odzywał się. Spał z buzią wtuloną w poduszkę obleczoną w poszewkę w dinozaury. I śnił sobie tylko wiadome sny. Renata uśmiechnęła się i odgarnęła spadające mu na czoło kosmyki. Delikatnie wstała i wyszła zamykając za sobą drzwi.

Dochodziła już jedenasta. Było późno, ale trudno w świąteczny wieczór zmusić dzieci do pójścia spać o normalnej porze. Kiedy zeszła na dół, w salonie zgromadzili się już wszyscy dorośli członkowie rodziny.

– Co tak siedzicie? – zachichotała – wyglądacie, jakbyście nadal czekali na prezenty.

– Chciałam z wami porozmawiać – odezwała się Barbara – Przede wszystkim chciałabym wiedzieć, co zamierzacie?

Renata i Jacek spojrzeli na siebie badawczo.

– Mamo, przecież wiesz, że nie możemy tam wszystkiego rzucić i, ot tak, wrócić tutaj. Potrzebujemy pieniędzy

– Ile jeszcze czasu będziecie siedzieć w Warszawie i zarabiać pieniądze? Mam wrażenie, że zawsze będziecie twierdzić, że macie za mało.

– Bo mamy za mało. Życie dużo kosztuje, a my chcemy się jakoś urządzić.

– Mamy duży dom, przecież możecie mieszkać z nami

– I tak całe życie będziemy siedzieli na kupie?

– Już trochę odłożyliście. Możecie zacząć pracować tutaj i jakoś powolutku... Jak będziecie chcieli, to za jakiś czas się wprowadzicie.

– Mamo, jesteś staroświecka. W waszych czasach wszystko robiło się powolutku. Teraz, rozejrzyj się, świat się zmienił i wszystko pędzi w szalonym tempie. Zresztą, chcemy dobra Kostusia. Jak ty wyobrażasz sobie jego przyszłość?

– Przecież tutaj jest mu dobrze – wtrąciła Małgorzata.

– Małgosiu, może ci pasuje, że twoje

- dziewczynki zostaną gospodyniami domowymi, albo nauczycielkami, ale my dla Kostka chcemy czegoś więcej
- Więcej? – oburzyła się Małgorzata – mam wrażenie, że przesadzacie. Jakoś na razie jest mu tutaj dobrze i chyba nie narzekacie. Zresztą, to, że ktoś nie mieszka w stolicy, nie zamyka mu chyba drogi do rozwoju i późniejszej kariery
 - Gośka, to nie twoja sprawa. Takie banały to możesz opowiadać swoim uczniom. Przeszkadza ci nasz syn?
 - Przecież tak nie mówię. Ale mama chciałaby w końcu wiedzieć, co zamierzacie. Ostatnio nie czuje się najlepiej. I Kostus tęskni...
 - Mama przeżyje jeszcze ciebie i mnie. Może więc daj sobie spokój ze swoją fałszywą troską. Nikt cię tutaj nie trzyma, też możesz wyjechać, a nie tylko nam zazdrościć
 - Małgosiu, spokojnie – wtrąciła się Barbara – Ja po prostu chciałabym wiedzieć, co planujecie. Rzeczywiście ostatnio nie czuje się najlepiej, więc chcę wiedzieć, kiedy chcecie zabrać Kostusia.

- Już nie chcesz się nim zajmować?
- To nie tak. Przecież to wasze dziecko i bardzo do was tęskni. I cały czas nie wie, na czym stoi. Co mam mu mówić, kiedy się pyta, kiedy rodzice wrócą? Albo czy zabiorą go ze sobą? Opowiadacie mu tylko o jakichś zamkach na lodzie, a to jest małe dziecko i potrzebuje pewności, a nie marzeń i wiecznego czekania
- I kto to mówi? A sama opowiadasz mu bajki o Świętym Mikołaju
- To chyba co innego? Dziecko potrzebuje rodziców
- A my pieniędzy
- No dobrze. Powiedzcie więc, co zamierzacie.
- Właściwie jeszcze nie wiemy. Ale na pewno zostajemy w Warszawie. I, wiesz mamo, raczej tutaj nie wrócimy. Chcemy osiedlić się w stolicy. I dlatego potrzebujemy więcej pieniędzy. Tam przecież wszystko jest droższe
- Czy warto jednak narażać dziecko na ciągłą tęsknotę?
- Ale przecież zwróci mu się to z nawiązką. Zobaczysz, jak będzie nam wdzięczny za



parę lat.

- Jak będzie jeszcze was poznawał – mruknął Marcin.
 - Może sobie darujesz ten sarkazm?
 - Zachowujcie się jak osoby dorosłe. Renatko, ile więc jeszcze zamierzacie czekać z zabranie Kostusia?
 - Nie wiemy... – wtrącił Jacek – Trzeba wszystko przeliczyć. Na pewno jeszcze trochę.
 - Ja po prostu nie wiem, czy dam radę.
- Renata spojrzała na nią zdziwiona:
- Mamo, ty przecież jesteś zdrowa jak tur
 - Niekoniecznie...
 - Mama ma bardzo złe wyniki – wtrąciła się Małgosia – Dlatego właśnie zastanawiamy się nad przyszłością Kostusia. Bo nie wiemy, czy nie będzie potrzebna operacja. A przecież i tak zamierzaliście go zabrać po świętach.
 - Operacja? Co się stało?
 - Mama już od jakiegoś czasu źle się czuła... To coś z żołądkiem. Przecież widzicie, jak ostatnio schudła. Prawie nic nie je. Cały czas ją boli.

W salonie zapadła cisza. Wszyscy patrzyli na Barbarę.

- Mamo, dlaczego nic nie mówiłaś? – nerwowo zapytała Renata.
- Kiedy miałam wam powiedzieć, jak ciągle jesteście w tej Warszawie, zajęci pracą?
- Ale przecież jest tu Małgosia
- Myślisz, że mi powiedziała, że się źle czuje? – mruknęła Małgorzata – Pytałam ją już wiele razy, a ona tylko, że to nic, że to grypa, że coś zjadła. Dopiero ostatnio, jak się okazało, że leki przeciwbólowe nie pomagają, mama przyznała mi się, jak źle się czuje. Od razu zawiozłam ją do lekarza. Wyniki nie są dobre. Lekarz uważa, że trzeba operować. I to nie u nas. Radzi pojechać do większego ośrodka. Myślałam o Warszawie.
- Warszawie? Poczekajcie, niech zbiorę myśli – Renata wydawała się być przerażona. – A nie możecie pojechać bliżej, do Lublina na przykład?
- Chodzi nam o to, żeby mama miała jak najlepszą opiekę. Tam chyba są najlepsi specjaliści. Zawsze, co stolica, to stolica
- Czy ja wiem? Są też duże kolejki, lekarze są przepracowani, łatwiej o popełnienie błędu... Zresztą, myślisz, że jak zobaczą, pacjentkę z prowincji to będą się

przejmować?

- Ale wy jesteście na miejscu, a do Lublina musielibyśmy dojeżdżać
 - A w Lublinie łatwiej byłoby znaleźć jakieś doście. W ogóle przesadzasz Małgosia. Po prostu powiedz, że nie chcesz zajmować się mamą...
 - Renata, jak możesz?
- Barbara gwałtownie wciągnęła powietrze.
- Myślę, że czas zakończyć tę dyskusję, bo do niczego nie prowadzi. Skoro Renatka tak uważa, pojedę do Lublina. Nie chcę robić wam kłopotu...
 - Ależ mamusiu. Przecież ty nam nie robisz kłopotu. Moim zdaniem tak będzie lepiej. Przecież nie możemy zwolnić się z pracy, a szpitale i lekarze są wszędzie tacy sami. Co za różnica? – Renata uklękła u stóp matki i położyła głowę na jej kolanach.
 - Na pewno wszystko będzie dobrze, mamusiu...
 - Tak, kochanie, nie martw się o mnie – Barbara pogłaskała córkę po głowie. W jej oczach nie było jednak widać tej pewności.

- W końcu skończył się ten wieczór. Jestem skonana – Renata wskoczyła do łóżka i naciągnęła na siebie kołdrę. – Ale Kostus wyrósł. Jest słodki. Te cudowne oczy. I świetnie wygląda w nowym ubranku. Widziałeś, jak ucieszył się z komputera. Gdybyśmy siedzieli tutaj, nigdy byśmy mu tego nie dali. A dziewczynki Małgoski, to aż buzie pootwierały ze zdziwienia...
- Małgosia mówiła, że z mamą jest naprawdę niedobrze. Lekarze podejrzewają nowotwór
- Jacek, przecież wiesz, że Małgosia jak zwykle przesadza. Ona chce wyrobić w nas poczucie winy. Bo co ja mam zrobić, rzucić wszystko i tu wrócić? Pomyśl, jakie byśmy mieli życie. Ty byś sobie pojechał do pracy, a wszystko zostawałoby na mojej głowie. Jak ty sobie to wszystko wyobrażasz? A ta Małgosia, to żmijka. Chciała mi chorą matkę podrzucić. Przecież w pracy nawet nie ma mowy, żebym mogła się zwolnić. I ty też. A sama by się nigdzie nie ruszyła. Badania mogą zrobić tam, a potem się zobaczy. Dobrze, że mama nie dała się przekonać.
- To co robimy?
- Na razie idziemy spać. A z mamą? Najpierw



Tomasz Młynarczyk

- niech porobią badania. Potem zobaczymy. Nie ma się co martwić na zapas. Nie wiem tylko, co zrobimy z Kostusiem.
- Renatko, przecież w końcu i tak będziemy musieli go zabrać
 - Ale jeszcze nie teraz. Przecież to mały brzdąc. Bardzo go kocham, ale kto będzie się nim zajmował, jak będziemy w pracy?
 - Przecież są przedszkola
 - A po przedszkolu? Kto go odbierze, zaprowadzi? Trzeba by było zatrudnić niańkę, żeby zajmowała się nim, bo przecież przychodzę z pracy późno. Wiesz, jaki to wydatek? Ciebie też ciągle nie ma
 - Może powinnaś mniej pracować?
 - Jacek Umawialiśmy się, że dziecko nie wpłynie na nasze plany zawodowe. Zwłaszcza moje. A dla mnie najważniejsza jest kariera. Za kilka lat nikt mnie już nie zatrudni. Dla mnie to ostatni dzwonek. Wiesz, jak szefowie krzywym okiem patrzą na pracownice z dziećmi. Dopóki mama zajmuje się Kostusiem, jest w porządku. Jak będzie większy, zabierzemy go do siebie. Ja nie zamierzam się zakopywać w jakieś zupki, pieluszki, zabaweczki. Ja muszę się rozwijać. Wiesz, że gdybym musiała się zajmować dzieckiem na okrągło, zwariowałabym. Dlaczego się śmiesz?
 - Jakie zupki, pieluszki? Przecież Kostus jest już dużym chłopcem
 - Znalazł się znawca. To dlaczego po porodzie, jak miałam depresję, nie zdecydowałeś się nim zająć? Tylko pojechałeś do pracy. Pomimo problemów, i mojego złego samopoczucia. A ja myślałam, że oszaleję. Czasami jeszcze i dzisiaj budzę się w nocy z wrażeniem, że słyszę ten ciągły płacz. I to karmienie. Koszmar
 - Przecież na miejscu była mama. Przewijała Kostusia, bawiła... Przynosiła ci nawet w nocy na karmienia. Właściwie, oprócz obowiązku karmienia, nie musiałaś przy nim nic robić
 - Nie wykręcaj się. Tak samo się nim zajmowałaś, jak i ja
 - Ależ ja kocham Kostka
 - Ja też go kocham. On jest najwspanialszym dzieckiem na świecie. Uwielbiam z nim być, rozmawiać... Ale dla niego lepiej jak jest tutaj. Nie daliśmy rady się nim zająć. Zresztą, trzeba się przygotować – mieszkanie, pokój, poszukać szkoły... Jeszcze za wcześnie. A może ty zmienisz pracę?
 - Dobrze, już dobrze. Zgadza się z tobą. Tylko

- czasami myślę, że fajnie byłoby wracać do domu, w którym jest dziecko...
- Owszem, tylko kiedy byśmy się z nim widywali, skoro ciągle jesteśmy w pracy? A odpoczynek? Czy moglibyśmy wyjść wieczorem z przyjaciółmi? Czy moglibyśmy wyjechać za granicę? Żylibyśmy jak oni tutaj. Ciągłą pracą i dziećmi. Zagubilibyśmy siebie. Przyjazd Kostusia całkowicie odmieniłby nasze życie. Przecież już tego próbowaliśmy. Całe szczęście znalazłam pracę i to jakoś rozwiązało nasze problemy.
 - Masz rację. Jak siedziałś w domu, byłaś nie do wytrzymania. A teraz to co innego, aż inaczej wyglądasz. Praca ci służy. Jesteś taka apetyczna... hmmmm...
 - Ej, robaczku, nie rób maślanych oczu
 - To daj się pocałować. Najpierw w oczko, potem drugie. I w nosek, i w bródkę... o, jakie słiczne ramię. Je też muszę pocałować. Rozkosznie... hmmmm.....

Marzec

Małgorzata nie mogła namówić Kostusia, żeby odszedł od okna. Patrzył bezmyślnie w szarość i błoto za szybą. Na stole leżały rozłożone puzzle, ale chłopiec dzisiaj wcale nie miał ochoty ich układać. Od rana był rozkojarzony i nieobecny duchem. Niby coś robił, ale... Jego dzisiejsze zajęcia były jak te rozłożone puzzle: zaczęte, ale nic poza tym. Ciągłe czekał i miał nadzieję.

Była wściekła na siostrę. Wyglądało, że znowu nie przyjedzie. Od świąt praktycznie się nie odzywała. Zadzwoniła może ze dwa razy, i to tylko po to, aby ją skrytykować. Nie podobał się jej długi okres czekania na operację matki i winiła za to siostrę. Miała też zastrzeżenia do tego, jak zajmowała się jej dzieckiem. Sama nie mogła jednak znaleźć czasu, aby przyjechać do rodzinnego domu i przyglądała się sprawie z daleka. Małgorzata miała o to pretensję, ale nawet nie mogła jej tego powiedzieć, bo nie chciała martwić matki, która mogła przypadkiem usłyszeć ich rozmowę. Miała wrażenie, że Renata umywa od wszystkiego ręce i tak naprawdę nawet nie myśli o tym, co się dzieje. A najbardziej szkoda jej było Kostusia, który po raz kolejny został oszukany. Jak można być

tak bezmyślnym? – irytowała się. W swojej ocenie Małgorzata się jednak myliła. Renata bała się, jak nigdy. Nie od razu zdała sobie sprawę z tego, że matka jest poważnie chora. Ale wiadomości od siostry nie były pocieszające. Operacja była potrzebna. Poszła nawet w niedzielę na mszę. Po co, nie była do końca pewna. Rzadko chodziła do kościoła. Zawsze twierdziła, że wierzy w Boga, ale nie uważała, aby z tego powodu konieczne było regularne bywanie w świątyni.

- Po co mam chodzić tam, gdzie większość ludzi chodzi na pokaz? Pomodlić się to mogę w domu. Przynajmniej nikt nie będzie mi przeszkadzał. A do tego denerwują mnie księża. Bo cóż z nich za święci? Sami grzeszą, a wymagają od wiernych. Ja wierzę w Boga, a nie w księży – tłumaczyła, kiedy pytała ją o to matka.
- Teraz poszła na mszę. Miała nadzieję, że może to coś da. Modliła się długo i żarliwie: Panie, miej litość nade mną i moją matką. Błagam Cię. Co ja zrobię, jak jej zabraknie? Znasz mnie przecież. Wiesz, że mam plany, ambicje. Nie mogę teraz wziąć do siebie Kostusia. To wspaniały chłopak. Miej chociaż wzgląd na niego... Nie mogę. Nie doświadczaj mnie. Ja tego nie zniosę. Proszę Cię – z jej oczu płynęły łzy. Bała się bardzo. Nie chciała usłyszeć wyroku, który przewróciłby jej życie do góry nogami. Chcę żyć. Co chcesz w zamian? Chcesz, żebym chodziła do kościoła co niedzielę? Będę. Chcesz, żebym modliła się codziennie? Będę. Przyrzekam. Zrobię co zechcesz, daj tylko znak. Zobaczysz. Zlituj się nade mną. Zrób to dla tego niewinnego dziecka, cóż ono ci zawiniło?

Do domu przyszła wyraźnie uspokojona. Jacek, oczywiście, był w terenie. Niby w niedzielę nie jeździł, ale dzwonił, że ma ważne spotkanie i nie zdąży wrócić. Ostatnio w ogóle często go nie było. Renata chciała porozmawiać, ale miała wrażenie, że cały czas się mijają. Zastanawiała się nawet, czy nie robi tego celowo. Łatwiej było pojechać i uciec od problemów. Ale ona go potrzebowała. Co z tego, że problem dotyczył jej matki? Dziecko było wspólne i on też powinien zastanowić się nad jego przyszłością. Wiedziała, że Jacek kocha Kostusia. Bez przerwy o nim opowiadał, planował ich wspólne zajęcia i zabawy...

- Ale to mężczyzna.
- Oni tacy są. Wystarczy jakiś problem, to od razu idą do pracy, lub z kolegami na piwo – mówiła do siebie półgłosem – A ty bądź mądra
 - Wzięła się do przygotowania posiłku i złożyć powoli odchodziła. Potem planowała pojechać na zakupy. To ją zawsze uspokajało. Pomyślała, że kupi sobie jakieś ubranie, no i na pewno coś dla Kostka... A może i dla mamy. Tak właśnie zrobię. Ucieszy się, niech wie, że o niej myślę
 - Wróciła w zupełnie innym nastroju. Uznała, że będzie, co ma być i nie ma potrzeby martwić się na zapas. Miała straszną ochotę pogawędzić z Kostusiem, ale jednocześnie bała się rozmowy matką. Nie chciała słyszeć jej narzekań, może nawet krytyki. W końcu wykręciła numer telefonu. Odebrała Małgorzata.
 - Renata? Dobrze, że dzwonisz. Mamy już ustalony termin operacji. Zaraz po świętach.
 - Dopiero? Przecież mama nie może tyle czekać
 - I tak załatwiłam to po znajomości
 - Coś słabe te twoje znajomości. Może trzeba było dać coś odpowiedniemu lekarzowi?
 - Jeśli jesteś taka mądra, to dlaczego sama nie przyjechałaś i tego nie zrobiłaś?
 - Wiesz przecież, że nie mam czasu. W Warszawie, żeby przeżyć, trzeba naprawdę pracować. Tutaj nikt nie ma czasu na sentymenty. I nikogo nie obchodzi, że zachorowała mi matka, czy że muszę zająć się synem. Jesteś na miejscu, to możesz się chyba zajmować własną matką. Chyba nie proszę cię o zbyt wiele?
 - Ja też pracuję
 - Nie przesadzaj. A cóż to za praca? Nie ośmieszaj się
 - Naprawdę, nie mogę cię zrozumieć. Odkąd jesteś w Warszawie najważniejsza stała się dla ciebie kariera. Nie obchodzi cię nikt, ani własna matka, ani nawet syn. Miałaś dzisiaj przyjechać. Oboje czekają na ciebie od samego rana...
 - Zapadła kłopotliwa cisza. Szczerze mówiąc, Renata zapomniała zawiadomić, że nie przyjedzie.
 - Myślałam, że się uda, ale Jacek musiał jechać w trasę.
 - Ale mogłaś zadzwonić
 - Nie przesadzaj, nic takiego się nie stało. Nie mów tylko, że czekasz z obiadem – ironizowała Renata
 - Renata, czy ty słyszysz, co mówisz? Ja myślę o Kostusiu. I ty mogłabyś czasami
 - To jest moje dziecko, więc się nie wtrącaj. I nie przesadzaj. Wszystko to robię dla jego dobra. I nie wmawiaj mi, że jest inaczej. Zresztą, szkoda słów. Daj mi Kostusia
 - Dobrze, ale proszę cię, żebyś następnym razem dotrzymywała obietnic. Te emocje nie wpływają na niego dobrze, zwłaszcza, że martwi się o babcię.
 - Gośka, czyś ty zwariowała? Powiedziałaś mu o chorobie mamy?
 - Nie musiałam mu nic mówić. To mądre dziecko. Przecież widzi, że babcia źle się czuje. Że nie ma siły się nim zajmować i często jeździ do lekarza. Nie wszystko da się ukryć.
 - No dobrze, zawołaj go do telefonu
 - Kobieta odłożyła słuchawkę i przeszła do kuchni. Chłopiec nadal siedział na parapecie i wpatrywał się nieruchomym wzrokiem w furtkę. Gdy usłyszał nadchodzącą ciotkę, obejrzał się, lecz od okna nie odszedł.
 - Kostusiu, dzwoni twoja mama
 - Chwilę potem słuchała, jak chłopiec rozmawiał z matką.
 - Mamo, kiedy będziecie?
 - Kochanie, niestety nie uda się nam dzisiaj przyjechać. Tata znowu musiał pracować. Przyjedziemy za tydzień. Dobrze?
 - Dobrze – odpowiedział chłopiec, chociaż nie wydawał się być przekonany. Małgorzata pomyślała, że właściwie powinien się już do tego przyzwyczaić, bo to nie pierwszy raz rodzice go zawodzą.
 - Kochanie, co słychać?
 - Wszystko w porządku. Wiesz, chyba pójdę do przedszkola razem z Zuzią
 - Do przedszkola? Kto ci naopowiadał takich głupot?
 - Ciocia Małgosia. Bo, wiesz mamo, babcia zachorowała i nie może się mną zajmować, a ciocia chodzi do pracy...
 - Ale do przedszkola? Przecież ty się sam sobą zajmujesz? Po co aż do przedszkola?
 - Mamo, bo ja sam chciałem. Nudzę się w domu. Proszę, zgódź się
 - Porozmawiam o tym z babcią. Wiesz, kupiłam ci fajną grę. Będziesz mógł



📷 Tomasz Młynarczyk

- pobawić się i nie będziesz się nudził. Może nie będziesz musiał iść do przedszkola
- Ale ja chcę Kiedy przyjedziesz?
 - Za tydzień, jak nie będziemy pracowali.
 - Czyli nie przyjedziesz
 - Kostusiu
 - Cały czas obiecujesz i nie przyjeżdżasz
 - Synku, ciężko pracujemy i nie zawsze możemy przyjechać kiedy chcemy Nie bądź głuptaskiem
 - Nie jestem Ja chcę, żebyś tu przyjechała Chcę i już
 - Syneczku, tak nie będziemy rozmawiali Jak ty się zachowujesz? Skarbie Skoro nie chcesz ze mną rozmawiać, to do widzenia. Ale wiedz, że mamusi jest bardzo przykro. Jesteś już dużym chłopcem i powinienes wiedzieć, jak się zachować. Daj mi ciocię
- Chłopiec bez słowa przekazał Małgorzacie słuchawkę i wrócił do kuchni. Usiadł przy stole i podparł rękami głowę. Patrzył na rozłożone na stole puzzle. Podniósł jeden z nich, potem następny i zaczął je do siebie dopasowywać.
- Małgoska, coś ty wymyśliła z tym przedszkolem? Rozumiem, że mama jest chora, ale chyba możesz przygotować mu śniadanie, a przez cały dzień jakoś się sobą zajmie...
 - Mama naprawdę źle się czuje i potrzebuje spokoju. Zresztą, niedługo pójdzie do szpitala i wtedy kto z nim zostanie? Nie wiadomo też, co będzie potem. Moje dziewczynki chodzą do przedszkola i są zadowolone. Towarzystwo innych dzieci dobrze mu robi. Sam w domu zostać nie może, ma dopiero 5 lat Zresztą, uwierz mi,

- załatwienie tego miejsca nie było łatwe.
- No nie wiem. Zaskoczyłaś mnie tym pomysłem.
 - Renatko, przecież we wrześniu i tak by musiał pójść do zerówki. Może taka wprawka dobrze mu robi. Teraz nie przyjeżdżasz, to nie mamy nawet kiedy porozmawiać. A niektóre decyzje trzeba podjąć od razu.
 - Nie mam czasu, naprawdę
 - Ale niedługo Wielkanoc, to pogadamy
 - Wiesz, Małgosiu... Nie wiem jak to powiedzieć, ale raczej nie przyjedziemy na święta.
 - Coś ty?
 - Moja firma zaproponowała mi wyjazd na kilka dni nad Morze Śródziemne To jest nagroda za dobrą pracę To wycieczka dla dwóch osób. Jesteśmy zmęczeni, potrzebujemy odpoczynku... Przecież to grzech nie skorzystać z takiej propozycji
 - A Kostus? On tak strasznie tęskni
 - Wiem. Myślisz, że ja nie tęsknię? Ale ja też zasługuję na odpoczynek. Już ledwo daję radę Nie mogę tak ciągle pędzić. Co z tego, że przyjadę i nie dam rady nawet z wami rozmawiać?
 - Czyli zdecydowałaś się?
 - Raczej tak. Muszę to jakoś Kostusiowi powiedzieć. I mamie. Nie wiem, czy ona to zrozumie... A jak się czuje mama?
 - Jest słaba. Ciągłe ma bóle brzucha, leki już prawie nie pomagają. Teraz spi. Ostatnio często spi. Chyba jej wtedy lepiej. Kostus dużo u niej siedzi. Coś jej opowiada, bawi się w jej pokoju. Bałam się, że przeszkadza, ale nie. Mama mówi, że jak dzieci do niej

- przychodzą, to zapomina na chwilę o chorobie. Stara się pokazywać pogodną minę, ale widzę, że strasznie się boi i cierpi.
- Mówiła mi, że nie jest najgorzej.
 - Mówiła?
 - Tak, dzwoniłam wczoraj. Niepotrzebnie się stresuje. Przecież to tylko operacja. Zaraz po niej lepiej się poczuje. Dlatego trzeba się spieszyć, po co się ma tak męczyć?
 - Zrobiłam, co mogłam. Teraz pozostaje tylko czekanie. Ale chyba nie dziwisz się, że się boi?
 - No nie...
 - Trzeba przygotować Kostusia na to, że nie przyjedziecie na święta. A i mama przed operacją chciała cię zobaczyć. Jesteś pewna co do tego wyjazdu?
 - Pojedziemy. Przecież to świetna okazja. Ale skoro się tak upierasz, może uda nam się przyjechać za tydzień.
 - Proszę cię, Renata, postaraj się. Naprawdę sytuacja jest trudna.
 - Chyba trochę dramatyzujesz.
 - Łatwo ci mówić.
 - No dobra, postaram się przyjechać. A ciebie proszę, żebyś postarała się uspokoić trochę Kostusia. Dzisiaj był okropny.
 - Dziwisz się? On strasznie tęskni.
 - Ja też. Postaram się przyjechać, chociaż na kilka godzin. Pa.
 - Pa.

Barbara ocknęła się nagle. Śniło jej się, że ustawiała w całym domu wazony z białymi kwiatami. Nigdy w sny nie wierzyła, ale słyszała, że to nie jest dobry znak. Sen mara, Bóg wiara – przeżegnała się. Słyszała rejwach dochodzący z kuchni. Nie czuła się dobrze, ale wiedziała, że musi z tym walczyć, bo inaczej okaże się, że jest więźniem we własnym pokoju. Nie chciała swoich ostatnich dni spędzić samotnie, w zamknięciu. Przeczuciwała, że tym razem los się do niej nie uśmiechnie. Bała się operacji, bo wydawało jej się, że się nie przebudzi. Podejrzewała, że nie jest z nią dobrze. Codziennie była słabsza. Z trudem podniosła się z łóżka. Kobieto, pozbieraj się. Chciała żyć. I to nie z egoistycznych pobudek. Myślała o dzieciach i wnukach. Córki radziły sobie dosyć dobrze. Obie

wyszły za mąż, miały pracę... Ale wiedziała, że potrzebują jej pomocy, zwłaszcza Renatka. Tak ciężko pracuje. Ciągłe w pracy i pracy... A tu trzeba zająć się Kostusiem. Barbara zdawała sobie sprawę z tego, że córka jeszcze nie przyzwyczyła się do bycia matką. Owszem, chciała mieć dziecko. Tacy chodzili szczęśliwi. Cięża przebiegała bez problemów, a Renatka wyglądała bardzo ładnie. Dziecko przyszło na świat przez cesarskie cięcie. Było prześliczne. Jeszcze dziś, na wspomnienie maluszka, na twarzy Barbary pojawiał się uśmiech.

Ale z Renatką zaczęło się coś dziać.

Denerwował ją płacz dziecka. Narzekała, że ciągle jest zmęczona i niewyspana. Jakies dwa tygodnie po porodzie Barbara weszła do pokoju, słysząc podniesiony głos. Kiedy okazało się, że to jej córka krzyczy na dziecko, zabrała je. Od tego dnia przejęła nad nim opiekę. Robiła przy dziecku wszystko, nawet spała z nim. Renacie przynosiła chłopca tylko do karmienia. Narodziny dziecka zbiegły się w czasie ze znalezieniem przez Jacka pracy. Niestety, musiał wyjechać do Warszawy. Dostał dobrze płatną posadę w firmie komputerowej. Miał zajmować się kontaktami z klientami i to powodowało, że często wyjeżdżał. W domu zjawiał się tylko raz w tygodniu. To nie poprawiało sytuacji. Nadal nie było widać, żeby w Renacie obudził się instynkt macierzyński. Barbara miała już dosyć tej sytuacji, więc, pomimo obiekcji, przekonała córkę, żeby zacząć małego karmić mlekiem modyfikowanym. Od tego czasu kontakt Renaty z dzieckiem ograniczył się do minimum. Uwielbiała synka. Kupowała mu słiczne ubranka, zabawki, ale chwilę pobawiła się z dzieckiem, a potem odchodziła do swoich zajęć. Oglądała telewizję, czytała, spała. I bez przerwy rozmawiała przez telefon. Kostusiem opiekowała się Barbara. Miała wrażenie, że Renata traktuje synka bardziej jak zabawkę niż jak własne dziecko.

Kiedy chłopiec miał cztery miesiące, Renata przyszła do matki i powiedziała, że w firmie Jacka jest dla niej ciekawa posada i ona chciałaby z tej możliwości skorzystać. Barbara nie mogła zrozumieć egoistycznego postępowania córki, ale

zgodziła się. Bo tak naprawdę nie widziała innego wyjścia.

Z biegiem czasu jakoś wszystko się ułożyło.

Renata świetnie sobie radziła i zaczęła awansować. Starsza córeczka Małgosi, Ania, właśnie poszła w tym roku do szkoły, Zuzia do przedszkola. W domu został już tylko Kostuś i to opieka nad nim wypełniała jej całe dnie.

Barbara najbardziej martwiła się o wnuki.

Chciała zobaczyć jak dorastają, przystępują do Pierwszej Komunii... Nade wszystko gnębiła ją jednak myśl o Kostusiu. Nie wyobrażała sobie, żeby teraz pojechał do rodziców. Owszem, sama często ich przekonywała, że powinni zabrać chłopca, ale tak naprawdę miała nadzieję, że tego nie zrobią. Nie chciała się z nim rozstawać. Wiedziała, że jest mu tu dobrze. Miał swój pokój, towarzystwo kuzynek do zabawy, duże podwórze. Uważała, że w Warszawie nigdy nie miałby prawdziwego dzieciństwa: rodzice w pracy, a dziecko z nianką w ciasnym pokoju. Chłopiec był tu szczęśliwy. Brakowało mu chyba tylko jednego – rodziców. Ale na to Barbara nie miała wpływu.

Z trudem wyszła z pokoju i zeszła po schodach, odpoczywając co chwilę. Słyszała wesołe przekomarzania dzieci. Zajrzała ubierając twarz w uśmiech.

– Ho, ho, cóż to się tutaj dzieje?

Małgosia zerwała się z krzesła i posadziła matkę.

– Może zrobić ci herbatę, mamo? Mogłaś zawołać.

– Chciałam zobaczyć, co robicie. I pobyć trochę z moimi ulubionymi wnukami. Dajcie buziaka babci

– Babciu, robimy z mamą ciasteczka – odezwała się zadowolona, ubielona mąką, Zuzia – Ja robię serduszką

– A ja misie – uśmiechnął się Kostuś. Ania przytuliła się.

– Jak się czujesz, babciu?

– Jak stare drzewo. Ale jak poczęstujecie mnie tymi pysznymi ciasteczkami, to na pewno pocuję się lepiej.

Małgosia postawiła przed matką herbatę i mrugnęła do niej.

– Trafiasz, mamo, w samą porę. Już wkładamy do piekarnika. Zaraz zobaczysz, jakie twoje wnuki umieją piec ciasteczka.

Rozległ się dzwonek do drzwi. Małgosia

poderwała się.

– Chyba mamy jakichś gości. Poczekajcie chwilę, zobaczcie.

– A to niespodzianka Kostuś, zobacz kto przyjechał

– Mama Tato A myślałem, że nie przyjedziecie... – chłopiec przytulał się kolejno do rodziców – Chodźcie.

Zobaczcie, jakie pyszne zrobiłem ciasteczka

– Chwileczkę, poczekaj, musimy się rozebrać. A jaki wspaniały przywieźliśmy ci prezent I o tobie, mamo nie zapomnieliśmy No, już idziemy

– Witaj mamo, cześć dziewczynki – pierwszy wszedł Jacek trzymany za rękę przez rozradowanego syna.

– Widzę, że trzeba zagotować więcej wody na herbatę. Jacy niespodziewani goście – uśmiechała się Barbara.

Małgorzata usiadła na łóżku Kostusia i pogłaskała go po głowie.

– Nie martw się, rodzice niedługo przyjadą

– Ale ja myślałem, że zostaną trochę dłużej. A oni od razu pojechali

– Przecież wiesz, że ciężko pracują. Ten wyjazd też jest z pracy i nie mogą zrezygnować

– Przecież mogli mnie zabrać

– Kochanie, to wyjazd służbowy i nie można tam zabierać dzieci...

– A mama mówiła, że będą żeglowali po morzu...

– Na żagłowie mogą przebywać tylko ci, którzy umieją pływać. Przecież gdyby ktoś nie umiał, to wpadłby do wody i się utopił Mam pomysł Po świętach zaczniemy naukę pływania, chcesz?

– Pływania? Ale gdzie? U nas przecież nie ma wody I jest jeszcze zimno...

– Będziemy jeździli na basen. Dobrze?

– Z Anią i Zuzią?

– Tak.

– Dobrze.

– A jak już nauczysz się pływać, to, gdy rodzice znowu będą wyjeżdżali, również ciebie zabiorą. A jak nie, to pojedziemy wszyscy latem nad nasze morze. A tym razem pojedą sami. Ale na pewno przywiozą ci wspaniałe prezenty, muszle. Zobaczysz, będą mieli co opowiadać. Nie martw się Teraz już śpij, może przysni ci się morze, albo coś fajniejszego. Daj buziaka.

Dobranoc.

Maj

Małgorzata przygotowywała obiad i rozmawiała z towarzyszącymi jej dziećmi. Kostuś i Zuzia przynieśli z pokoju poduszki i usadowili się na parapecie.

– Oj, maluchy. Chyba trzeba będzie powiększyć ten parapet, bo roślinie i niedługo nie zmieście się na oknie. A ostatnio to chyba wasze ulubione miejsce, co?

– Bo, ciociu, stąd wszystko najlepiej widać. Kobieta podeszła do okna i wyjrzała. Czuć już było wiosnę. Na drzewach pojawiły się pączki liści, a w ogródku kwitły żonkile. Ale dzień był pochmurny.

– Jeszcze dużo czasu. Może lepiej coś zrobimy dla babci? Namalujecie jakieś obrazki?

– Dobrze, mamusiu. Anka, przynieś kredki i blok

– Zuzka, leniuszku Sama przynieś. Nie jestem twoją służącą

Małgorzata postanowiła zakończyć kłótnię.

– Dziewczyny Nie umiecie się dogadać, to pójdźcie razem

– No dobrze, chodź Anka

Chwilę potem dzieci już pracowały pilnie.

Malowały w prawdziwym skupieniu.

Małgosia mogła w końcu zebrać myśli i spokojnie kończyć obiad. Bo miała się czym martwić. Z trudem udawało jej się przy dzieciach zachowywać pogodną twarz. Wiedziała, że to ostatnie dni matki. Podczas operacji lekarze tylko zajrzeli do środka i stwierdzili, że to nowotwór. Do tego tak zaawansowany, że nie było sensu go ruszać. Na prośbę Małgorzaty, nie powiedzieli Barbarze o diagnozie. Całe szczęście, leżała na sali z kobietami, które również miały operację na żołądek i te przekonały ją, że złe samopoczucie i ból utrzymuje się po tym zabiegu nawet pół roku. Matka wydawała się być pełna nadziei. Zapowiedziała, że będzie na siebie uważać i przekonywała, że trzeba zacząć w domu gotować zdrowsze potrawy.

Małgorzata miała nadzieję, że matka jak najdłużej będzie pozostawała w nieświadomości, bo chciała jej oszczędzić przynajmniej cierpienie psychicznych. Wiedziała jednak, że długo okłamywać się jej nie da.



- Mamo, ładna?
- Śliczna. Jakie krokusy. I ptaszek w gniazdku. To chyba wiosna?
- A moja ciociu? Ja nie umiem rysować ptaszków
- To co narysowałeś?
- To jest traktor. O, a tu dinozaur.
- O, a na ostatniej stronie serduszko. I coś napisałeś...

Koślawymi literkami pod wykrzywionym serduszkem chłopiec napisał swoje imię.

- Brawo, Kostuś. Ślicznie napisałeś. A ty, Aniu? Córka odkryła kartkę. Narysowała portret, na którym była z babcią. Był bardzo udany.
- Masz prawdziwy talent, córeczko. Jestem z ciebie naprawdę dumna
- Mamo, mamo, ktoś przyjechał – Zuzia podbiegła do okna. Dzieci zerwały się i z rysunkami w rękach pobiegły do drzwi.
- Ho, ho, jakie powitanie. Też się cieszymy, że was widzimy. Mamy wam o czym opowiadać

W drzwiach stali Renata z Jackiem.

- O, to wy... – na twarzy chłopca było widać rozczarowanie.
- Nie czujesz się, że nas widzisz? To dla nas?
- Cieszę się. To dla babci.
- Aha. Jeszcze jej nie ma?
- Nie.
- No, ale chyba dasz nam buziaka synku? – Renata przytuliła dziecko – Przywieźliśmy ci piękne prezenty. Zobacz. I dla was, dziewczynki, też coś mamy. Jacek, przynieś pakunki z samochodu. Babcia zaraz będzie. Już wyjechali.

– Skąd wiesz? – zapytała Małgosia.

– Dzwoniłam do niej. Chyba jest w niezłej formie.

Chwilę potem wszyscy siedzieli w salonie przy herbacie i ciście. Renata z zachwytem opowiadała o wyjeździe na żagle, a Jacek pokazywał Kostusiowi, jak posługiwać się telefonem, który właśnie mu przywieźli. Chłopiec był jednak jakiś niespokojny i nie mógł się skoncentrować. Niby szczęśliwy z przyjazdu rodziców, ale wyglądał, jakby coś go trapiło.

- Zobacz, Małgosiu, jakie wspaniałe zdjęcia. Jakie niebo, woda. To były najwspanialsze wakacje naszego życia. Połknęliśmy bakcyli. Już szykujemy się na kolejny wyjazd latem.
- Zabierzecie ze sobą Kostusia?
- Kostusia? On jest jeszcze za mały. Zresztą w

towarzystwie dorosłych nudziłby się. Słuchaj, Kreta jest wspaniała... A morze... Pływanie w nim to prawdziwa przyjemność

– To nie zamierzacie spędzić razem z nim wakacji?

– No wiesz, nie wiem... Nie myślałam o tym.

Teraz może powinniśmy lepiej zastanowić się co z mamą. Trzeba przyspieszyć jej rekonwalescencję. Może trzeba kupić jakieś zestawy witamin? Porozumiałam się też ze znajomymi, którzy mieszkają w Stanach. To trochę kosztuje, ale obiecali mi przesłać specjalne odżywki. Mówią, że po tym nawet choroba potrafi się cofnąć.

– Wierzysz w to?

– Trzeba wierzyć. Ty chciałabyś się od razu poddać

– No coś ty. Wszystko bym dała, żeby mama żyła i żeby wszystko z nią było dobrze. Ale przecież widzę, jak z nią źle...

– O pieniądze się nie martw. Wszystko sfinansujemy. Widzisz teraz do czego potrzebna jest dobra praca?

Małgosia chciała coś powiedzieć, ale zauważyła, że Kostuś oderwał wzrok od telefonu i zaczął przysłuchiwać się rozmowie.

– Pięknie się opaliłaś. Jeszcze herbaty? – zmieniła temat, myślami błądząc zupełnie gdzie indziej. Martwiła się, że tak długo nie ma matki. Zastanawiała się już nawet, czy nie zadzwonić do męża. Renata dalej opowiadała, ale Małgosia zamilkła. Patrzyła tylko na siostrę z nieodgadnioną miną, czasami kiwając głową. Dzieci szybko znudziły się i wróciły na swoje stanowisko przy kuchennym oknie. Na fotelu została tylko pozostawiona komórka... W końcu usłyszeli:

– Są, są. Nareszcie. Mamo. Przyjechali

– Ciociu, gdzie mój rysunek?

Barbara nie wyglądała dobrze. Po przyjeździe ze szpitala koniecznie chciała posiedzieć z rodziną, ale jej słabość widzieli wszyscy. Tylko Renata z Jackiem, jak gdyby nic, opowiadali o wyjeździe na żagle. Kobieta niby słuchała, niby się uśmiechała, ale robiła się coraz bardziej błada. W końcu Małgorzata postanowiła interweniować:

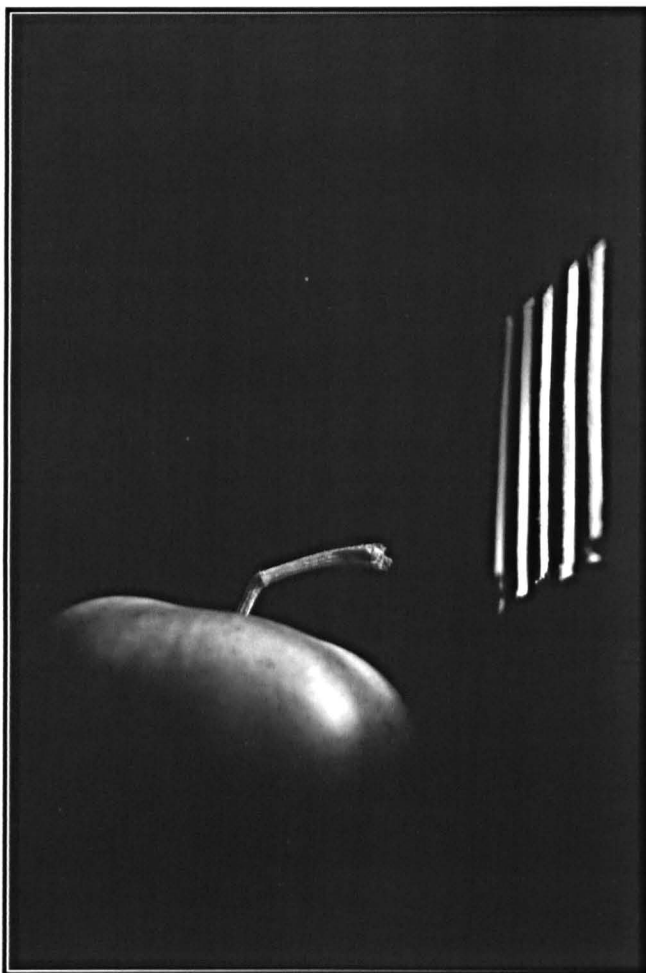
– Mamo, myślę, że już się zmęczyłaś. Może się

- trochę położysz przed obiadem?
- Przecież mama tylko siedzi, czym się miała zmęczyć? – zdziwiła się Renata – Chociaż trochę się zabawi...
 - Mama jest osłabiona po operacji. Powinna poleżeć: najpierw podróż, teraz ta rozmowa... Dobrze, mam? Odpoczniesz przed obiadem?
 - Może rzeczywiście muszę na chwilę się położyć.
 - Renatko, pomóż mamie. A potem przyjdź, pomożesz mi przy obiedzie.
- Małgorzata była wyraźnie wprowadzona z równowagi. Starła się tego po sobie nie pokazywać, ale siostra ją drażniła.
- Gdy tylko Renata zjawiała się w kuchni między siostrami doszło do ostrej wymiany zdań.
- Zazdrościsz nam i stąd te twoje fochy – podniosła głos Renata odpowiadając na zarzuty.
 - Ty ciągle o tej zazdrości. Przyjrzyj się, co robisz. Po co dziecku w jego wieku komórka? Nawet nie zna cyfr
 - Ale będzie mógł zadzwonić do mnie kiedy zechce, bez pytania ciebie o zgodę. I ja do niego też
 - Myślisz, że zabraniam mu do ciebie dzwonić? Przecież was ciągle nie ma. Całymi dniami jesteście w pracy
 - To nie twoja sprawa. Mam za co kupić mu telefon, to kupiłam.
 - Najpierw komputer, teraz komórka... Renata, prezenty nie zastąpią mu rodziców. On potrzebuje abyście spędzali nim więcej czasu
 - I będziemy. Ale jeszcze nie teraz. Najpierw musimy zdobyć pieniądze.
 - Ale on robi się coraz starszy, a dziecięce lata już nie wrócą. Przecież nie będziesz nawet wiedziała, jakim był dzieckiem. Ile razy w tym roku go widzieliście? Dwa? Czy wiesz, czym on się interesuje, co go martwi, co cieszy?
 - Nie możemy przyjeżdżać tak często, jakbyśmy chcieli. Powinnaś nas zrozumieć i nie robić problemu. Dzwonię przecież często. Dlatego najpierw kupiłam telefon mamie, a teraz jemu. Chcę mieć z nimi stały kontakt. Naprawdę się martwię i cały czas o nich myślę. Nawet nie wiesz, jak często chciałabym przyjechać, porozmawiać się, przytulić... Ile razy w nocy nie mogę spać i płaczę. Naprawdę jest



 Grażyna Hankiewicz

- mi ciężko. Co ty możesz wiedzieć
 - Wierzę ci, ale telefon nie rozwiąże sprawy. Jak kogoś kochasz, to musisz koło niego być. Myślisz, że rozmowy przez telefon wystarczą? Nawet nie chcecie z nim spędzić wakacji
 - Chcemy. Coś wymyślę. Po prostu, nie myślałam jeszcze o tym. Na pewno gdzieś pojedziemy razem. Bo... Nie wiem, jak to ci powiedzieć... Będę chciała spędzić z nim troszkę więcej czasu, bo dostałam ciekawą propozycję z pracy. Wyjazdu za granicę. Na rok. Musze to wszystko jednak dobrze przemyśleć, dlatego wcześniej nic nie mówiłam. Dla Jacka też coś znaleźliśmy, tylko nie wiem, co z Kostusiem...
- Usłyszały głośny tupot stóp po schodach.
- Masz babo placek. Wszystko słyszał – Renata była przestraszona.
 - Idź go szukać. Trzeba z nim porozmawiać. Sama dokończę – westchnęła Małgorzata.



☒ Marek Melaniuk

Renata z wahaniem zapukała do pokoju Kostusia.

– Mogę wejść?

Chłopczyk nie odzywał się. Zajrzała. Siedział odwrócony tyłem do drzwi i udawał, że przygląda się rybkom w akwarium.

– Kostusiu...

– Czego chcesz?

– Synku. Jak ty się do mnie odzywasz? Skarbie...

– Idź sobie. Przecież się spieszysz. Musisz pracować. Idź – rzucił w jej stronę zabawką, którą trzymał w ręku. Renata nachyliła się i podniosła ją.

– Ja przecież to robię dla naszego... twojego dobra. Jak będziesz starszy, zrozumiesz i docenisz. Na takim wyjeździe zarobię dużo pieniędzy i zaraz po powrocie wprowadzimy się do nowego domku. Będziemy już zawsze razem. Nie chcesz tego? Jeszcze tylko trochę cierpliwości

– Zawsze tak mówisz. Że zaraz, że niedługo...

– Nie płacz, kochanie. Naprawdę już niedługo. Musimy trochę zarobić. Babcia jest chora, trzeba kupić leki...

– Czy babcia umrze?

Renata zamilkła. Naprawdę nie wiedziała co powiedzieć. Nie była przygotowana na taką rozmowę.

– Nie umrze... Ale jest bardzo chora i musi się leczyć. Dlatego musisz być grzeczny i jej nie przeszkadzać. Dobrze?

– Dobrze, mamusiu.

– Zobaczysz, jakoś to będzie. Ale najpierw pojedziemy na wakacje. Gdzie chcesz pojechać?

– A nie możemy pobyć z babcią? Ona tak bardzo się cieszy, jak przyjeżdżasz

– Babcia jest za słaba, żeby gdziekolwiek jechać. Złe się czuje. Musi wypoczywać.

– Ale jak wyjeżdżaliście na te żaglówki, to mówiłaś, że to najlepszy sposób na odpoczynek, że czujesz się jakbyś się dopiero co urodziła

– Mówiłam tak, ale jestem zdrowa. Babcia musi brać lekarstwa, leżeć w łóżku.

– To może nigdzie nie wyjeżdżamy, tylko zostanmy tu

– Myślałam, że pojedziemy nad morze, albo w góry...

Chłopiec zastanawiał się przez chwilę.

– Może najpierw trochę tu pobędziemy, a potem gdzie pojedziemy? Może tak być?

– Dobrze.

– Chyba już czas na obiad. Idziemy na dół?

– Idziemy

Wrzesień

Chłopiec siedział na parapecie. Głowę oparł o okienną ramę i zmrużył oczy. Przypominał trochę rozleniwionego, wygrzewającego się na słońcu kota. Cekał tak od rana i chyba nie do końca wierzył, że jego oczekiwanie przyniesie jakiś efekt. Tyle razy zawiódł się na obietnicach rodziców, że zaczął traktować je z rezerwą. Wyraźnie ożywił się na widok dzieci bawiących się na podwórzu. Zastukał w szybę, a te radośnie pomachały do niego i zaczęły gestami przyzywać do siebie. Kosciuszko zeskoczył z parapetu i już wkrótce dołączył do wesołej gromadki.

Małgorzata uśmiechnęła się widząc baraszkujące dzieci. W domu było teraz

smutno. Matka czuła się źle i na nic zdało się oszukiwanie, że tak ciężko dochodzi się do siebie po operacji. Zresztą już zbyt dużo czasu minęło.

Ze swoich rozterek Małgorzata zwierzyła się księdzu podczas spowiedzi. On uważał, że matka powinna znać prawdę. Wiedzieć, że jej czas już się kończy, aby móc spokojnie uporządkować swoje sprawy i przygotować się na pojednanie z Bogiem.

- Śmierć to nie jest coś ostatecznego. To jest przejście do lepszego świata, pożegnanie z cierpieniem. Powinnaś to zrozumieć i pomóc uzmysłwić to także twojej mamie. Śmierć czeka nas wszystkich. Pomóż jej odejść w spokoju, a zobaczysz, że i tobie będzie potem łatwiej – radził.

Pomimo protestów Renaty, Małgorzata postanowiła delikatnie zacząć przygotowywać matkę do nieuniknionego. Okazało się, że kobieta już od dawna zdawała sobie sprawę z sytuacji i poczuła ulgę, że córka powiedziała jej prawdę. Że w końcu może z kimś normalnie porozmawiać o przyszłości, bez udawania i owijania w bawełnę. Nie chciała pozostawiać nie zamkniętych spraw. Ta postawa matki zaskoczyła Małgorzatę. Bała się, że kobieta załamie się i będzie jej jeszcze trudniej.

Jak zwykle Barbarę najbardziej martwiła przyszłość Renaty. Małgosię trochę to irytowało, ale starała się tego nie okazywać. Ciągle tylko Renata i Renata – złościła się. Ale jednocześnie wiedziała, o co matka chodzi. Ona zawsze jakoś sobie radziła. Od dziecka była rozsądna i umiała walczyć o swoje. A Renata... Z nią ciągle były problemy.

Najważniejsza jednak stała się teraz przyszłość Kostusia... Małgorzata nie mogła zrozumieć stosunku siostry do dziecka. Niby uwielbiała Kostusia, obsypywała prezentami, zabawkami, ciągle dzwoniła, ale z drugiej strony nie była w stanie spędzić z nim dłuższego czasu. Chociażby ostatnie wakacje... Już dużo wcześniej Renata przez telefon opowiadała dziecku, co będą razem robić, przywiozła mnóstwo płyt, książeczek, zabawek – wszystko o dinozaurach. Idylla skończyła się jednak szybko. Pierwszego dnia, owszem, obejrzeli wspólnie film, poczytali książeczki, ale

zaraz okazało się, jak kobieta mało wie o swoim dziecku. Obecnie jego oczkiem w głowie były zamki i rycerze. Miał już nawet sporą kolekcję figurek rycerzyków i ciągle zamęczał matkę, aby się wspólnie nimi bawili. Fakt, że to on chciał decydować, co mają robić, zaskoczył ją. Inaczej planowała ten pobyt.

Radość z przyjazdu matki dawała chłopcu niesamowitą energię. Zachłannie spędzał z nią każdą chwilę. Wszystko chciał robić razem z nią. W nocy przychodził do jej łóżka. Kiedy budziła się rano, już miał otwarte oczy. Renata zwierzyła się siostrze, że od jego ciągłej obecności czuje się osaczona. Po kilku dniach marzyła, żeby w końcu uwolnić się z tych niewidzialnych więzów. Nie rozumiała, jak inne kobiety mogą lubić siedzenie w czterech ścianach i zajmowanie się dziećmi. Liczyła, że pobyt w domu będzie świetną zabawą i wypoczynkiem, a okazał się męczarnią.

Nie pomógł też wspólny wyjazd nad morze, tym razem z Jackiem. Wrócili wcześniej w niezbyt wesołych nastrojach. Chłopiec od razu pomaszerował do swojego pokoju i nie chciał z niego wychodzić. Jego rodzice przekonywali, że powrót był spowodowany złą pogodą, ale z rozmów z Kostusiem wyłaniał się zupełnie inny obraz sytuacji. Renata i Jacek po prostu nie byli przyzwyczajeni do przebywania z dzieckiem i do tego, że cały plan dnia trzeba było podporządkować właśnie jemu. Chłopiec całe dni chciał spędzać w wodzie albo na wędrownkach po lesie. Nie akceptował w pobliżu rodziców jakichkolwiek innych osób. A oni chcieli spotykać się z dorosłymi wczasowiczami. Problem narastał zwłaszcza wieczorami, kiedy zamierzali wyjść bez niego. Wtedy robił się wprost nieznośny. Płakał, wrzeszczał, uciekał z pokoju. Bali się zostawić go samego, bo potrafił w nocy sam wyjść z pokoju i wędrować po pobliskich uliczkach. W końcu mieli dosyć i wrócili do domu. Następnego dnia wyjechali do Warszawy tłumacząc się ważnymi zajęciami.

Małgorzata miała własną opinię na ten temat. Pamiętała, jak chłopczyk się urodził, ale uważała, że matka była za łagodna i za łatwo poddała się przejmując opiekę nad

Kostusiem. Renata, zamiast starać się nawiązać kontakt z synem, wyjechała i zajęła się karierą zawodową. A teraz jeszcze szykował się ten wyjazd za granicę. Zostało już tylko dwa tygodnie, a nadal nie ustalono, co stanie się z Kostusiem. Dlatego tak ważny był dzisiejszy przyjazd jego rodziców. A wyglądało na to, że znowu nie przyjadą. Małgorzata nie wiedziała już co robić, przecież czasu zostało niewiele. Podejrzała, że Renata nie chciałaby nic zmieniać, ale, jak zwykle, zostawiała wszystko na ostatnią chwilę.

Kiedy zadzwonił telefon, od razu wiedziała, że to Renata.

– Cześć, Małgosiu. Słuchaj... Niestety, nie możemy dzisiaj przyjechać.

– Tak? Co się stało?

– Okazało się, że musimy wcześniej wyjechać. Już za pięć dni mamy być w nowej pracy.

– A Kostuś?

– No właśnie. W tej sytuacji nie wiemy, co robić.

– A wcześniej wiedzieliście? Mielicie jechać za dwa tygodnie, a nie mieliście czasu przyjechać i zdecydować co z małym. Teraz też nie wiecie, co zrobić.

– Słuchaj, Małgosiu, bo mamy problem...

Gdyby mama była zdrowa, zostawilibyśmy go u was. Przynajmniej póki się nie urządzimy. A tak...

– Czyli chcecie, aby dalej tu został? –

Małgorzata zapytała wprost.

– No, gdybyś się zgodziła... Właściwie dla ciebie to i tak nie byłoby większej różnicy, a nam byś bardzo pomogła...

– Nie mogłaś przyjechać i powiedzieć mi tego osobiście?

– Nie miałam kiedy. Zresztą biłam się z myślami...

– Nie przyjedziesz pożegnać się z dzieckiem?

– Myślę, że lepiej będzie, jak ty mu powiesz.

Takie pożegnanie byłoby straszne.

Ryczałabym pewnie jak bóbr. Tak bardzo go kocham... A dla dziecka czas płynie szybciej niż nam, dorosłym i ani się



- obejrzy, już będziemy razem. Zrobisz to dla mnie? Zobaczysz, odwdzięczę się
- Zrobię, zrobię. Nie dla ciebie, ale dla twojego dziecka. Tak bardzo mi go żal...
 - Jak dorośnie, to zrozumie i jeszcze podziękuje. Zobaczysz
 - Chciałabym, abys się nie myliła. Decyzja zapadła.

Grudzień

Chłopiec wyglądał, jakby przykleił się do szyby: śmiesznie rozplaszczony nos, obie dłonie oparte o zimną taflę szkła. I szeroko otwarte, ciemne oczy, uważnie wypatrujące każdego ruchu na ośnieżonej ścieżce. A było na co patrzeć. Właśnie spadł pierwszy tego roku śnieg i przykrył świat grubą, puchową pierzynką. Znikła wijąca się pomiędzy krzewami ścieżka, a drzewka wyglądały bajecznie. Cały świat zdawał się jakby przeniesiony do jakiejś czarodziejskiej krainy. Koło furty pojawił się zimowy strażnik – pierwszy tegoroczny bałwan w czerwonym wiaderku na głowie. Dziecko z przejęcia miało rozgorączkowany wzrok i rumiane policzki.

- Tak bardzo chciałbym pójść z wujkiem...
- Kostusiu, przecież dopiero co wstałeś z łóżka. Jeszcze kilka dni musisz wytrzymać w domu, żeby znowu nie zachorować. Zresztą, zaraz wrócą. Może mi pomożesz dekorować ciasteczka?

- Dobrze.

Chwilę później pracował z zacięciem zostawiając kolorowy lukier nie tylko na słodkościach. Skupienie przerwał telefon. Dzwoniła Renata.

- Synku, dlaczego nie odbierasz swojego telefonu? Dzwonię i dzwonię...
- Cześć, mamo. Został w pokoju.
- Co robisz?
- Ozdabiam ciasteczka. Zaraz wujek przyniesie choinkę.
- Widziałeś prezenty, które ci przysłałam? Podoba ci się aparat fotograficzny?
- Fajny... Szkoda, że ciebie nie ma. Pomogłabyś przy choince.
- Wyjeżdżamy z tatusem do Grecji. To będzie wspaniała wyprawa... Może w tym roku pojedziesz z nami na wakacje...
- Tak? Już są. Ciociu, już są – Kostuś krzyknął



 Przemysław Krupski

wniebowzięty.

Chwilę później był na korytarzu i zachwycał się przyniesioną choinką. Wkrótce hałas przeniósł się do salonu, gdzie dzieci wspólnie z Marcinem zajęły się strojeniem drzewka. Na stoliku pozostał tylko samotny telefon. Małgorzata odłożyła słuchawkę. Pomimo, że będą to pierwsze święta bez matki, postanowiła, iż nikt w jej domu nie będzie się dziś smucić. Rozpoczynały się najbardziej rodzinne święta w roku.

styczeń – luty 2007





ANNA NOGAJ

Homo viator

Czymże jest czas? Jeśli nikt mnie o to nie
pyta, wiem. Jeśli pytającemu usiłuję
wy tłumaczyć,
nie wiem.

Św. Augustyn

lubię te spacerunki między wersami
wtedy odwracam słowa. wysuwuję się
w przestrzeń

nowa strona kolejnym zwierciadłem
przechadzającym się po dziedzincu myśli

i te rozmowy bez dna choćby z Herodotem.
już wiem że żadne zdanie nie kończy się
kropką. że to co jest było to co było stanie
się

potem

miarowe stukanie w skałę laski mędrca
przypomina ten odwieczny rytm świata
i wewnętrzne pulsowanie

a kiedy wytrząsam piasek zza szkła
zegarka

myślę sobie że
może to ten sam który przesypywał się
przez sandały Tucydidesa

Herbertiada

Wędrowanie z Herbertem jest mi bardzo
bliskie,
wszystko się zaczyna zwykle od szczegółu -
ważę w dłoni istotę kamyka, badam
politurę
czerwonej skały albo marmuru. Potem po
kolei
zamykam się w słowach, odkrywam luki
czasu
aby je wypełnić i dotykam rzeczy aby je
domysleć.

Bywa często, że muszę się skurczyć
do głosek, kreski czy przecinka,
by bardziej poczuć, stać się dźwiękiem,
pomrukiem wiatru gdzieś nad Aleksandrią.
I tylko kątem oka śledzę, jak przestrzeń
wzbiera
sumą znaczeń, barwą

A gdy się w końcu z nich wywierszę, odkleję
ręce
od płaskorzeźb luster, to cała szklistość
zamienia się
w dotyk, burzy się spokojem

wody, w której jestem
drgającym kręgiem w ciemnym chłodzie.
Przez palce sączę piasek Sanhedrynu,
zbieram płynne odbicia bożków, ludzi,
Rzymu.
Dalej już płynę, odgarniając dłonią historii
fale,
do swojego domu. Zdejmując wcześniej z
czoła
południe Rovigo, Rovigo





MAREK BRAND

Blokada

Dzionał zapowiadał się przepiękny. Słoneczko omiało swoimi promykami wierzchołki drzew. W taki piękny dzień nie można siedzieć w domu. Ogryzek z Sęsim Nosem postanowił zobaczyć jak wygląda las z drugiej strony. Nabił fajkę i ruszył w podróż. Nie uszedł jeszcze kilkunastu metrów, kiedy wyrosły przed nim dwa borowiki.

- Przejścia nie ma – poinformował jeden z nich.
- Borowiki uzbrojone były w świerkowe igielki.
- Zniknęło? – spytał ogryzek zdumiony.
- Co zniknęło? – teraz Borowiki się zdumiały.
- No przejście?
- Nie, nie zniknęło, tylko nie ma.
- Dlaczego?
- Bo blokada. My blokujemy – powiedział chudszy.
- W jakim celu?
- Blokujemy politycznie – grubszy poprawił kapelusik.
- Rozumiem – pokiwał Ogryzek.
- Bo wiesz, tak nie może być. To nie jest w porządku.
- No pewnie – potwierdził Ogryzek, chociaż nie wiedział o co chodzi.
- Nie twierdzimy, że jest katastrofa, ale takie stanowiska zajmują w lesie A jakie mundury mają. A my tylko do zupy lub do kotleta. Przejścia nie ma.
- Ogryzek zawrócił. Niestety wycieczka musi poczekać. Kiedy już był przed domem, spotkał Reb Apelmana. Opowiedział mu wszystko.
- Ty wiesz co? – powiedział Apelman – Tu wcale nie chodzi o zupę, tu idzie o sos.
- Jak to o sos?
- O sos grzybowy. Pójdę i porozmawiam.
- Ogryzek ruszył za rabinem. Apelman zbliżył się do Borowików. Szepnął im coś na ucho. Borowiki zaczęły mówić jeden przez drugiego. Rabin machał rękoma. Po chwili cała trójka milczała. Ogryzek podszedł do nich

- No to jak z blokadą – spytał.
- Widzisz, mamy problem. Rabin nam uświadomił, że mamy rację i słusznie blokujemy, ale powiedział tak. *Wy tu sobie blokujecie, a jak przyjdzie Mesjasz, to powiecie mu przejścia nie ma?* No więc uradziliśmy, że robimy przerwę. Poczekamy – jak tylko Mesjasz przejdzie, to blokujemy dalej.

Dżdżysty dzień

Tego dnia Słońce postanowiło wziąć urlop.

- Rano pojawiło się na nieboskłonach i powiedziało do zaspanych handlarek:
- Pocałujta mnie w.... – po czym udało się na zasłużony wypoczynek.
- Jak ono nie ma zamiaru świecić, to ja nie będę lał – szepnęła Deszcz.
- Zrobiło się nijako bez Słońca i Deszczu.
- A co to ja, na akord robię? – Wiatr był wściekły – Wszyscy mają w dupie robotę, ja też mam.

I sfrunął sobie w zaciszny las.

- Co teraz? – spytał Ogryzek z Sęsim Nosem.
- Nic – odpowiedziała Wrona – Będzie dżdżysty dzień.

I rzeczywiście był.

- Ogryzek wybrał się na spacer. Za zakrętem spotkał Rabina Apelmana.
- Shalom Alejchem – przywitał go Rabin.
- Niech będzie – rzucił Ogryzek.
- Co znaczy: „niech będzie”? Jak mówię, że jest, to się rozumie, że jest – Rabin nastawiony był filozoficznie.
- To niech mi Rebe powie, czemu ja jestem Ogryzek?
- Czemu ty jesteś Ogryzek?
- No właśnie, to ja się pytam.
- On się pyta, czemu on jest Ogryzek – Apelman poprawił okulary. – A dlaczego ja jestem Rabin?
- No właśnie, dlaczego Rabin jest Rabin?
- A skąd ja mam wiedzieć? – Rebe zaczął się irytować.
- To kto ma wiedzieć, się pytam, kto?
- No właśnie? Kto to wie?
- Rabin Apelman zastygł w miejscu. Ogryzek postął przy nim kilka minut, po czym

- ruszył dalej. Spotkał Wronę
- Ty i ta twoja nihilistyczna filozofia – przywitała go – Teraz Rabin będzie stał tak trzy godziny, zupełnie jak ostatnim razem, kiedy zapytałeś go dokąd idzie.
- Cóż, taki mamy dżdżysty dzień – filuternie powiedział Ogryzek.

Podróż

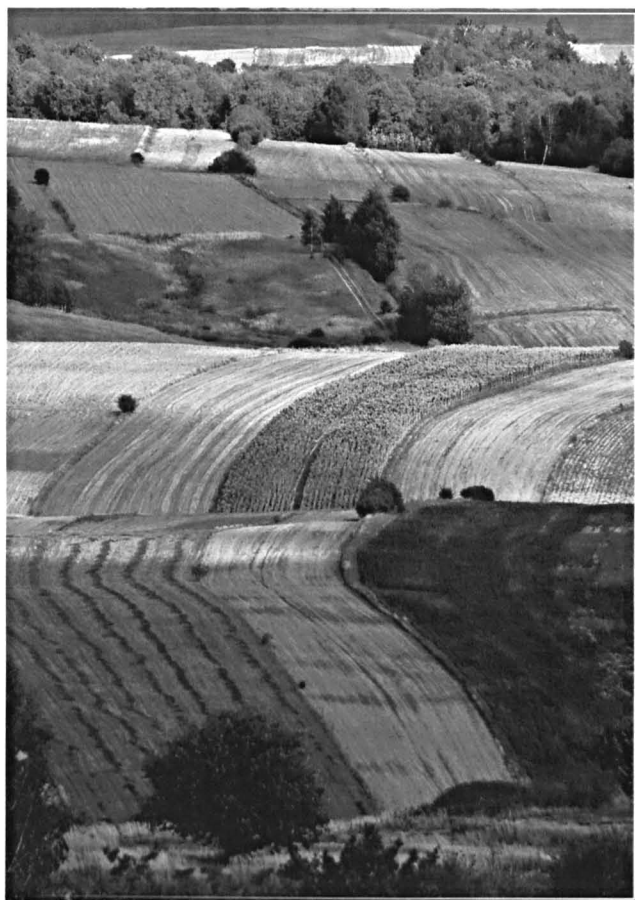
- Rebe Apelman został zaproszony do swojego ciotecznego brata, księdza Andrzeja.
- Czegoś tu nie rozumiem – mówił Ogryzek z Sępiem Nosem – niby brat a ksiądz.
 - To przecież nie ważne wyznanie – ważne na jakiej niwie się pasie trzody.
 - Jakie trzody? – nie rozumiał Ogryzek.
 - Wrona zostaje gospodarzyć – zawyrokował Rebe. – Pamiętaj, podlewać kwiaty, gasić świeczkę, nie odbierać telefonu.
 - Przecież Rebe nie ma telefonu – zdziwiła się Wrona.
 - Ale gdyby ktoś dzwonił, to nie odbieraj – stanowczo powiedział Rebe.

Rebe spakował swoje okulary, taes i wyszedł z domu. Ogryzek postanowił odprowadzić Rabina do starego młyna, gdzie czarci mówią dobranoc. Po drodze dyskutowali o fenomenologii stosowanej. Nagle przy czarcim młynie usłyszeli szept:

- Dobranoc. Dobranoc. Oddawać dusze.
- Co to? – spytał przestraszony Ogryzek.
- Nic. To tylko diabli urządzili sobie wieczorek poetycki – odparł Rebe.
- I co?
- Co?
- Co z tym zrobić?
- Nic, niech sobie chłopaki pogadają. Siedzą tu już ze sto lat, nigdzie nie wychodzą. Żeby chociaż telewizor mieli
- A niech to diabli – wykrzyknął nagle Apelman.
- Co się stało?
- Zapomniałem Wronie powiedzieć, żeby nie włączała telewizora.
- Rebe, ty nie masz telewizora.
- Wiem, ale zapomniałem powiedzieć.

Rabin zawrócił do domu, Ogryzek za nim.

Kiedy przybyli na miejsce, aż zastygli z wrażenia. W sypialni siedziała Wrona, oglądała telewizor i jednocześnie rozmawiała przez telefon, zażerając przy tym chipsy. Kiedy zobaczyła Rabina



📷 Mirosław Koczkodaj

powiedziała:

- Telefon do ciebie.
 - Kto dzwoni?
 - Nie przedstawił się, ale mówi, że to ważne.
- Rabin wziął słuchawkę.
- Apelman, słucham.
 - No nareszcie – powiedział miły i ciepły głos – Mów Apelman, czego jeszcze nie masz, tylko głośno, bo tu na górze źle słyhać.
 - O nieba – jęknął Rabin zrozumiałwszy z kim mówi.
 - No na to jeszcze za wcześnie, ale jeżeli chodzi o sokowirówkę lub kuchenkę mikrofalową to nie ma sprawy.
- Rabin poczerwieniał, złapał różgę i wyskoczył z domu. Biegł w kierunku starego młyna. Ogryzek ledwo za nim nadążał. Rabin wpadł do starego młyna. Po chwili z wnętrza rozległy się odgłosy przypominające świst różgi i kozie piski. Po chwili Rabin wyszedł, lekko dysząc z wysiłku.
- Ot żartownisie. Ja im dam podsłuchy.
- Ogryzek nie pytał o nic, bo o co miał pytać?



📷 Ela Kowalik

Poezja

Pewnego popołudnia Ogryzek postanowił przejść się po lesie. Włożył płaszczyk przeciwdeszczowy i wyszedł z domu. Szedł sobie przez młody zagajnik. Wokół pachniało wiosną. Ogryzek zatrzymał się nad rowem melioracyjnym.

- Co za piękny dzień – powiedział głośno. – Taki dzień warty jest opisania.

I postanowił napisać wiersz. Poszedł więc do Rabina Apelmana.

- Rebe, chciałbym napisać wiersz.
- To napisz – powiedział Rebe.
- Tylko, że nie wiem, jak to się robi.
- Się robi bardzo prosto: się patrzy na przyrodę, się ją odczuwa, potem się nią zachwyca, a w końcu się to opisuje.
- I to wszystko?
- Nu, jest jeszcze coś, ale to coś poczujesz jak zaczniesz pisać.
- A ty jak pisziesz wiersze? – spytał ogryzek.
- Wrone, którą spotkał na polanie.
- Chodzi o to, żeby się rymowało – odpowiedział ptak. – Na przykład:

*Kiedy do lasu przychodzi wiosna,
to jestem jakaś taka radosna
Wiosna mnie słucha, ja wiosnę kocham,
Nie jestem głucha, ze szczęścia szlocham.*

Ogryzek wrócił na rów melioracyjny i wyrecytował:

*Stoję tu na rowem, jak nad życiem swoim.
Chciałbym coś powiedzieć, lecz się trochę boję.
Czuję uniesienie, ono drzew już sięga.
Życie, myślę sobie, jest jak czysta księga.*

- I oto chodzi – powiedział czyjś głos.

Ogryzek odwrócił się, za nim stała piękna młoda dziewczyna. Na głowie wianek, w rękę trzymała lirę.

Ogryzek zaniemówił z wrażenia. Dziewczyna złożyła pocałunek na jego czole i znikła. Dopiero wieczorem Ogryzek odzyskał władzę w nogach i mowie.

- Widzisz, Ogryzku, to ogromne przeżycie. To jest właśnie to: spotkałeś muzę Euterpe, a ona dała ci wenę – wyjaśnił Rabin.
- Jestem pod wrażeniem, ale nad rów już nie pójde. Od tej weny cały zeszytniałem. A nie chce mi się sztywnieć zbyt często.



MAGDALENA RACZKO - PIETRASZEK

Słońce zakłète
w opadłych liściach,
palone na stosie
z dymem
wraca do nieba.

W tajemniczym
Jałowców kręgu
Błogie nicnierobienie
Lata zapachów
Spijanie
Zupełne zapomnienie

Myślałam
Historia ludzi
ceglane mury katedr.
Historia morza
kamyki na plaży.
Myliłam się,
Historia morza i ludzi
ceglane serduszko
wyrzeźbione przez fale.

Poranna mgła
osiadła kroplami
na cierniach -
jak krew,
na wierzbowych gałązkach -
jak łzy,
na krzewie dzikiej róży
diamentami się stała.

Wschodzi zimowe
słońce,
księżyc błądy
w szarym błękiecie.
Dzień z nocą,
Światło z cieniem
razem
tylko przez chwilę.

Wieczne mgły
Wędrują po stawie
To niebo schodzi
Na ziemię



ARTUR JUDKOWIAK

Dochodziło już południe. Pół godziny temu ochrypły głos w megafonie oznajmił:
Planowy przyjazd pociągu jest opóźniony o czterdzieści pięć minut...

Zapaliłem kolejnego papierosa z pełną świadomością, że ten nałóg kiedyś mnie zabije. Od ponad tygodnia szukałem dogodnego miejsca. Nie bez powodu wybrałem właśnie ten rozjazd. Gdy inne sposoby okazały się nieskuteczne zostało mi zdać się na siły nie zależne ode mnie. Wystarczy tylko jedna chwila.

Nerwowo zerkąłem na zegarek.

- To niemożliwe! Ten skład nigdy się nie spóźniał nawet o minutę!

Zaczynałem tracić zaufanie do PKP. A dopiero



Marek Melaniuk

PECHOWIEC

co odzyskałem je w stosunku do naszej służby zdrowia. Karetka przyjechała do domu w ciągu ośmiu minut. Gdy odzyskałem przytomność, leżałem podłączony do jakiejś aparatury. Dokoła wirowały jasno niebieskie ściany. W ustach tkwiła mi rurka, a gdzieś w środku czułem jeszcze posmak tych żółtych tabletek. Nigdy nie sądziłem, że płukanie żołądka może być takie nieprzyjemne.

Z zadumy wyrwał mnie gwar dochodzący z peronu. Wśród podróżnych panowało wyraźne ożywienie. Spojrzałem w lewo i w dali dostrzegłem niewyraźną postać pociągu. To musi być on. Ekspres Warszawa-Berlin nadjeżdżał. Podeszedłem do torów zgodnie z rozkładem jazdy, tor pierwszy przy peronie pierwszym. To miejsce i ten czas. Niewidoczny dla gapiów, zasłonięty jakąś budką, wszedłem na tory i spokojnie położyłem się jakieś 100 metrów za rozjazdem, na wprost wjazdu na peron pierwszy. Czułem coraz mocniejsze drganie szyn. Pociąg zbliżał się do rozjazdu, coraz wyraźniej widziałem czerwony elektrowóz.

Nagle dziwny łoskot, a bardziej odgłos czegoś przesuwanego przeszedł przez metalowy podglówek. W tym samym momencie usłyszałem ten sam ochrypły głos: *Ekspres z Warszawy do Berlina wyjątkowo wjedzie na tor drugi przy peronie drugim. Podróżnych przepraszamy za zmianę.*

Wstałem powoli, mijając wzrokiem wtaczający się na sąsiedni tor pociąg. Byłem brudny, ale nie to było ważne. Wyciągnąłem kolejnego papierosa i wściekły ruszyłem do najbliższego mostu.





NATALIA JULIA NOWAK

Mózgowi Znachorzy

Zadają natrętne pytania,
chcąc poznać najskrytsze obawy.
Traktują jak kłębek problemów,
co szybkiej wymaga naprawy.

Pod dumnym sztandarem terapii
chcą w mózgu dokonać poprawek.
Kozłują zleknionym umysłem
jak jedną z dziecinnych zabawek.

Świadomi swej władzy psychicznej
wciąż syczą: „Zamilczcie! Wy, chorzy”.
Ciekawscy jak panna Pandora,
kochani, Mózgowi Znachorzy.

Nie wiedzą, że zamach na umysł
jest również dla duszy zniewagą.
Oj, płaczę nad całym ich fachem
i groźną, znachorską odwagą

Niedługo z pewnością zamienią
na cztery zdrowaśki swe leki
(Tak działa Mózgowe Znachorstwo
i cały ich system kaleki).

Na krzywym stoliku wyłożą
trzy kupki po sześć kart magicznych,
by lepiej rozpoznać znaczenie
złych głosów i cierpień psychicznych.

Gdy cztery zdrowaśki zawiodą,
rozpoczną terapię wstrząsową.
O ile to zgodne z przesłaniem
i szklanej kuleczki namową

Nie śmiecie się, ludzie, z tych strofek,
bo dużo tkwi prawdy w horrorze.
Od wszelkich Mózgowych Znachorów
zachowaj nas dzisiaj, mój Boże



ADAM ŚWIĆ

MAŁE PROZY PODRÓŻNICZE

Odyseja

List

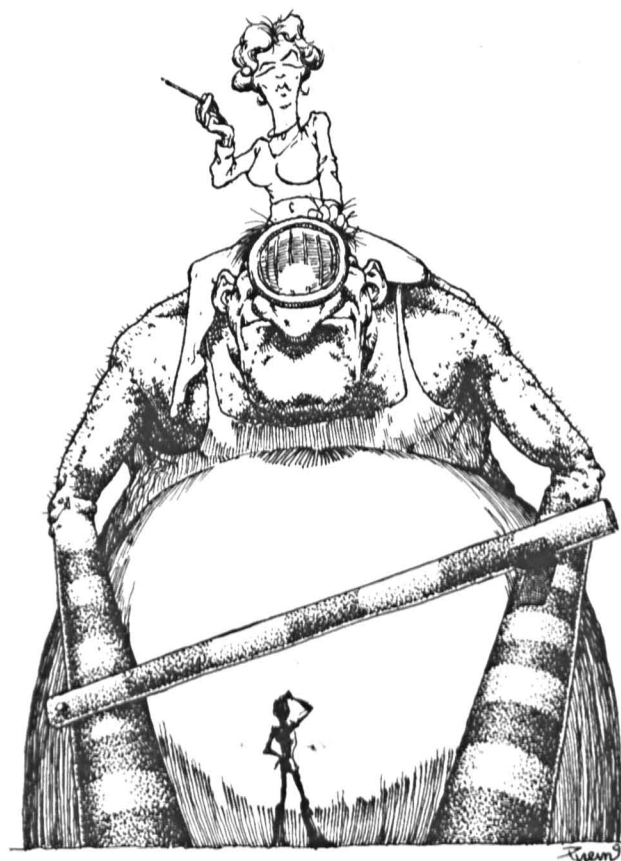
Mariolu! Stoję już piąty dzień na granicy. Nudno jak cholera. Kupiłem sobie dziś w kiosku parę zeszytów z komiksami i czytam. W jednym była historia takiego rycerza - Odysa, co to wracał przez parę lat z wojny i nie mógł wrócić. I, jak Boga Kocham, jakbym siebie widział! A jego żona, Penelopa, czekała w domu obstawionym gachami i się, wiesz Mariolka, nie załamała. Silny charakter miała, całkiem jak Ty. A i on był twardy, chociaż go różne boginki i czarodziejki kusily. Tutejsze mają po piętnaście lat i chodzą wymalowane jak stare miasto. Już prawie dziesięć dni jadę z tej Turcji. Kumple to już w ogóle się w świnie zamienili i chleją na umór. Wiesz, jakieś chamidło wybiło prawy reflektor w moim tirze i się wkurzam, bo nie ma

części. Ten Odys też się męczył z olbrzymem z jednym okiem. Śmieszne, co? Na dodatek po trasie dwóch celników się do mnie przyczepiło. Normalnie potwory jakieś. Nic mi się w tej drodze nie udaje, jakby ktoś celowo przeszkadzał. Ale nie długo będę w domu i, bez żartów, lepiej żebym nikogo w szafie nie znalazł, bo zabiję. Tyle mnie nie było, że nie wiem, czy chałupę poznam. Nigdy już nie biorę trasy z koniną w puszkach, bo to pechowy towar. Tęsknię. Ucałuj Tomka. Marian.

Syreny

Starożytni Grecy koloryzowali rzeczywistość.

Dosłownie i w przenośni. Mało kto wie, że swoje piękne rzeźby - posągi ludzi i bóstw - pokrywali krzykliwymi kolorami. Na szczęście farba dawno się złuszczyła i do naszych czasów dotarło ich marmurowe piękno, które zwykliśmy nazywać klasycznym. W swoich mitach z kolei Grecy przedstawiali syreny jako cudowne półkobiety z rybim ogonem, wodzące na pokuszenie żeglarzy niezwykłym śpiewem. Zwierzęta, które dały początek tym legendarnym stworom, nie są ani urodziwe, ani obdarzone pięknym głosem. Manaty, zwane syrenami, to może najbrzydsze z wodnych ssaków. Żyją między innymi u afrykańskich wybrzeży Atlantyku. Manat składa się z obłego kloca tułowia zakończonego z jednej strony małymi oczkami i pyskiem buldoga, z drugiej zaś szerokim, łopatowatym ogonem; do tego dwa kikuty płetw. Waży toto pół tony i, na dobrą sprawę, bardziej kojarzy się z krową niż syreną - pasą się stadami, jedzą wodorosty, syte leżą w płytkich zatoczkach przeżuując pokarm i porykując. Ich skóra jest porośnięta rzadką szczecina, "zarost" jest bujniejszy na pysku. Nigdy nie wypływają daleko od brzegu, mają bardzo słaby wzrok, pod wodą wytrzymują najwyżej kwadrans. Dlaczego właśnie one aż tak poruszyły wyobraźnię,



nawet Homera... Jak wszystkie ssaki karmią swe dzieci mlekiem. Samice manatów mają gruczoły mlekne umieszczone wysoko na piersi, a nie na brzuchu jak u większości ssaków poza człowiekiem. Podczas karmienia matka wynurza się z wody i podsuwa swojemu dziecku wypiętą pierś, przysgarniając je płetwowatymi łapami. Wtedy z daleka przypomina karmiącą kobietę, a



wyglądzone wyobrażenia starożytnych żeglarzy, tęskniących za domami, żonami i dziećmi, mogła płatać przeróżne figle...

Z przygód Odysa

To mówiąc ruszyłem w górę do okrętu i morza ze smutkiem żegnając majestatyczne Toczające Się Kamienie. I gdy zbliżyłem się do czarnej nawy, która miała nas zanieść na skalistą Itakę, ujrzałem złotorogiego

Hermesa w postaci bezzębnej staruchy. Świetlisty w gęstym milczeniu wręczył mi duży i ostry harpun oraz trójząb - którym, jak rozumiałem, przyjdzie mi stoczyć jeszcze jedną walkę z jakimś posłańcem Posejdona - i zniknął w nadbrzeżnej mgle.

Gdy nasz okręt niczym chyży delfin rozpruwał już siwe fale, patrzyłem na lot morskich ptaków, by z niego wywróżyć przyszłość. Gdym stał tak zapatrzonego w niebo, statek zachwiał się kilkakrotnie jakby od uderzeń cyklopowej pięści. Ścisnąłem w rękach mój oręż. A oto z odmętów wynurzył się wieloryb - olbrzym mistycznej białości. Lęk ścisnął moje serce i dreszcz zmroził mój kark. Potwór miał w ślepiach wszelkie demonizmy żywota zuchwałe i nieokiełznane, nadprzyrodzone zło i niebezpieczną chytryść. Zamachnąłem się w niego harpunem, ale go tylko zranił. Wieloryb zanurzył się w głębie, lecz ja wiedziałem, że kiedyś powróci, by szukać pomsty na mnie lub którymś z moich potomków.

Z notatnika rozbitka

DZIEŃ TRZECI. Tak, ta wyspa naprawdę jest bezludna, a więc...jestem w raju. Ileż razy w zatrutym, zatłoczonym mieście marzyłem o tym, co teraz stało się moim udziałem!

DZIEŃ PIĄTY. Skończyły się kanapki z serem, które Zosia dała mi na podróż. Zostało tylko pięć kotletów sojowych. Co będzie jutro?



DZIEŃ ÓSMY. Głód. Nie wytrzymałem i wygrzebałem kilka korzonków. Dziurę w ziemi założyłem darnią, ale i tak mam moralnego kaca.

DZIEŃ TRZYNASTY. Pierwszy raz rozpałem ognisko. Potem nie mogłem zasnąć. To już nie to.

DZIEŃ CZTERNASTY. Obserwowałem ptaki.

DZIEŃ SIEDEMNASTY. Jestem potworem, dziką bestią, jestem... Ten kurak był taki ufny, podszedł do mnie wyraźnie zaciekawiony, a ja... ja... Ukręciłem mu łeb i zjadłem upieczonego na ogniu! W środku mam pustkę.

DZIEŃ DWUDZIESTY DRUGI. Zatlukłem zająca. Muszę nauczyć się przyprawiać takie mięso.

DZIEŃ DWUDZIESTY PIĄTY. Mały jubel: dziczyzna, owoce, relaks. Jak się robi alkohol?

DZIEŃ TRZYDZIESTY. Czuję się coraz lepiej. Za długo byłem życiowym opozycjonistą. Wczoraj znalazłem złoty samorodek. Ciekawe, czy jest tego więcej?

Z Afryki

...i choć nie znałem karabuckiego dość dobrze, rozumiałem, że zapraszają nas na jakieś wielkie plemienne święto.

Krzyk papugi wbił się kolorowym sztychem w mój poranny sen. Wyplątując się z moskitiery, przypomniałem sobie wczorajsze zaproszenie. OK, pokażemy się tam na pewno, drodzy tubylcy. A wujek Jimi zrobi przy okazji kilka zdjęć dla "National Geographic" i zarobi parę tysiączków na chlebus i zimną coca-colę.

O wyznaczonej porze ludzie zebrali się pod totemicznym słupem. Wyległa tam niemal cała wioska - małe dzieci, kobiety z niemowlętami u piersi, nawet bezzębni starcy. Nie było tylko młodych mężczyzn. Jane była tym wyraźnie zaintrygowana. Z małą kamerą przy oku podnieconym szeptem mówiła coś o niesamowitych inicjacyjnych obrzędach wojowników. Po chwili tłum ruszył w stronę polany, śpiewając i pokrzykując rytmicznie. Niektórzy malcy dźwigali z wysiłkiem

duże bębny z wydrążonych pni drzewa uruka. Przetarłem obiektyw. Byłem gotów. Polana. Kobiety, dzieci i starcy usiedli z boku za linią namalowaną na ziemi. Mężczyźni stali w szeregu na skąpanym w słońcu placu. Po chwili rozbiegli się po nim zajmując pozycje. Usłyszeliśmy przeraźliwy gwizd i... zaczął się mecz.

Wygrali Żonaci 4:2, ale młody Bakulu z drużyny Kawalerów zdobył dwie przepiękne bramki. Stary Morcheeba, ukazując w uśmiechu nagie dżiąsła, powiedział do mnie: - On gra jak Ronaldo, prawda? Przytaknąłem. A zdjęcia opchnąłem "France Footbal" za...

Bangladeszcz

Była to jedna z pierwszych wypraw, w których brałem udział. Miałem wtedy, co za piękny czas!, 19 lat. Już nie pamiętam nazwy tej wyspy na Pacyfiku, ale ochrzcijmy ją roboczo Bangladeszcz, bo okropnie tam padało. Trafiliśmy na niezwykle sąd. W roli oskarżyciela, prokuratora i sędziego występowała cała wioska. Oskarżonym był piekielnie wystraszony, czarny jak heban autochton, który złamał dwa zakazy - tabu: pracował w polu przed południem i chwalił się swoimi zbiorami.

Dopiero później dowiedziałem się, iż mieszkańcy wioski wierzą w to, że rośliny z sąsiednich pól odwiedzają się wieczorami. Stąd zakaz pracy przed południem, by przypadkiem nie zaskoczyć akcją żniwną roślin sąsiada, które to jeszcze nie zdążyły wrócić z wieczornej wizyty. Kto zaś chwali się wielkimi zbiorami staje się od razu podejrzanym o to samo, bo skąd u niego lepsze zbiory niż u innych...? Niechybnie złamał zakaz.

Wyrok był najsroższy z możliwych. Do dziś nurtuje mnie pytanie, czy oni przypadkiem nie mieli racji...?

Północ

"Hej dziewczynooo, spójrz na misiaaa./On przypomni, przypomni chłopca ci./Nieszczęśliwegoooo białego misiaaa./który w oczach ma tylko białe łzy!"



Głośny śpiew brnął po śnieżnym pustkowiu obijając się o lodowe wzniesienia. Anarpi szukał ukojenia patrząc na różowe refleksy polarnej zorzy. Był zdenerwowany. Niczym odrzucony przez samicę mors wypuszczał z nozdrzy kłęby białej pary i pomrukiwał z niezadowoleniem. Fachowcy wykańczający jego letniskowe igloo znowu biesiadowali zamiast pracować. Białe lisy ogryzały focze kości wyrzucane raz po raz przez okienko budowli. Śpiew się wzmacniał.

Nie było sensu z nimi dyskutować - ani dziś, ani jutro. Anarpi dobrze o tym wiedział. Zdarzało się, że brali go za wielkiego pingwina, co było szczególnym absurdem, zważywszy na to, że pingwiny żyją tylko na Antarktydzie.

Od początku budowy przesładował go pech. Już przy zakupie cegieł ze zmrożonego śniegu załapał się na wzrost podatku vat, przeplacił też za transport ogromnymi saniami. Materiał okazał się zresztą częściowo wadliwy i nie spełniał wszystkich parametrów: zły współczynnik

przenikania powoduje, że ściany topią się w bliskim sąsiedztwie źródeł ciepła. Kredyt natomiast topnieć nie chciał - stopy procentowe były wciąż tak wielkie jak łapska starego niedźwiedzia. A do tego ci niesolidni wykonawcy...

Wiatr wzmaczał się. Anarpi dosiadł skutera i ruszył na południe. Zaklął jeszcze szpetnie w polarną noc. Odpowiedział mu zgłuszony ryk przyjaciół białego misia.

Z przewodnika

NOCLEGI: W sezonie kwatery u grabarza p.Wesołowskiego (kontakt: trzy razy w okienko szopy przy cmentarzu lub przez kancelarię parafialną; niewielkie pokoiki o wesołych kolorach) oraz w zajeździe "Mielony" (15 km żużłówką na północny wschód; jest restauracja, ale dobrze jest zaopatrzyć się we własny prowiant). Poza sezonem jedynie w poczekalni PKP (wyjątkowo miła obsługa, WC za budynkiem w lewo, rozkład jazdy niekompletny, można jednak zasięgnąć informacji u dróżnika).

ROZRYWKI: Zabawy taneczne z pokazami walk Wschodu (w każdą sobotę i niedzielę w hallu strażnicy OSP). Podróże retro samochodem dostawczym Gminnej Spółdzielni (wyjazdy wtorek i piątek o 4.15 spod Ratusza).

IMPREZY CYKLICZNE: Trzeci weekend maja - przeglądy orkiestr dętych (w ostatnich latach jedynie wizualne - przemarsz umundurowanych muzyków przez deptak miejski - ze względu na braki w obsadzie większości instrumentów). Koncerty organkowe (lipiec i sierpień na świeżym powietrzu lub na antresoli sklepu "U Joli"). Wrzesień: miejsko - gminny konkurs rzeźbiarski "Chłop Jak Dąb" (w bieżącym roku pod hasłem "Nie mogę być jednocześnie twórcą i tworzywem").





JĘDRZEJ SIWEK

Włóczy się słońca

W słońcu
szukają kawałka cienia
w deszczu
marzą o spoconym czole

bliżej im do słońca,
więc wędrują przed siebie
zapisując przebyte kilometry
na pożółkłych kartkach papieru

i tylko jedno zdanie
powtarzają nieustannie:

„nikogo się nie obawiamy idąc w słońcu,
włócząc się po nieznanym”.

Zachód słońca

Mijają świt
zasypiając w wagonie

Budzą się po zmierzchu
by mieć na oku mrok

Patrzą na siebie znudzeni
za chwilę odetchną z ulgą:

Słońce zajdzie na dobre.
Mija kolejny dzień. Jest pięknie.

REPORTAŻ





IGOR SOKOŁOWSKI

INNY ŚWIAT

Najpierw wniosek o wizę. Płatne sześć dolarów, bez względu na decyzję o przyznaniu wizy, bądź nie. Trzeba odpowiedzieć na kilka prostych pytań. Urząd interesuje się tym, kim jesteśmy, gdzie pracujemy, gdzie mieszkamy, czym przyjeździemy, gdzie się zatrzymamy po przyjeździe i czym będziemy płacić. Trzeba również wypełnić kratki dotyczące naszej karalności, związków z terrorystami oraz - oczywiście - powodu, dla którego chcemy w ogóle przyjechać. Później wykupienie obowiązkowego dla obcokrajowców ubezpieczenia, (koszt 30 zł). Kiedy już skompletujemy papierki wraz z paszportem, składamy wszystko razem w konsulacie lub ambasadzie. Pięć dni roboczych oczekiwania na rozpatrzenie wniosku. No i jeżeli bez problemów otrzymaliśmy stosowną naklejkę do paszportu, misję można uznać za spełnioną. Jedziemy na Białoruś!

Na przejście graniczne w Terespolu przyjeżdżamy samochodem międzynarodową trasą E-30, relacji Berlin-Moskwa. Granicę można przekroczyć tylko pociągiem bądź samochodem, a że jechałem sam i samochód musiał zostać po polskiej stronie, to skorzystałem z pociągu. Ponieważ trasa wynosi raptem 8 km, bilecik kolejowy kosztuje niecałe 4 złote.

Od razu po wejściu do pociągu pierwsza konfrontacja z nieznanym mi narzeczem. I o ile na pierwsze pytanie: *pasport bielaruskij czy kakij?* Umiałem odpowiedzieć, to pozostałe dwa zdania wypowiedziane przez blond panią przy kości pozostały niezrozumiałe. Na szczęście polski strażnik wyjaśnił mi po chwili, że dwa druczki całkowicie po rosyjsku, jakie otrzymałem, to karty emigracyjne, obowiązujące jedynie podróżujących do Rosji. Pozostało mi wypełnić tylko małą karteczkę, której instrukcja była wzbogacona o język angielski. Należało napisać jak się nazywamy, dokąd jedziemy, do kogo, czym mamy zamiar płacić i w ogóle, po jaką cholerę jedziemy na Białoruś. Karteczkę ową zabrano razem z paszportem do kontroli.

Jeżeli chodzi o sam pociąg, to zapomnijmy o przedziałach, wagony przypominają te z WKD, tyle, że ławeczki są drewniane i wyglądają jak parkowe siedziska. Zawsza dobiega wschodni dialekt w różnych odmianach. Wagon pełen kobiet około trzydziestki, z czego wszystkie z nich to blondynki, prócz jednej, farbowanej na rudo. Miłe panie, tylko siedzą i rozmawiają... dopóki w przedziale obecni są celnicy. Kiedy mundurowi kończą już powierzchowną kontrolę i wychodzą na papierosa, wśród kobiet zaczyna się ruch. Z turystycznych toreb zostają wyciągnięte pojedyncze kawałki surowego mięsa oraz taśma klejąca. Z zainteresowaniem obserwuję jak dwie z czwórki kobiet zaczynają się rozbierać. - No to pięknie się zaczyna - sobie myślę. Ale proces zdejmowania ubrań kończy się na podwijaniu nogawek i zdjęciu butów oraz rajstop. Druga para z fantastycznej czwórki przykładą do nóg koleżanek kawałki mięsa w przezroczystych torebkach i przykleja taśmą. Kiedy całe mięso już ściśle przylega do nóg (nie powiem, u jednej z pań nawet zgrabnych), znika w oka mgnienia przykryte rajstopami, pod nogawkami szerokich spodni, czarnych u jednej i niebieskich u drugiej pani.

Ale niecodziennie zjawiska rozgrywały się również w innych częściach pociągu. Kobieta siedząca tuż za moimi plecami, przez dziesięć minut sięgała ciągle po coś do torby i... no cóż, bez owijania w bawełnę, bawiła się swoimi piersiami, słusznych zresztą rozmiarów. Kiedy już zgniotła pustą reklamówkę, jej mąż z czułością sprawdził stan biustu, żeby finalnie stwierdzić, że piersi spełniają wszystkie przemysłowe wymogi. Po czym pasażerowie, zadowoleni, otworzyli bez pardonu puszki z rosyjskim piwem i sączać browar plotkowali wesoło aż do przyjazdu pociągu na stację na granicy Unii Europejskiej. Pomijając te wypadki, podróż odbyła się bez dodatkowych rewelacji i dziwactw. Nie dalej jak po pół godzinie drogi pociąg

stanął przy okazale prezentującym się dworcu kolejowym miasta Brześć. Zadowolony, że odbyło się bez zbędnych kontroli, dziarsko wyskoczyłem z pociągu, by zobaczyć, że wszyscy moi współpasażerowie, którzy tak nagle utyli w ciągu ostatnich trzydziestu minut, kierowani są przez panów w zielonych mundurach i oficerskich czapkach ku jednemu tylko wyjściu, a raczej wejściu, do dworca. Jak się okazało, kontrola graniczna odbywała się dopiero tam. We wnętrzu ustawilo się kilka kolejek do pań w mundurach, sprawnie, choć powierzchownie, przeglądających reklamówki i torby podróżne oraz sprawdzających jakieś papiery. Oczywiście, tych papierów nie miałem, ale moja mina Greka, wygląd Niemca i Polska mowa, musiały być okolicznościami łagodzącymi.

- Deklaracja? - padło zza biurka z lichego drewna.
- Kakij deklaracja? - odpowiedziałem wspinając się na *Mount Everest* moich lingwistycznych umiejętności.
- No na clo!
- Aaa! - ot, moja *ynteligentna* riposta i wyjaśnienie - Nic do oclenia.

No i to właśnie magiczne zdanie okazało się być czymś w rodzaju: *Sezanie, otwórz się*, kluczem do wszystkich bram, a szczególnie tych prowadzących do miasta. Bowiem kilka sekund później kordon strażników rozstał się niczym wody oceanu, przez który uciekali żydzi z Mojżeszem na czele do Ziemi Obiecanej. Na mojej ziemi obiecanej, gdzie już wszystkie mrówki, z nogami owiniętymi mięsem, z ulgą paliły papierosy, czekała na mnie pani Maria, wraz ze swoją wnuczką - Marysią, u których miałem spędzić trzy kolejne dni w Republice Białorusi.

W czasie pokonywania drogi prowadzącej od dworca kolejowego do ul. Maszerowa, przyzwyczajałem oczy do tak istotnych zmian w krajobrazie jak billboardy, szyldy i tablice pisane cyrylicą, czy łady, których ilość na drogach oceniam na jakieś 70% wszystkich tutejszych aut. Jednak ogólny krajobraz miejski, na pierwszy rzut oka, nie różni się niczym od Polskich miast. Pierwszy mit krążący o Białorusi, że jest to *czarno-biały kraj, gdzie w ogóle nie ma nic i*



wojsko stoi na ulicach, został od razu obalony. Są krzyżące reklamy, choć nie-licznie, ale występują sklepy z zachodnią odzieżą (*Adidas*, *Big Star*), czy eleganckie autobusowe przystanki. Więcej, sygnalizacja świetlna dla pieszych jest wyposażona w liczniki sekundowe, informujące, ile czasu pozostało jeszcze do zmiany światła z czerwonego na zielone bądź na odwrót. Takich bajerów nie ma nawet u nas w stolicy. A pamiętajmy, że, bądź co bądź, jesteśmy na prowincji!

Ale jest coś, na co każdy turysta z zachodu bezwzględnie zwróci uwagę. Mianowicie jest to ogromny pomnik Lenina, który to Lenin wskazującym palcem celuje w katolicki kościół. A co ciekawsze, te dwa obiekty, tak antagonistyczne, leżą przy jednym placu, (niedawno odnawianym, jak się dowiedziałem z lokalnej TV). Skoro już o tutejszych antagonizmach mowa, to warto wspomnieć o postaci biskupa tegoż właśnie kościoła, na który tak dobitnie zwraca uwagę pomnik wodza rewolucji. Ów kapłan właśnie lubuje się podobno w kazaniach poruszających tematy polityczne (to akurat znamy z własnego

podwórka), w których nie stroni od negatywnych opinii na temat Stalina, Lenina, czy nawet samego Łukaszenki. A trzeba wam wiedzieć, że na Białorusi z powodzeniem zajmują oni pozycję św. Trójcy. No cóż, księża wierzą w cuda. Może dlatego biskup pozostaje jeszcze na wolności.

Pani Maria mieszka razem z mężem przy ul. Maszerowa, położonej niedaleko centrum Brześcia. W stylowym, dużym mieszkaniu pełnym książek, na dzień dobry, a raczej *zdrastwujcie*, zostałem poczęstowany lokalnym specjałem, który kulinarną strukturą przypomina nasze pierogi z mięsem, a nazwa tej potrawy to *pielmieni*. Kiedy to, co było moim śniadaniem, zostało już spożyte, a plecak opróżniłem z bagażu, mogłem się już wybrać na spacer numer 1 po mieście, oczywiście pod skrzydłami Marysi, która pełniła rolę mojego przewodnika oraz tłumacza. Marysia mieszka w Polsce od czterech lat, pochodzi z Rosji, ale miejscem, w którym dorastała, jest właśnie Brześć Litewski. Stąd zna to miasto jak własną kieszeń i biegle posługuje się rosyjskim.

Pierwsze kroki stawiane na brzeskich chodnikach skierowaliśmy w stronę najbardziej reprezentatywnego miejsca w tym mieście Twierdzy. Na czterech wyspach, leżących u zbiegu rzek Bug i Muchawiec, usytuowana jest linia murów z czerwonej cegły, które najbardziej przysłużyły się Związkowi Radzieckiemu w czasie natarcia wojsk hitlerowskich na Kresy Wschodnie. Wszystkie tablice i pomniki są poświęcone poległym w obronie twierdzy, a miejsc upamiętniających walki stoczone tu w latach 1941-45 jest o wiele więcej niż za dużo. Nawet Polacy nie chwalą się tak remisem z Anglią na Wembley w 1973, jak tutaj podkreślana jest bohaterska walka z *wrogą ideologią*. Mój pogląd na tą kwestię umocnił tylko mega-gigantyczny blok z kamienia, w którym wyryto twarz cechującą się srogą, poważną miną. Pomnik ten poświęcony jest wszystkim ofiarom walczącym na terenach byłego ZSRR, z niemieckim agresorem, a u jego stóp wmurowano rząd tablic z nazwami miast, które w walkach uczestniczyły. Reasumując:

Sława Gierojom!

Idąc dalej szlakiem turystycznym, który moja pani przewodnik urozmaicała licznymi opowiastkami dotyczącymi historii tego miejsca, trafiliśmy na kolejną budowlę będącą dowodem na gigantomanie naszych wschodnich sąsiadów. Główną bramę wjazdową stanowi blok betonu, z którego wytracono fragment mający kształt pięcioramiennej gwiazdy - symbolu Armii Czerwonej. I choć najmniej bym się tego spodziewał po tym monumentalnym miejscu, to właśnie pod tą siermiężną bramą było mi dane spróbować białoruskich lodów o smaku śmietankowym. I w tym miejscu kończył się pierwszy, a historycznie najważniejszy punkt programu.

Nadszedł więc czas na skosztowanie kolejnego miejscowego specjału. Otóż w kilku miejscach Brześcia stoją żółte, miedziane beczki, z napisem *KBAC*, czyli po prostu kwas, a owe beczki zazwyczaj pilnowane są przez starsze panie. I jak się okazało, nie jest to żadna działalność miejscowego chemicznego zakładu, tylko *coca-cola wschodu*, czyli kwas chlebowy, bardzo tutaj popularny, sprzedawany właśnie w takiej formie. Kolorem przypominający piwo napój, podawany w plastikowych kubkach, istotnie jak sama nazwa wskazuje - jest kwaśny. I podczas kiedy Marysia rozpylała się w pochwałach nad brązową cieczą spożywczą, ja doszedłem do wniosku, że to nie jest jednak mój smak. Zdecydowanie preferuję lody.

Niestety, ani lody, ani kwas, nie zaspokoili naszego apetytu, więc z każdym krokiem dalej robiło się już tylko głodniej. W związku z tym niezwłocznie udaliśmy się do naszej bazy, bo tak mieszkanie pani Marii pozwolę sobie określić, gdzie na obiad czekało nas kolejne danie, pozwalające w pełni chłonąć miejscowy koloryt. *Ucha*, czyli zupa z ryb, o delikatnym, słonym smaku. Polecam!

Po dobrym obiedzie najlepszy jest spacer. A jak spacer w Brześciu, to tylko głównym deptakiem, pełnym pubów, sklepów i młodzieży płaczącej się w dużych grupach bez celu. I kiedy już miałem rzec do Marysi, że *to tak wszystko jak u nas*, w jednym ze spożywców przy deptaku okazało

się, że cola, którą nabyłem, jest z akcyzą! I tym nasze państwa między innymi różnią się na pewno, bo w Polsce akcyzą objęte są jedynie papierosy i wódka. No i sama coca-cola była o smaku waniliowym, czego w Łachostanie nie uświadczysz. Kontynuując naszą wędrówkę przy ciepłym, zachodzącym słońcu, trafiliśmy na bulwar kosmonautów szeroki chodnik położony na środku alei między dwukierunkowymi jezdniami. Tu po raz pierwszy byłem świadkiem niecodziennego zjawiska.

Odwieczną prawdą jest, że Polacy i Rosjanie, (czytaj: obywatele państw byłego bloku wschodniego) mają alkohol we krwi i historii, dzięki czemu ilość promili uznawanych w Europie za śmiertelną Słowian nie dotyczy. My przy owej śmiertelnej dawce potrafimy jeździć nawet na rowerach i to całkiem niezłe! W związku z tym nie spodziewałem się, że na Białorusi zastanę rzeszę abstynentów. I owszem, niewiele się pomyliłem, ale to, co mnie uderzyło, to diametralnie inna kultura picia. Białorusini, po pierwsze, piją przede wszystkim piwo, a po drugie, piją je gdzie chcą i jak chcą, na świeżym powietrzu. Nietrudno spotkać tu ludzi pijących piwo w ścisłym centrum miasta, bez żadnych ceregieli, w stylu gazet zasłaniających etykiety itp. Według Marysi, prawo, tak jak i nasze, zabrania spożywania alkoholu w miejscach publicznych. Tyle, że tutaj zwyczaj takiego spożywania piwa ma zbyt głęboką tradycję, by zmienić to wieloletnie przyzwyczajenie jedną ustawą, czego efektem jest to, że poddani Łukaszenki mają w tej kwestii prawo w głębokim poważaniu. Poza tym milicja tego zapisu nie egzekwuje. Więc, o czym w ogóle mowa?

Właśnie takie grupy ludzi, wyposażonych w artefakty o złotym kolorze, co krok można było spotkać na zielonym pasażu łączącym aleje Kosmonautów oraz ukraińskiego poety Tarasa Shevczenki, (którego pomnik stoi również w Warszawie). Młodzi ludzie, modnie ubrani, z butelkami w rękę, wcale nie wyglądali na zmęczonych sytuacją polityczną, czy na gnębionych przez system totalitarny. Ponieważ udzielił się nam ich nastrój, sami skoczyliśmy do najbliższego baru, a była nim barka kołysząca się na rzece Muchawiec. Piwo tanie



jak barszcz, a dobre jak nasze. Oczywiście, jako ten, który musi spróbować wszystkiego co lokalne, wybrałem markę *made in Belarus* Krynica, (co na nasze tłumaczymy jako *źródło*.)

Siedzimy, pijemy, dyskutujemy o damsko-męskich stereotypach i różnicach nas dzielących, (temat-rzeka, idealny na produkowanie się przy dobrym piwie), nagle rozmowa zostaje przerwana przez dźwięk dzwonka telefonu Marysi.

- Dzwoni mój kolega, działający w opozycji. Pamiętasz? Mówiłam Ci o nim, a ty chciałeś zrobić z nim wywiad. Może być tu za pięć minut.

- Eee... No dobra!

Lajtowa atmosfera, piwko dzierzymy w dłoni, przyglądamy się leniwie przecinającym taflę wody kaczkom, a tu za pięć minut spotkam się w cztery oczy z kimś, kto uczestniczy w walce z ostatnią dyktaturą w Europie. Szybko, ale bez paniki, zgrabnie ukrywając kompletny brak profesjonalizmu, układam kilka pytań. Zdążyłem w samą porę, bo kiedy tylko skończyłem redagować *last question*, na pokład wkroczył osobnik, którego widok bardzo

ucieszył Maszę (ros. zdrobnienie od Marysia). Ubrany na czarno, w głęboko nasuniętej na czoło czapce baseball'ówce, uszach zatkanych słuchawkami, sprawiał wrażenie człowieka, który za wszelką cenę pragnie pozostać *incognito*.

Jednak pierwsze, mroczne wrażenie zostało zatarte już po kilku pytaniach i wymianie zdań, kiedy już siedział przede mną człowiek ostrzyżony na rekruta, bardzo przyjaźnie nastawiony i charakteryzujący się niezwykle szczerym i sympatycznym uśmiechem. Niestety, temat wywiadu zabawny nie był, bo Wojna bardzo dużo opowiedział nam o łamaniu praw człowieka na Białorusi, o zapaści ekonomiczno-gospodarczej i totalitaryzmie. Nasz znajomy wiedział doskonale, o czym mówi, bo w czasie wyborów prezydenckich (których wyniki, nota bene, zostały sfalszowane) siedział w więzieniu właśnie za przekonania polityczne. Słowem, panują tu wciąż reguły, wedle zasady cyrankiewiczowskiej: *kto podniesie rękę na władzę ludową niech wie, że władza ludowa*

mu tę odrąbie.

Na koniec rozmowy, którą w całości tłumaczyła Marysia, tzn. w moją stronę, gdyż Wojna rozumiał po polsku (rok studiował na Uniwersytecie Wrocławskim), zostajemy obdarowani opożycyjnymi vlepkami popierającymi UE oraz opaskami na rękę w kolorze biało-czerwono-białym, z wyrytym, wiele mówiącym, sloganem *Za swabodu*, (za wolność).

Żegnamy się już późnym wieczorem z Wojną na skrzyżowaniu, którego asfalt błyszczy w świetle latarni i znikamy w ciemnej bramie prowadzącej do mojego tymczasowego mieszkania.

Drugiego dnia szary i mroźny ale rześki świt przywitał nas na ulicach półpiącego jeszcze Brześcia. Miejskie poranki na Polesiu nie różnią się wcale od tych polskich. Autobusy, przystanki pełne ludzi, pośpiech, pierwsze papierosy, zapach kawy dobiegający z parterowych otwartych okien, przymknięte oczy, ziewanie. Powodem, dla którego tak wcześnie z Marysią zaczęliśmy funkcjonować, było



spotkanie z panią Ireną, żoną Edwarda Kufko, znanego malarza polskiego pochodzenia. Pan Edward był więźniem zarówno w obozie nazistowskich Niemiec, jak i komunistycznego Związku Radzieckiego. Przeżycia związane z zarówno hitlerowskim Auschwitz jak i stalino-wskim Gułagiem odzwierciedlił w swoich licznych obrazach, uzyskując aprobatę ze strony krytyków, czego efektem były liczne wystawy jego prac. Większość jego obrazów do dziś figuruje na listach m.in. amerykańskich galerii. Marysia, która opracowuje portfolio artysty, uzyskała od żony nieżyjącego już pana Kufko mnóstwo materiałów: zdjęć, folderów z obrazami, notatek prasowych, a także jego własne wspomnienia z lat niewoli, opisane własnoręcznie. Prócz tego, moja pani tłumacz przeprowadziła wywiad z panią Ireną, mieszkanką małego, stylowego domku o wystroju wnętrza charakterystycznym dla sfer inteligenckich. Sama uczyła kilkanaście lat w szkole gry na fortepianie.

Oczywiście i tu nie obyło się bez wypróbowania regionalnego specjału, gdyż w ramach gościnności pani Irena poczęstowała nas *rokitnikiem* - sokiem wyglądem i konsystencją przypominającym karotkę. *Rokitnik* wytwarzany jest z owoców drzewa, które rośnie tuż za domem naszej rozmówczyni w sadzie, a cały misterny proces tworzenia to nic innego jak miażdżenie małych, pomarańczowych jagód i dodawanie do nich cukru. Właśnie tak się to robi na wschodzie.

Opuszczając progi artystycznego domu państwa Kufko z dwiema teczkami materiałów skierowaliśmy swe kroki w kierunku konsulatu, gdzie Marysia miała odebrać swój paszport z nową wizą. Praktycznie w sąsiedztwie urzędu z białoczerwoną flagą znajdował się miejski targ, we wnętrzu okrągłej budowli, przypominającej nasz sejm przy ul. Wiejskiej w wydaniu mini. Wewnątrz gwar, tłum i ciągły ruch. Mnóstwo stoisk, asortyment obejmuje praktycznie wszystko: wyroby nabiałowe, ryby, słodczyce, wynalazki kulinarne, paczkowane mięso. Jeżeli chodzi o handlarzy, to mamy ich całą gamę. Od *babuszek* sprzedających dosło-

wnie po dwa kwiatki, aż do właścicieli wąskich, ale pękających w szwach od towaru budek z całym zestawem batonów, chipsów, napojów itp. Tak prezentowała się pierwsza część zadaszonego bazaru. W części drugiej, zdrowe baby przy kości, z włosami ufarbowanymi na paletę barw, od różowego, poprzez fiolet, aż do dzikiego blond, sprzedawały na ladach świeże mięso. *Warunki sanitarne?* A szto to takiego? Surowa wołowina i wieprzowina leżą na ladach bez żadnego okrycia, tak, że każdy może ich dotknąć. Zaś białoruskie baby bez pardonowo walczą z zamrożonym mięsem ze świni i krów za pomocą noży i tasaków, dokonując krwawej operacji podziału mięsa na oczach widza, (*pardon*, klienta). Jednak ja i moja towarzyszka od ofiar tegoż widowiska preferowaliśmy bułeczki z powidłami i kapustą (na Boga, oczywiście oddzielnie!) oraz dynię z targu owocowo-warzywnego, stanowiącego trzecią część brzeskiego bazaru.

W tym właśnie miejscu nadszedł czas na wypoczynek i obiad w domu, podczas którego mieliśmy zregenerować siły przed wypadem numer 4. Już start był sam w sobie ciekawy, ponieważ Masza zarządziła, że do naszego celu dotrzemy trolejbusem, środkiem komunikacji miejskiej, niefunkcjonującym już w Warszawie. W Polsce *autobusy na szynach* widziałem jedynie w Gdyni i Lublinie, ale tą tramwajowo-autobusową hybrydą, ledwo co trzymającą się zresztą w kupie, miałem okazję jechać pierwszy raz w życiu. Nasz przystanek na tej trasie stanowił cmentarz prawosławny. Ot, cmentarz jak cmentarz, co może być ciekawego w galerii płyt nagrobnych? A otóż może być i to nie tylko ciekawie, ale nawet wesoło. Zwariowałem? Może, ale jak inaczej określić cmentarz, gdzie ponad połowa nagrobków jest koloru jaskrawo niebieskiego, gdzieś około 1/5 płyt cechuje się seledynową barwą, a i nie brakuje tablic nagrobnych pomalowanych na żółto i to z mocną siłą oddziaływania tegoż właśnie żółtego. Ta różnorodność kolorystyczna to druga rzecz, która oprócz charakterystycznego przecięcia krzyży, różniła to miejsce pochówku od naszych polskich cmentarzy. Tu też było mi dane zauważyć

zjawisko, o którym, owszem, słyszałem, ale nigdy nie byłem świadkiem takiego zdarzenia. W czasie, gdy my z Marysią pochłonęliśmy do reszty sztuką fotografii, w niedalekiej odległości od nas, na jednym ze starszych grobów, usiadło sobie trzech panów. Nie zdążyłem im się nawet dokładnie przyjrzeć, kiedy oni już rozlewali wódkę do plastikowych kubków i przygotowywali popitę. Może pili po prostu w towarzystwie koleżki, który odszedł na tamten świat? *Cóż, lubisz, to się bawisz. I finito* w tym temacie.

Popołudnie spędziliśmy w trybie typowo spacerowym. Zajrzeliśmy na cmentarz *Puszcziński*, gdzie leżą głównie Polacy, (należy pamiętać, że Brześć był kiedyś polskim miastem, mimo że teraz nosi nazwę Litewski i leży na Białorusi). Miejsce to do niedawna było połknięte przez mgłę czasu, jak większość tutejszych rzeczy związanych z Polską (choćby już wspomniany cmentarz garnizonowy), bo rządzący robią wszystko, by zapomniano polską historię tych miejsc. Tylko dzięki staraniom lokalnych polskich organizacji te tereny są doprowadzane systematycznie do stanu używalności.

Była już mowa o *coca-coli wschodu*, a co z fast-food'em? Bo wiedzieć wam trzeba, że na całej Białorusi McDonalds jest tylko jeden i to w stolicy Mińsku. Na wschodzie rolę hot-dogów i hamburgerów pełnią *bliny*. Pod tą nazwą kryją się duże, okrągłe naleśniki, w które zawijane są wszelakie rzeczy, zależnie od potrzeb i wymogów klienta. Sami wybieramy składniki, których obecność życzymy sobie we wnętrzu zawiniętego naleśnika. Oczywiście, cały posiłek przygotowany jest na gorąco. Muszę się jednak przyznać w tym momencie, że co do samych składników, już tak bardzo nie eksperymentowałem, ponieważ zażyczyłem sobie blina z zapiekany m serem i szynką. Masza, jako ta odważniejsza i prawie że tutejsza, zamówiła bardziej wymyślny zestaw, który zresztą równie kombinacyjnie zmieniła przy następnej okazji, bo trzeba zaznaczyć, że to nie był jedyny raz, kiedy skorzystaliśmy z tego ulicznego dobrodziejstwa Białorusi.

Marysia wyznaje ideologię, że głodny facet, to

zły facet. Zgodnie z tą tezą, po uzupełnieniu luki w żołądku sytym i smacznym blinem, byłem odwrotnością *bad mena*. W związku z tym, pełen energii i zapału, zgłosiłem projekt odwiedzenia najlepiej prezentującej się cerkwi w Brześciu. Pomyśl ten moja pani tłumacz poparła i z chęcią mnie zaprowadziła do stóp istnej wizytówki architektonicznego stylu charakterystycznego dla prawosławnych świątyń. Złote ornamenty, pękate kopuły, szpiczaste wieżyczki; ot, cerkiew z definicji. Tu należy dodać, że w samym Brześciu działa sześć czy siedem takich świątyń, i wszystkie one różnią się od siebie stylem, jeżeli nie z zewnątrz to w środku, a dwa główne kierunki to wyposażenie ascetyczne i bogate. Cerkiew, którą odwiedziliśmy, zdecydowanie reprezentowała ten drugi i miłszy dla obiektywu mojego aparatu. U nas, w Warszawie, działają tylko dwa prawosławne kościoły, odpowiednio dla każdego z brzegów Wisły. Praska świątynia jest przykładem bogatego stylu, ale trzeba przyznać, że nawet w połowie nie jest tak wyposażona jak brzeskie miejsce modlitwy.

Uważam, że zdecydowanie popsuto by nam zabawę, gdybyśmy nie odwiedzili tego miejsca w trakcie jakiegoś nabożeństwa, i to z kategorii tych gorszych. Dlaczego gorszych? No cóż, łatwo się domyślić, że w środę po południu, przy pięknej pogodzie, cerkiew odwiedzana jest w 90% przez *babuszki*, które reprezentują resort wiekowy zdecydowanie 65+, a i tak obawiam się, że właśnie dokonałem zabiegu odmładzającego. No, ale czymże jest tabun jedwabnych chustek, dla człowieka, który pochodzi z kraju moherowych beretów. Bułka z masłem. Wkraczamy więc dziarsko do wnętrza, gdzie od razu bije po oczach złoty wystrój (złoto w cerkiewnej symbolice oznacza niebo), a przede wszystkim piękny ołtarz. Pop w czasie nabożeństwa stoi tyłem do wiernych, więc z brodaczem o wysokiej czapie nie było w ogóle problemu. Wyciągam dyskretnie maszynę i z wysokości brzucha staram się celować obiektywem w to, co wydaje się być najciekawsze. Niestety, w pewnym momencie zostajemy zdemaskowani przez oddział

ławkowy i w naszym kierunku automatycznie zostaje wysłany posłaniec *jedwabnych*. Ale nie boję się, bo mała, korpulentna pani jest wyraźnie pozytywnie nastawiona, na co wskazują małe, błyszczące oczy i szczerzy uśmiech wymalowany na pomarszczonej twarzy. Wygłasza ona nam wykład, który Marysia przetłumaczy mi dopiero później. Z tłumaczenia wynika, że z ust dewotki padły słowa *I tak już nie uzyskacie zbawienia, ale możecie wyłącznie obserwować, nic więcej*. Po reprimendzie uśmiecham się przepraszająco, rzucam ciche *Izwienici* i chowam powód zamieszania do futerału. Zamieszania, bo okazało się, że posłaniec nie jest jedynym działaniem, jakie nas spotyka ze strony krwiożerczego oddziału. W czasie naszego odwrotu, z boku kościoła wypada prosto na nas sędziwy, ale krzepki staruszek z okrzykiem *kto tu fotografuje* (albo jakoś tak, ale zachowałem sens wypowiedzi), a towarzyszą mu dwie jedwabne chusty konfidentki. W sumie mogę przyznać, że struktury kółek różańcowych, będące tak wyśmiewanymi, są silne nie tylko w Polsce, ale i w Europie. Mają duchowych przywódców, charakterystyczne mundury i nakrycia głowy, a wszelkie działania opierają na silnej ideologii, bo z religią wielu próbowało walczyć i historia pokazuje, że jest to jednak zdecydowanie nieopłacalne. Babcie się organizują. Jak wojsko. To robi się niebezpieczne.

Dzień trzeci miał być tym, który mieliśmy spędzić poza granicami Brześcia. Ponieważ zobaczyłem już wszystko to, co najciekawsze w przygranicznym mieście, mogliśmy się wybrać do Kobrynia, o wiele mniejszego miasteczka zlokalizowanego o godzinę drogi pociągiem od naszej bazy. Brześć jest trochę innym miastem niż reszta białoruskich aglomeracji. Poziom życia jest tu wyższy ze względu na przygraniczne położenie. Ja chciałem zobaczyć, jak wygląda życie tych, którzy muszą radzić sobie inaczej niż biorąc udział w biznesie przemysłowym. Po samym mieście miała nas oprowadzać Natalia, koleżanka Marysi pochodząca z Kobrynia, ale studiująca w Mińsku. Na szczęście dla nas spędzała właśnie ostatnie dni w tym miasteczku i jeżeli chodzi o *tourism* nie



byliśmy zdani sami na siebie.

Kobryń jest miastem liczącym 50 tysięcy mieszkańców, co czyni je cztery razy mniejszą miejscowością niż Brześć. Nieoficjalnie jest stolicą biznesu narkotycznego na Białorusi i na działkach pod Kobryniem znajdują się duże plantacje marihuany. Wpływ na to ma na pewno lokalizacja Kobrynia, który leży przy głównej trasie: Berlin-Moskwa, a jednocześnie trochę na uboczu (z dala od granicy i dużych miast), co sprzyja takim interesom. Miejscowość, w której się znaleźliśmy, cieszy się również sławą jednego z największych skupisk żydowskich. Kobryń zawsze należał do *ewreji*, co doskonale odzwierciedla architektura miasta. Budynkiem, który mógłby służyć za symbol tego, z czego słynie miasto, jest niszcząca, pochodząca z XIX wieku synagoga. Kiedyś świątynia Żydów, dziś jako nieczynny budynek (co ciekawe, na fasadzie widnieje tablica, wg której synagogę zakwalifikowano jako dobro narodowe i oficjalnie opiekę nad nią sprawuje państwo), służy miejscowym ćpunom za miejsce spotkań i noclegownia. Udokumentowały to dobitnie liczne strzykawki, folijki, koce i odór fekalii otaczający świątynię od zewnątrz. Kiedyś mieszkał tam Bóg, a dzisiaj?

Po tym nieciekawym doświadczeniu nadszedł czas na drugie śniadanie, które zaoferowała nam Natalia w swoim domu. W programie kawa, ciastka, no i nieśmiertelne bliny, tym razem na słodko, podawane z mlekiem. Pycha! Natalia mieszka na przedmieściach Kobrynia, w skupisku domków je-

dnorodzinnych. Jednak tu zorientowałem się, jak ogromna przepaść dzieli pojęcie *przedmieścia* w Polsce, od tego co znajduje się u naszych wschodnich sąsiadów. Nieliczne domy w dobrym stanie, reszta to małe chatki z zapadniętymi dachami, zbudowane z drewna. Trzy, może cztery drogi wyłożone betonem, resztę można zaliczyć w poczet dróg gruntowych. Co jakiś czas między chatkami leniwie przetoczy się odpowiednik naszego PKS-u, a już rzadziej jakaś Łada. Prym niepodzielnie wiodą rowery. Krajobraz żywcem wyjęty z polskiej wsi, oddalonej o dziesiątki kilometrów od jakiegokolwiek zurbanizowanej osady? Nie, moi drodzy, to było dziesięć minut piechotą od ścisłego centrum.

Kiedy już słodkości zaoferowane przez gospodynię zostały przez nas dosłownie wchłonięte, nadszedł czas na spacer po wspomnianym wyżej centrum. Pierwsze zdziwienie z gęstym ruchem wzdłuż alejek ze sklepami, bez rewelacji w porównaniu z Brześciem. Obowiązkowo pomnik wodza rewolucji w samym centrum Kobrynia, główne ulice nazwane na cześć ojców rewolucji.

Troszeczkę na uboczu duży, soczysty zielony park im. Aleksandra Suworowa. Suworow zasłużył sobie w samym Kobryniu na dwa pomniki, park oraz ulicę, którą mu też poświęcono w kilku innych miastach na Białorusi. Taką popularność zawdzięcza sobie tym, że był kiedyś właścicielem miasteczka, zaś w całym kraju jest znany ze swoich militarnych sukcesów. Jednak utalentowanych dowódców, takich jak on, było w Rosji wielu. Czym więc zasłużył sobie Suworow na wyróżnienie? Otóż w 1794 roku dokonał on wraz ze swym wojskiem rzezi warszawskiej Pragi, zadając w ten sposób ostateczny cios Insurekcji Kościuszkowskiej. Wszyscy ci, którzy są źle wspominani przez Polaków, zasługują tutaj na szacunek. Ci, którzy pamiętają o polskich korzeniach Polesia (bo tak nazywa się region, w którym leżą Brześć oraz Kobryń), są zobowiązani do milczenia. Ci, którzy nie milczą, (choćby polskie stowarzyszenia), mają kłopoty.

Charakterystyczną rzeczą dla miast byłego ZSRR, wartą podkreślenia, jest obecność w każdej większej miejscowości mini wesołego miasteczka. Duże karuzele, huśtawki, samochodziki, te atrakcje dla najmłodszych są obowiązkowym punktem w każdym głównym parku w mieście. Najczęściej są one tworem z czasów, gdy państwa takie jak Białoruś czy Ukraina nie były samodzielnymi organizmami, lecz republikami Związku Radzieckiego. Rdza pożera wszystkie urządzenia mające zapewnić radość dzieciom, a rysunki m.in. nieśmiertelnych *Wilka i Zająca* wyraźnie okres świetności mają już za sobą. Wszystko zgrzyta, piszczy i wygląda, jakby miało się za moment rozpaść. Trudno wyobrazić sobie tutaj bawiącą się dzieciarnię. Prędzej miejscową ludność sączącą piwko w cieniu potężnych drzew, których gałęzie wiszą nad ławeczkami i placem zabaw. W drugiej części parku, za wysokim ogrodzeniem swobodnie chodziła sobie parka paw. Zaciekawieni podeszliśmy bliżej, żeby zobaczyć wychudzone ptaki z powyrywanyimi piórami, i co dla tych ptaków najgorsze z wybrakowanym, marnie prezentującym się ogonem. W opowieściach Natalii i Maszy fundamentalnym słowem jest *kiedyś*. Ten park, pomnik Lenina, tak hołubiony zresztą, gdyż jak wiadomo *Lenin jest wiecznie żywy*, to wszystko sprawia, że aż słychać krzyk toczący się z każdego kąta sztucznie czystych ulic: dwadzieścia lat temu było lepiej! W Kobryniu doskonale widać, że transformacja z początku lat 90 nie wyszła Białorusinom na dobre. Społeczeństwo przyzwyczajone do gospodarki planowej rzucono na głęboki ocean krwiożerczego kapitalizmu, a nie udostępniono nawet koła ratunkowego, jakim jest idąca w parze z liberalną polityką gospodarczą wolność (słowa, zgromadzeń itp.). Słowem, ustrój, jaki panuje aktualnie u naszych wschodnich sąsiadów, można określić jako totalitarny kapitalizm, co jest oksymoronem, ale istnieje i sądząc po planach Łukaszenki nie wygląda na to, żeby przestał istnieć. Przy tym najgorszym z możliwych połączeń nie dziwne jest, że mieszkańcy Białorusi z sentymentem



wspominają czasy, gdy byli obywatelami ZSRR i chętnie powróciliby do poprzedniego ustroju. Czemu tu się jednak dziwić, skoro i u nas ludzie tęsknią za Gierkiem i chcą dziś nazywać szkoły jego imieniem?

Z tym właśnie przeświadczeniem spacerowaliśmy głównymi ulicami Kobrynia, które jest prototypem moich wyobrażeń o innych miastach Republiki Białoruskiej. Brześć jest uprzywilejowany, ponieważ posiada wentyl w postaci przejścia granicznego. To pozwala wypuścić trochę powietrza z tej pogrążającej się w ekonomicznym chaosie dętki, mogącej lada chwila pęknąć. Jeżeli chodzi o resztę kraju, to wiem, że sytuacja wygląda podobnie jak w Rzeczypospolitej, czym dalej na wschód, tym gorzej. Przecież nawet u nas, w kraju należącym do UE i NATO, istnieje podział na Polskę A i Polskę B. Ale na realia białoruskie Polska B i tak jest bogata.

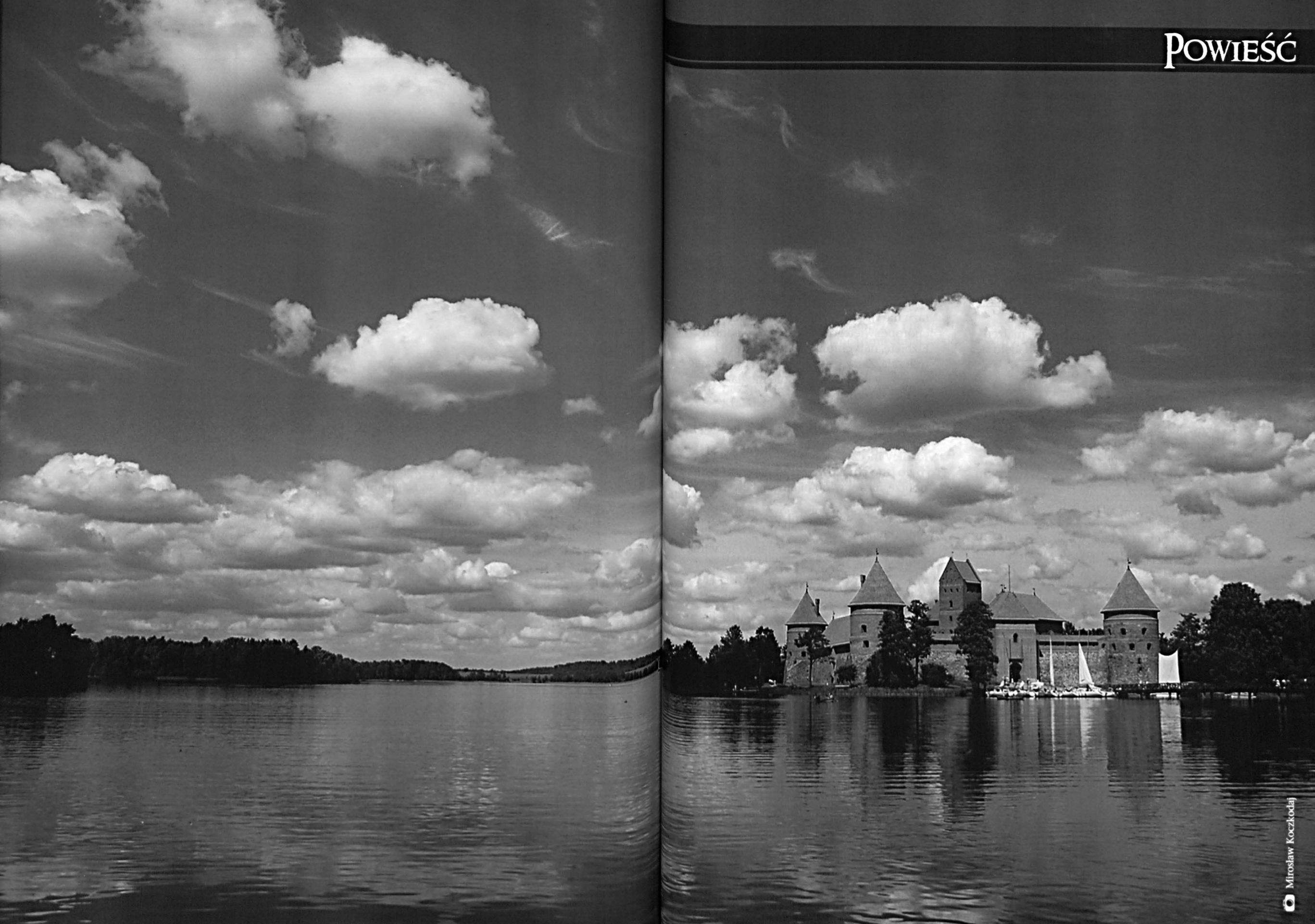
Popołudniu nadszedł już czas, by opuścić Kobryń, więc koło godziny 16 zostaliśmy oddelegowani do Brześcia z miejscowego dworca autobusowego. Będąc z powrotem

w *naszym* mieście pozwoliliśmy sobie na spacer, ponownie odwiedzając Twierdzę Brzeską w świetle rudego, zachodzącego słońca. To był ostatni akord mojej podróży po Republice Białorusi, ponieważ następnego dnia rano, z powodu upływu terminu ważności wizy, musiałem opuścić ten dziwny, ale na pewno ciekawy kraj, choć biedny i czekający na swoją rewolucję. Pozostaje mi zadedykować Białorusinom piosenkę zespołu Tilt *Jeszcze będzie pięknie, jeszcze będzie normalnie*, którą śpiewano u nas za komuny.

A relacje tę dedykuję Marysi i z tego miejsca pragnę Jej gorąco podziękować za wszystko, bo bez pomocy, jakiej mi udzieliła, niechybnie bym w tym *innym świecie* zginął!



 Igor Sokołowski





ANDRZEJ WIELECKI

Były to czasy kiedy w Polsce i na Litwie rządy sprawował Zygmunt Stary, a właściwie jego żona królowa Bona Sforza. Para królewska miała wprawdzie kilkoro dzieci, lecz tylko jednego syna Zygmunta Augusta, którego na dworze wawelskim powszechnie nazywano Augustem. Królowa Bona, która była z pochodzenia Włoszką i sympatyzowała z Francją, chciała ożenić go z Francuzką, ale na ogół uległy jej mąż Zygmunt Stary tym razem okazał się nieustępliwy i dopiął swego. Wybranką następcy tronu została jego bliska krewna, Elżbieta Habsburżanka. Niestety, małżeństwo od samego początku nie układało się dobrze.

I

Lipiec 1543 roku nie był szczęśliwy dla Polaków, a zwłaszcza dla Małopolan. Szalejąca zaraza pochłaniała w samym tylko Krakowie nawet do pięćdziesięciu osób dziennie. Mimo to, na dworze wawelskim wszyscy jeszcze żyli niedawnym weselem następcy tronu i wciąż panował świąteczny nastrój. August, który miał dopiero dwadzieścia trzy lata był, jak mawiano, na schwał przystojnym młodzieńcem, w którym nietrudno było się zakochać. Tym bardziej, że on sam był nad wyraz kochliwy i rozmiłowany we wdziękach niewieścich. Zaś jego żona, siedemnastoletnia Elżbieta, chociaż była ładną blondynką, to wrodzona nieśmiałość i chorowitość nie przyciągały do niej młodego małżonka.

- Następca tronu właśnie spożywał obiad ze swoją małżonką, która ostatnio trochę niedomagała, a i tego dnia nie czuła się najlepiej. August bez trudu zauważył jej pobladłe oblicze i od razu zapytał.
- Co wam, pani? - zwrócił się do niej z przeciwnej strony stołu.
 - Nic, panie, nic... Jeno niewyspana jestem.
 - Przecież nie byłem u was wczoraj wieczorem rzeźł jej złośliwie, jako że i sam nie był wyspany po nocnej wizycie u kochanki Diany di Cordona.
 - Lepiej panie... - tu zawahała się na chwilę - wolałabym byście jednak byli.

PRZECIWKO WSZYSTKIM

- Byłem u was przedwczoraj, jakoście mnie prosili.
- Elżbieta chwilę milczała po ostrej odpowiedzi męża, po czym niepewnie i z przygnębieniem znów przemówiła.
- I dziękuję wam, panie, za to, jako i za to, że zechcieliście dziś zjeść obiad ze mną, a nie z waszą panią matką, królową Boną.
- August nic nie odrzekł i dłuższy czas jedli w milczeniu. Wreszcie okazał łaskę Elżbiecie i zaczął rozmowę.
- Od paru lat pisaliście listy do mnie, ale ani razu nie wspomnieliście, że bolejecie na chorobę świętego Wita. Słowa te poraziły Elżbietę, natychmiast spuściła głowę i milczała. Zaraz jednak zaczął nią wstrząsać nerwowo dreszcz, tak że nie mogła wyraźnie mówić.
- Jeestem... zdro... wa, panie!
- To na miły Bóg! - wrzasnął August - Jak mi wytłumaczycie to, że przedwczoraj w łóżnicy męczyła was padaczka?
- To było jeno chwilowe, wczoraj już mi było dobrze, nawet wino piłam - zapewniała Elżbieta.
- Czemuż więc jesteście, pani, dziś tacy bladzi? - nie ustępował.
- Ja zdrowieję. Już mi lepiej... - i napiła się wina, aby pokazać, że jest zdrowa.
- Wybaczcie, - mówił stanowczo August - ale ani dziś, ani jutro wieczorem was nie odwiedzę.
- Po tych słowach Elżbieta zakrztusiła się, ale szybko opanowała kaszel i powiedziała.
- To nic, panie, do soboty będę już zdrowa, byleście jeno przyszli.
- Nie wiem. A póki co, to dziękuję wam, pani, za towarzystwo. Wybaczcie, alem stracił chęć na jedzenie. - I pokłoniwszy się nieco, wyszedł. Elżbieta zaś zostawszy sama, rozplakała się. Wkrótce obok niej pojawiła się jej zaufana dwórka, Katarzyna Holzelin.
- Pani! Nie płaczcie, będzie dobrze, trzeba jeno być cierpliwym - pocieszała Elżbietę.
- Przecie jestem cierpliwa - odparła młoda królowa i szlochając tuliła się do Katarzyny.
- Tymczasem August nerwowo spacerował po kruzgankach. Dręczyła go myśl, że ani dziś,

ani tak szybko nie spotka się z Dianą. Albowiem Zygmunt Stary wysłał ją z częścią dworu do Niepołomic, gdzie też wkrótce mieli się przenieść pozostali.

- O czym, panie, tak dumacie? Zapewne o małżonce? - zagadnął go błazen królewski Stańczyk, który od jakiegoś czasu obserwował młodego Jagiellona z ukrycia.
- Zamilcz błaznie!
- Zatem nie - i siedł parę kroków za Augustem, aż w końcu ponownie zapytał. - Jeśli nie myślicie o królowej Elżbiecie, to zapewne dumacie o Dianie, o Dianie...
- Idź precz! - ale zaraz dodał. - Prawda to, że w Krakowie i okolicy straszna zaraza?
- O tak, mówi się, że lada dzień przenosimy się do Niepołomic.
- To już wiem, ale to nawet dobrze - i na myśl, że wkrótce ujrzy Dianę uśmiechnął się do siebie.
- Jeno, że gdy my pojedziem do Niepołomic, to nasz pan wyśle Dianę z powrotem do Krakowa - rzekł błazen jakby odgadując myśli Augusta. Po czym złapał się za głowę i zawołał z udaną rozpaczą. - A tutaj zaraza!
- Przestań pleść! - zezłościł się August, ale błazen nie słuchał.
- Wasza królewska mość smutny, a cały dwór cieszy się wielce.
- Chyba na twój widok - dociał mu młody król.
- Jest wiele prawdy w powiedzeniu, że za starym biegacie, a młodym pomiatacie.
- Nie twoja to sprawa i zejdź mi z oczu! - rozkazał już na dobre zdenerwowany.
- Czy to ja wam, panie, stoję przed oczyma?
- Błaznie! Chcesz li czego, że mnie tak dręczysz?
- Chciałbym jeno rzec, iż oboje królestwo proszą was, panie, abyście raczyli przyjąć do nich, jako że kupcy znamienici przybyli na Wawel.
- I teraz mi to dopiero mówisz? Zatem chodźmy!

W jednej z sal wawelskich panował znaczny tłok, jako że cały dwór zachwycił się tym, co widział. A i rzeczywiście było co oglądać, gdyż wpuszczeni do zamku, mimo zarazy, kupcy żydowscy wystawili na sprzedaż dużo biżuterii, przedmioty ze złota oraz najróżniejsze stroje i materiały. Król Zygmunt Stary wraz z małżonką, kró-

lową Boną, siedzieli pośrodku sali na obitych czerwonym aksamitem krzesłach. Obok starego króla usiadła Elżbieta, która nieśmiało spoglądała na zgromadzone przed nimi kosztowności. Zaś obrażony August zajął miejsce przy swojej matce, czyniąc publicznie afront swej żonie, a przy tym robiąc jej kolejną przykrość.

- Doprawdy, piękne rzeczy - pochwaliła Bona, która pomimo tego, że dobiegała już pięćdziesiątki, wciąż lubowała się w pięknych i modnych szatach. - Ta zielona suknia będzie moja. Ile chcesz za nią?
- Ile chcieć, a ile wziąć, trudna sprawa - medytował Żyd.
- Mów prędko!
- Dziesięć dukatów, pani - rzekł i skłonił się głęboko.
- Chyba, że do tej sukni dołożysz swój złoty pierścień - zaproponowała ku uciechu dworu królowa.
- Miłościwa pani, wszystko drożeje - targował się Żyd.
- Nie dam więcej niż sześć!
- Ależ pani, mnie by wzięli na pośmiewisko, że tak tanio sprzedaje - i uśmiechając się przymilnie do Bony dodał - Wasza królewska mość raczy żartować?
- Jak zażartuję, to nie wjedziesz już nigdy do Krakowa - rzekła stanowczo.
- Kupiectwo to podły fach, ale niech będzie - rzekł z rezygnacją, ale zaraz żywo zaznaczył. - Jeno, że insze rzeczy nie będą już dzisiaj tanieć.

Teraz włączył się do targów Zygmunt Stary, zwracając się z uśmiechem do synowej. - A ty moje dziecko, co sobie upodobałaś? Elżbieta nieśmiało spojrzała na perły, które





📷 Tomasz Młynarczyk

- leżały na wprost niej. Widząc jednak wrogie spojrzenie Bony, nie odważyła się powiedzieć, o co jej chodzi.
- Już wiem - rzekł Zygmunt Stary - zapewne to te perły. Podajcie mi je - zwrócił się do stojącego obok dworzanina, po czym podał je Elżbiecie. - Podobają się wam?
 - Tak - odrzekła cicho.
 - Zatem są wasze - oznajmił jej wesoło.
 - Dziękuję, panie! - i zrywając się z krzesła ucałowała w podzięcie rękę teścia.
 - No, nie trzeba, usiądźcie - nakazał jej dobrotnie, wielce zadowolony, że sprawił jej taką radość. Teraz dopiero zwrócił się do kupca. - A wiewa to warte?
 - Dziesięć dukatów, ale, że to dla nowej pani, to jeno osiem - zaciągnął po żydowsku, patrząc na Bonę, na twarzy której malowała się widoczna złość.
 - Doprawdy, ten pierścień bardzo mi się upodobał - włączył się wreszcie August. - Ile chcecie za niego?
 - To wielce drogi pierścień panie, wart dziesięć dukatów.
 - U was wszystko chyba jest po dziesięć - zażartował młody król ku radości zebranych. Zaraz jednak spowaźniał i zwrócił się do Bony - Pani matko, czy zechcecie zapłacić za ten pierścień dla mnie?
 - Weź i zapłać z posagu twojej żony - rzekła ze złością i wyszła z sali. Zapanowała chwilowa cisza, w czasie której August zmierzył surowym wzrokiem Elżbietę i wyszedł za matką.
 - Posag jest w drodze... zaczęła niepewnie Elżbieta - spoglądając smutno na teścia.
 - Nie zamartwiaj się moje dziecko. Ja za pierwszym ożenkiem czekałem na posag

pół roku. Zaraz też powstał i szedł wolno do drzwi. Wnet się odwrócił i przemówił do stojącego w pobliżu dworzanina Lasoty.

- Poproście Augusta, aby zaraz przyszedł do mnie.

- Stary król siedział przy swoim biurku i wpatrywał się w niewielki portrecik swojej pierwszej żony Barbary Zapolya, gdy pojawił się August.
- Wzywajcie mnie miłościwy ojcze?
 - Tak. Należ mi wina.
 - Służba! - krzyknął August i w tej chwili pojawił się sługa.
 - Nie jesteście potrzebny, wyjdź - rozkazał stary król i zmieszany sługa natychmiast spełnił polecenie. - Nie należesz mi wina? - teraz August spełnił prośbę ojca. - Należ też i sobie.
 - Dziękuję wam ojcze, ale francuskiego wina nie pijam.
 - Butny jesteście, młody i butny. Ale życie cię złamie... Teraz się zastanawiam, czy dobrze uczyniłem koronując cię na króla, bo robisz się za bardzo zuchwały.
 - Wcale nie musieliście i tak bym ostatek królem - odrzekł hardo August.
 - No, nie wiadomo, bo tron polski jest elekcyjny, a szlachta nie za bardzo jest zadowolona z tego, jak prowadzisz życie.
 - Mogą sobie poszukać drugiego, mnie Litwy wystarczy.
 - Hardo mówisz, bo jesteście jedyny z rodu. Gdybyś miał tak jako i ja kilku braci, nie byłbyś taki pewny. - August milczał. - O co się boczysz? O to, że kazałem Dianę wysłać do Niepołomic? Nie godzi się byś się zadawał z tą Włoszką, która by mogła być nawet twą matką, bo taka jest stara. A do tego synu, jesteście od paru niedziel żonaty.
 - Elżbieta jest blada niczym mgła cmentarna - zadrwił August.
 - Oswoi się, to i wyczerwienie, a gdybyś ją częściej w łóżnicy odwiedzał, to by rychło i rumieńców nabrała. - Tu Zygmunt Stary zamyslił się, po czym rzekł z nagana w głosie. - Przyznaj, że nie podoba mi się, jak z nią postępujesz.
 - To moja rzecz.
 - Może i twoja, ale źle czynisz, że ją tak traktujesz, bo młoda i urodziwa. A to, że wystra-

- szona, to i nie dziwota, skoro twoja matka ją nienawidzi.
- To też moja wina?
 - Widzisz? - i pokazał mu portret swojej pierwszej żony Barbary Zapolya. - Była też wystraszona, kiedy przyjechała na Wawel... Potrzebowałem pieniędzy na różne sprawy i w złości zapytałem, czy jej posag Turcy zabrali, czy też może na Węgrzech doliczyć się nie mogą. W trzy niedziele później posag przyszedł. Wtedy tak bardzo żałowałem tych nierozważnych słów... - tu głos mu się załamał. - Nie minęło trzy lata jak mi umarła A, że nie było mnie przy jej śmierci, napisała mi w liście, że sprzedała wszystkie swe kosztowności po to, aby zapewnić naszym córkom chociaż niewielki posag, gdy będą się wydawały za mąż. - August w milczeniu patrzył na ojca, w którego oczach ukazały się teraz łzy. - Przypomniałem sobie te moje bezduszne słowa i tom sobie obiecał, że nim wydam choć jedną córkę za mąż, to w pierwszej kolejności przygotuję jej posag. - Tu Zygmunt Stary zaszlochał, po czym spojrzał na syna i rzekł - Pytam się ciebie, co ci winne to dziecko, że jej ojciec posagu nie wypłaca? A to ci rzeknę jeno, że Elżbieta chciała zamienić swoje perły na twój pierścień. Alem nie pozwolił!
 - Tegom nie wiedział - rzekł zaskoczony ofiarnością Elżbiety.
 - Kupiłem ci go za dziewięć dukatów, bo kupcy opuścili przez wzgląd na Elżbietę. - Stary król sięgnął teraz po puchar i zwilżył wargi. Patrzył przez chwilę na Augusta, po czym zmienił temat rozmowy. - Radbym się synu doczekać wnuka.
 - Jeno, że Elżbieta jest chora.
 - Wiem o tym, ale z tym można żyć i można mieć potomstwo.
 - Chyba, że wasza królewska mość się o to postara - wrócił do drwiącego tonu August.
 - Uparty głupcze! - zdenerwował się Zygmunt Stary - Wyjdź, bo na nic to nasze gadanie! August od razu powstał, skłonił się ojcu i wyszedł.
- Zaraz potem wrócił do siebie i siedząc przy stole, raz za razem zjadał migdały ze stojącego przed nim półmiska. Nagle drzwi do komnaty się otworzyły, a w nich stanęła królowa Bona. Energicznym ruchem zamknęła je za sobą i podeszła do syna.
- Nie jesteś synu zadowolony z żony? - zapytała z udaną troską.
 - Nie, pani matko.
 - Bo i cóż to za żona! Błada i chora! Żeby to jeszcze Francuzka, ale Habsburżanka? - skończyła z obrzydzeniem. Widząc jednak smutek na twarzy Augusta postanowiła go pocieszyć. - Nie upadaj na duchu Auguste, matka o tobie nie zapomniała! Będzie najlepiej, jak pojedziesz na Litwę.
 - Jakże to tak? pytał zaskoczony.
 - W Krakowie zaraza. Czas wyruszać do Niepołomic, bo tam bezpiecznie. Ty zaś synu pojedziesz na Litwę, ale bez tej kuropatwy.
 - Ale przecie król! Ojciec na to nie pozwoli. On tak bardzo polubił Elżbietę.
 - Już moja w tym głowa. W Krakowie zaraza, a nic się przecie nie stanie jak wyjedziesz na dwa, albo trzy miesiące na Litwę. Jest wiele spraw do osądzenia, a król przecie choruje nieco i nie może szybko udać się do Grodna. - Uradowany August rzucił się nóg Bony.
 - Dzięki, pani matko! Stokrotne wam dzięki! Jak ja wam się za to odplacę?
 - Jeszcze mi się odplacisz. A małżonkowi naszemu powiem, że jedziesz na Litwę, aby wszystko wziąć na przemyślenie.
 - Wyborna to myśl - odparł zadowolony.
 - Złota ci nie poskąpię synu. A ponadto jest do odebrania cały majątek po wojewodzie Gasztoldzie. W Gieranojnach przyjmą cię gościnnie. Wojewodzina trocka Barbara z Radziwiłłów wszystko mi zawdzięcza, zatem niczego ci nie odmówi.
 - Nie dziwota, pani matko, że jesteście królową kadził jej uśmiechnięty - skoro takie pomysły przychodzą wam do głowy.
 - Krew Sforzów - powiedziała z dumą. - Ale dosyć tego gadania, czas wydać dyspozycję i szykować się powoli, bo droga daleka. I uśmiechając się dodała - A Diana pojedzie zaraz za tobą.
 - Jak wam dziękować? - i uradowany objął matkę całując ją po rękach.
- Zaraz też nowina o wyjeździe młodego króla na Litwę, szybko rozeszła się po Wawelu i Krakowie.

cdn.



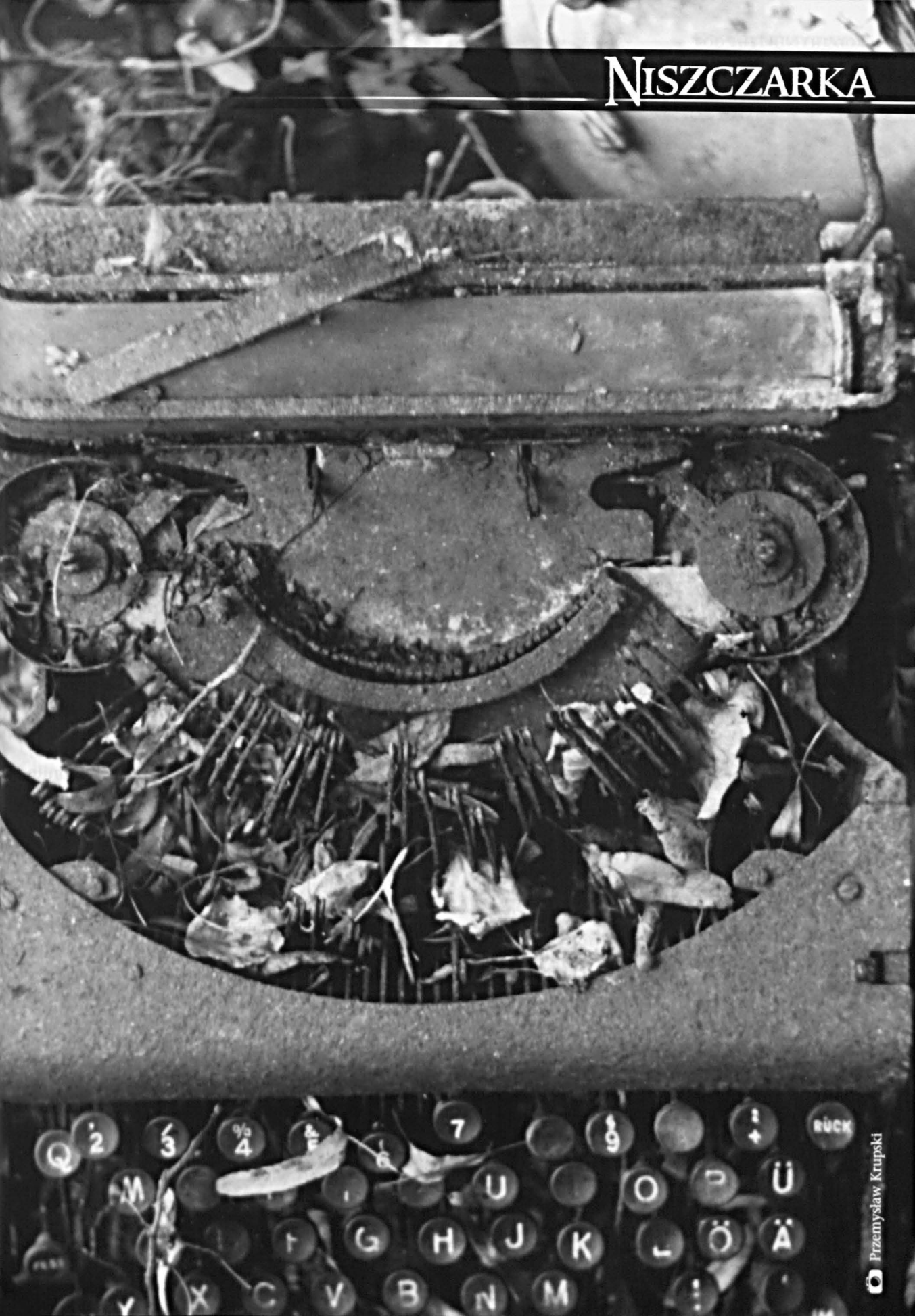


ANDRZEJ KITLIŃSKI

Nikt nie idzie...

Nikt nie idzie obok
 ani przed ani za.
 Ziemia zmienia wierzchnie okrycia
 przeglądając zawartość
 szafy
 swojej przybranej siostry
 natury.
 Niebo
 od lat ten sam korowód przebierańców
 ten sam karnawał barw.
 Obsada jak pierwszego dnia
 gdy zabłysnął klaps światła.
 Znam waszą poezję i prozę
 literaturę
 zaczerpniętą
 z biblioteki światła i cienia
 lecz trzymanie za rękę księżycą
 lub całowanie warg słońca
 nie zapełni miejsca
 na którym
 spodziewałem się znaleźć człowieka.
 Cóż po szyfrogramie drzew;
 kodowanych listach ptaków;
 narzeczach latarni
 wypełniających eter nocy
 kiedy dzielę się ich treścią
 sam ze sobą.
 Nikt nie idzie obok
 ani przed ani za.
 Czas chyba złożyć podpis
 na liście wymierających
 osobliwości życiowych.

NISZCZARKA





PAWEŁ GŁOWNIAK

Krawędź była stroma, poniżej długa droga w dół, jakaś dziwna siła ciągnęła tam. W głowie wirowały myśli, nieskładne i bezsensowne – wystarczy jeden krok – przemknęło. Młoda dziewczyna rozejrzała się dookoła, nie było nikogo. Jak zwykle sama – kolejna myśl uderzyła w tył głowy z tępyim bólem. Jeden krok – jakże to kusilo. Dziewczyna kolejny raz rozejrzała się dookoła, most był pusty, stary, zniszczony i grożący zawaleniem, kilkanaście metrów poniżej cicho szeptała stara rzeka, wydawało się jej, że powtarza: skocz, skocz, skocz. Na twarzy dziewczyny zamajaczył paskudny uśmiech, pełny drwiny i rozgoryczenia. Nawet mnie nie szukają – pomyślała. Powoli wychyliła się za krawędź, jasne włosy wysypały się jej na twarz.

- Czego tam szukasz? – usłyszała za sobą dziwny głos. Był spokojny i pewny siebie. Należał do chłopaka może w jej wieku, a może trochę starszego, ale na pewno nie miał więcej niż osiemnaście lat.
- Nie twoja sprawa – rzuciła pogardliwie
- Aha, ale zamierzasz skoczyć? – zaśmiał się – Bo jeżeli się tylko nad tym zastanawiasz to mogłabyś się odsunąć. Ja jestem tego pewny. – Na twarzy chłopaka pojawił się przerażający uśmiech, pełen szaleństwa i premedytacji.
- Kpisz sobie? – dziewczyna nawet nie spojrzała na niego.
- Serio mówię – chłopak wskoczył na krawędź – przychodzę tu już drugi miesiąc i dzisiaj już na pewno skoczę – zmierzył dziewczynę wzrokiem – Ty jeszcze nie jesteś na to gotowa – spojrzał w innym kierunku – coś cię jeszcze trzyma, przerabiałem to już nie raz. Każdego kolejnego wieczora przychodzę tu z jednym zamiarem i każdego kolejnego wieczora wracam do domu zły na siebie. Wiesz, jestem tchórzem, boję się śmierci, tego wielkiego potępienia jakie czeka samobójców, chociaż szczerze jestem ateistą.
- Po co mi to mówisz? – dziewczyna zapy-

DŁUGA DROGA W DÓŁ

tała z wyrzutem. W głowie przeleciała jej myśl: jak ten bezimienny człowiek śmie mi przeszkadzać, kim on jest?!

- Żebyś wiedziała – wbił w nią wzrok, miał piękne błękitne oczy, było w nich coś niesamowitego, coś co przerażało ale i przyciągało – dzisiejszego wieczora żadne z nas już nie skoczy, ale jutro bądź pojutrze usłyszysz że jakiś koleś strzelił samobóją, będę to pewnie ja – zaśmiał się – piękne niebo. Niebo rzeczywiście było piękne, czyste pełne świecących gwiazd, z wielkim górującym nad wszystkim księżycem.
- Która jest godzina? – zapytała dziewczyna.
- Coś po północy – odpowiedział krótko chłopak.
- Jak masz na imię? – dziewczyna uśmiechała się pytając.
- Naprawdę interesuje cię to?
- Tak, ja jestem Wiktoria, znajomi mówią mi Viki – uśmiech na twarzy dziewczyny poszerzył się, człowiek ten tak nie proszony w tej chwili dał jej to czego tak pragnęła nie była teraz sama.
- Adam – chłopak spojrzał na nią i też się uśmiechnął – A więc, Viki, co cię skłoniło, aby oglądać piękne nocne niebo w takim miejscu jak to?
- Nie wiem, stwierdziłam że to najlepsze rozwiązanie – dziewczyna spojrzała przed siebie, jej twarz spoważniała – mam wiele problemów, nie wiem jak sobie z nimi poradzić. Gdybym teraz skoczyła to pozbyłabym się wszystkich. Wiesz jak to jest być samotnym w tłumie, wokół ciebie mnóstwo ludzi, lecz do żadnego nie możesz się zwrócić, bo wiesz, że cię nie zrozumie. To jest przytłaczające, ta ludzka obojętność. Brzydzę się ludźmi, gardzę wszystkim w moim otoczeniu, te parszywe, pozbawione uczuć skorupy nie próbują mnie nawet zrozumieć, słyszę ciągle zarzuty, że to ja jestem wszystkim winna, że prawdziwy problem tkwi we mnie, ale ja naprawdę nie rozumiem tego, a nikt mi łaskawie nie chce wytłumaczyć, co jest ze mną nie tak.



Tomasz Młynarczyk

- Wiesz co ci powiem, na pewno słyszałaś to już nie raz od niejednej osoby, ale ja naprawdę cię rozumiem, możesz mi zaufać – Adam uśmiechnął się – przecież przyszły samobójca nie będzie oszukiwał przyszłej samobójczyni.
- A ty dlaczego tu jesteś? – zapytała Wiktoria.
- Ja? Z przyzwyczajenia – chłopak zaśmiał się – jak już ci powiedziałem, przychodzę tu co wieczór z nadzieją, że skończę w końcu tę farsę, ale jakoś się nie udaje. Jakis czas temu uderzyłem w dno ludzkiej pogardy, świat mnie nienawidzi, z wrażliwością oczywiście. Jestem wyrzutkiem społeczeństwa skazanym na banicję tylko dlatego, że mam inne poglądy niż wszyscy wokół. Jestem buntownikiem walczącym o martwą ideę – Adam zaśmiał się – Powoli odsuwałem się od naszej cudownej społeczności ludzkiej i teraz w cieniu samotności i na dnie odnalazłem się, jestem bardziej pewny siebie i przekonany o swojej wartości. Wiesz czym jesteśmy?! Rozszalałym i roztańczonym kurzem tego

- świata, świata przykrytego lukrową polewą aby łatwiej było go znieść, lecz dla niektórych ta polewa jest tak gorzka, jak gorycz całego tego zakłamanego świata. Jestem jednym z nich. Każdego poranka budzę się i przeklinam słońce za to, że ośmieliło się wstać. Czuje wstręt i obrzydzenie. Ale tu, na dnie, gdzie teraz jestem poznaje prawdę i zaczynam akceptować samego siebie, przede mną długa droga i nie wiem czy pewnego wieczoru nie wybiorę tej łatwiejszej i nie skoczę. – Wiktoria patrzyła na niego z podziwem – Przed tobą jeszcze długa droga do dna i całkiem możliwe jest to, że wcale tam się nie znajdziesz, chociaż wtedy zrozumiałabyś to i owo.
- Co, zapraszasz mnie na dno ludzkiej pogardy? – dziewczyna parsknęła śmiechem – nie sądzisz, że już tam jestem. Nienawidzę całego świata, w tym siebie ze szczególnością. Kiedy patrzę w lustro mam ochotę je zbić. Wiesz to jest zabawne kiedy chce być sama to jest wokół mnie tłum ludzi, którzy udają

zainteresowanie mną, odgrywają swoją rolę zbawicieli... – przerwała na chwilę. Adam milczał – Natomiast kiedy potrzebuję czyjeś obecności, to jestem zupełnie sama. Na drodze prowadzącej do mostu pojawiły się światła jakiegoś samochodu, na jego dachu błysnęło niebieskie światło.

– Policja – stwierdził chłopak – zmywaj się, ja ich zatrzymam.

Dziewczyna bez namysłu usłuchała, spojrzeniem pożegnała towarzysza i po chwili znikła w mroku po drugiej stronie mostu. Samochód zatrzymał się przed wjazdem na most, jego światła oświetlały całość konstrukcji. Ze środka wyszedł policjant, spojrzał na Adama i ruszył w jego kierunku. Chłopak popatrzył na niego, uśmiechnął się, spojrzał za siebie w czarną toń rzeki, uśmiech na jego twarzy poszerzył się. Zaczął kołysać się na nogach, policjant zatrzymał się – a jednak to zrobię – Adam szepnął po cichu i wychylił się do tyłu, usłyszał dziki świst, potem była cisza.

W pokoju było jeszcze ciemno, ale niezdarne promienie wdzierały się przez szczeliny między zasłonami dając odrobinę światła. Wiktoria nie spała, leżała na łóżku ciężko oddychając, przyglądała się sufitowi. Wzory na nim zdawały się tańczyć, kołysać i wirować. Potworny zgrzyt klamki przykuł jej uwagę. Drzwi otworzyły się a zza nich do pokoju, nawet nie patrząc na Viki weszła jej matka. Podeszła do okna i rozsunęła zasłony. Ostry blask światła zmusił dziewczynę do zamknięcia oczu.

– Wstawaj, spóźnisz się do szkoły – matka rzuciła od niechcenia wychodząc. Wiktoria nie zwróciła na nią uwagi, leżała dalej w tej samej pozycji. Po kilku oddechach zerwała się z łóżka. W pokoju panował potworny bałagan, wywołał on uśmiech na ustach dziewczyny. Szukali wczoraj czegoś, może listu pożegnального. Zaśmiała się głośno, ubrała i wyszła.

Poranek był piękny, słoneczny i ciepły, co bardzo rozłoszcilo Viki. Miała nadzieję, że pogodzie udzieli się jej nastrój i będzie lało, lecz najwyraźniej nawet pogoda robiła jej na złość. Brudny, obdrapany, stary autobus stał jeszcze na przystanku,

wsiadali do niego ostatni ludzie. Niewiele brakowało żeby uciekł. Och jak żałowała, że tego nie zrobił. Usiadła na końcu, było tam pusto. Przynajmniej to poszło po jej myśli, naprawdę nie miała ochoty siedzieć obok kogoś, szczególnie jakieś starej dewotki która zaraz zagaiła by rozmowę. Uśmiechnęła się siedziała sama, tak jak chciała. Autobus ruszył, Viki wyjęła odtwarzacz mp3, umieściła słuchawki w uszach i puściła muzykę. Dźwięki gitar uderzyły w nią jak młot, tekst, który знаła na pamięć, solówki i melodie, które potrafiła bez najmniejszego trudu zanucić wywarły na niej te same wrażenie co zwykle. Niewidoczna, samotna łza spłynęła po jej policzku. Smutek odcisnął się ogromnym piętnem na jej twarzy, wykrzywionej w jakimś niewysłowionym bólu. Poczula czyjś dotyk, otworzyła oczy przed nią stał jakiś człowiek, pokazujący jej jakąś legitymację i poruszający ustami. Viki wyjęła jedna słuchawkę.

– Bilet poproszę – rzucił sucho obcy, dziewczyna sięgnęła w głąb plecaka, wygrzebała bilet i rzuciła nim w kontrolera – Trochę grzeczniej proszę – rzekł zdumiony kanar. Viki uśmiechnęła się krzywo, patrząc z pogardą na tego człowieka, on spojrzał na datę na bilecie, zgadzała się. Oddał jej świstek i podziękował, dziewczyna spektakularnie zgniotła go i wrzuciła spowrotem do plecaka. W uchu umieściła słuchawkę i pograżyła się w muzyce.

Minęło kilka minut, ostre szarpnięcie zatrzymało autobus. Viki otworzyła oczy, to był jej przystanek. Wybiegła z autobusu nie patrząc za siebie. Przed nią stał budynek którego nienawidziła jak niczego na świecie – szkoła. Weszła do środka, było już kilka minut po dzwonku, zawsze się spóźniała na pierwszą lekcję, lecz teraz nie miała ochoty w ogóle na nią iść. Jednak machinalnie poszła na odpowiednie piętro i weszła do odpowiedniej klasy, od niechcenia rzuciła standardowe „przepraszam za spóźnienie” i usiadła w ostatniej ławce. Przez chwilę czuła się dobrze, cisza, spokój. Nikt jej nie zaczepiał, niczego nie chciał. Nauczycielka zajmowała się dziennikiem, a reszta klasy rozmawiała

między sobą. Usłyszała jakąś rozmowę która o dziwo zainteresowała ją.

- Słyszałaś że wczoraj na tym starym, zamkniętym moście ktoś się zabił – powiedziała blondynka przed nią do swojej rudej koleżanki. Viki zamarła – jakiś chłopak.
- Coś słyszałam – odpowiedziała ruda – ale niewiele.
- Mój wujek wtedy miał patrol no i zajechał tam – blondyna ściszyła głos – wchodzi na most, a tam jakiś koleś na krawędzi, podchodzi do niego, a ten fru, skoczył. Nie znaleźli ciała, całą noc podobno szukali.
- To straszne – skrzywiła się ruda – jak można być tak głupim żeby odebrać sobie życie – może gdyby tego nie powiedziała, Viki nie zagregowałyby, lecz te słowa jakoś dziwnie zabolęły ją. Wstała z ławki nachyliła się nad rudą i syknęła.
- Jak można być tak głupim żeby żyć - ruda spojrzała na nią z przerażeniem. Viki wybiegła z klasy, nauczycielka ruszyła za nią.

- Wiktoria stój, gdzie biegiesz – krzyknęła stojąc przy drzwiach, nie usłyszała odpowiedzi.

Ohydna zieleń wirowała w oczach Adama, czuł paraliżujący ból. Przez głowę przedarła się pojedyncza myśl z ogromnym łoskotem. Żyję, za nią przebiegła kolejna: niech to, prawie mi się udało. Ból, który odczuwał zadawał się potęgować z każdą chwilą. Chciał coś powiedzieć, lecz rura tkwiąca w jego przełyku uniemożliwiała mu to. Elektrokardiograf odzywał się z określoną częstotliwością, chłopak wykrzywił górną wargę, co było przerażającą parodią uśmiechu. Z ogromnym wysiłkiem podniósł rękę, na wskazującym palcu miał coś podobnego do spinacza do bielizny, drugą ręką chwycił to i zerwał. Z maszyny wydobył się dziki pisk. Boże, pomyślał Adam nie mogąc znieść tego dźwięku. Do pomieszczenia wbiegła pielęgniarka z przerażeniem wymalowanym na twarzy. Uspokoila się lekko





 Tomasz Sobieraj

widząc, że chłopak wpatruje się w nią. Wyłączyła elektrokardiograf i wyszła, po chwili była z powrotem. W ręku niosła pełną strzykawkę. Zaaplikowała mu całość i uśmiechnęła się.

- Teraz pójdziesz spać, żartownisiu – rzeczywiście Adam poczuł się jakoś dziwnie, ból zaczął powoli ustępować, powieki stawały się coraz cięższe. Ogarnęła go niesamowita błogość. Po chwili już spał.

Leżał na tym samym łóżku, ściany i podłoga wymazane były we krwi. Wstał, poczuł ciepło, spojrzał w dół, stał w wielkiej kałuży czerwonej i lepkiej krwi. Na plecach poczuł przechodzący dreszcz. Wyszedł z sali, szedł czerwoną ścieżką, wyglądającą jak ślady ciągniętych zwłok. Na ścianach wąskiego korytarza były dziwne napisy, nie rozumiał ich, szedł dalej. Przed nim leżały jakieś zwłoki, nachylił się nad nimi i powoli odwrócił, była to pielęgniarka. Patrzyła na niego pustym zimnym wzrokiem, nagle mrugnęła. Chłopak odskoczył, zaczął uciekać. Długi ciemny korytarz wydawał

się nie mieć końca. Poczuł zmęczenie, zatrzymał się. – Synu – usłyszał za sobą cichy kobiecy, zmęczony głos. Odwrócił się.

- Mama – wyszeptał.
- Tak synku to ja – twarz kobiet była jakaś dziwna, blada i bez wyrazu. – Ale przecież ty nie żyjesz – wymamrotał Adam.
- Ty też synku – Jej usta wykrzywiły się w przerażającym uśmiechu.
- To nie prawda, ja żyję – głos chłopaka nabrał nowej bary, twardej i zdecydowanej.
- Nie, ty już dawno umarłeś – kobieta zaczęła się śmiać. Chłopak spojrzał na nią, wykrzywił usta i rzucił
- Żegnaj mamó – ostatnie słowo zabrzmiało jakoś dziwnie, powiedziane z ogromną pogardą zmieniało znaczenie. Adam odwrócił się i ruszył przed siebie, przez chwilę słyszał jeszcze śmiech kobiety, lecz ten w końcu ucichł. Na ścianach czerwone napisy zaczęły nabierać nowej formy, niektóre mógł rozczytać. Lecz przerażało go ich znaczenie. Patrzył na podłogę i

- szedł przed siebie. Co chwilę podnosił wzrok, lecz nie widział końca korytarza. Zaczął biec. Korytarz wydawał się ciągnąć w nieskończoność. Chłopak zatrzymał się, dyszał głośno, brakowało mu powietrza. Poczuł za sobą czyjąś obecność, odwrócił się. Stał tam jakiś człowiek w czarnych szatach. Ciemność z końca korytarza zaczęła zbliżać się do miejsca w którym byli, obrócił się, to samo. Po chwili stali w małym ciemnym pomieszczeniu. Aby coś zobaczyć Adam musiał mocno wyteżać wzrok. Pod nogami było coś lepkiego i ciepłego. Ciemność zaczęła się rozwiewać. Było już całkiem jasno, chłopak mógł dostrzec, że na podłodze jest kilku centymetrowa warstwa krwi. Czarna postać stała dalej nieruchomo niczym posąg. Adam przyglądał się jej uważnie, lecz bał się coś powiedzieć.
- Ty – postać odezwała się nagle, jej głos był przerażający. Wydawał się mieszkanką głosu męskiego z kobiecym. Na dźwięk tego głosu, po plecach chłopaka przeszedł zimny dreszcz. Jego szczeka zaczęła lekko drżeć, po chwili głośno dzwoniła.
 - Ty – powtórzyła czarna postać – należysz do mnie. Adam otworzył szeroko oczy – Nie uciekniesz mi. Obcy podniósł powoli prawą rękę. Trzymał w niej coś, chłopak przyjrzał się dokładniej, była to jego głowa. Adam odwrócił się i natarł na ścianę, walił w nią pięściami i kopał, lecz nie dawało to żadnego rezultatu. Poczuł na karku coś jakby lodowato zimny oddech – Nie uciekniesz – przerażający szept wdarł się do jego głowy powodując ogólny paraliż. Całe jego ciało zaczęło drżeć, a z ust wyrwał się krzyk.
- Obudził się w innej sali, jakiś człowiek z ciemnym zarostem na twarzy i dużych okularach przyglądał mu się uważnie. Na skrzyżowanych nogach trzymał notes. Prawą ręką bawił się ołówkiem. Badawczy wzrok nie odrywał się od Adama, ten zrobił głupią minę, po czym spektakularnie ziewnął.
- Kim jesteś – zapytał od niechcenia.
 - Nazywam się Kazimierz Gurner, jestem psychiatrą i zamierzam ci pomóc – człowiek w okularach przedstawił się bardzo ciepłym głosem.
 - Ja drogi Kaziu – chłopak uśmiechnął się – nazywam się Napoleon Bonaparte i zamierzam podbić Europę – Adam parsknął ze śmiechu.
 - W aktach mam napisane, że nazywasz się Adam Zasadowski – psychiatra uśmiechnął się – Kłamią – machnął ręką nowy Napoleon – oni zawsze kłamią.
 - O kim mówisz? – Gurner próbował podpuścić Adama, aby ten się rozgadał.
 - O kosmitach – chłopak spoważniał – przychodzą do mnie w nocy i machają takimi małymi zielonymi czułkami.
 - Coś jeszcze robią? – zapytał poirytowany psychiatra.
 - Tak – Zasadowski zrobił minę triumfu – mówią, że ktoś tu robi z kogoś durnia – uśmiechnął się szeroko – I to na pewno nie ty, Kaziu, ze mnie.
 - Bawi cię to? – Zapytał oschle Gurner.
 - Jeszcze jak – zaśmiał się Adam.
 - To może teraz powiesz, mi dlaczego próbowałeś się zabić – powoli wyrecytował psychiatra.
 - Hm... niech się zastanowię – chłopak położył dłoń na prawym policzku – po prostu się przełamałem.
 - Co to znaczy? – Gurner poczuł cień szansy na to, że wyciągnie coś z chłopaka.
 - Boże, człowieku – Adam spojrzał w sufit – nie baw się ze mną w te gierki. Pytaj o to, co chcesz wiedzieć, a ja może ci odpwiem.
 - Nie denerwuj się – psychiatra próbował go uspokoić – Pamiętaj, że jestem tu żeby ci pomóc.
 - Chcesz mi pomóc? Ha... zacznij od siebie, wyglądasz na jakieś trzydzieści, trzydzieści pięć lat, na twojej ręce nie widzę obrączki, co znaczy, że nie jesteś żonaty. Masz za to lekkie zadrapanie, kot albo pies, nie wiem. Pewnie to jedyna istota z jaką mieszkasz. Zgadza się? Musi, twoja koszula nie była prasowana od dwóch, trzech dni. Jak sądzę mama robi ci jeszcze pranie i prasuje ci ciuchy. Heh ... Człowieku zastanów się czy to ja potrzebuję pomocy czy ty? Ja spróbowałem się zabić, a ty o tym marzysz.
 - Źle mnie oceniasz – wymamrotał zaskoczony Gurner.
 - Tak? No to w czym się pomyliłem?
 - Koniec na dzisiaj – Kazimierz wstał i wy-

szedł, usłyszał za sobą jeszcze głos chłopaka:

- To ty potrzebujesz pomocy - Adam uniósł się - Ty! - krzyknął.

Chodnik był zatłoczony. Viki biegła objając się o innych przechodniów, lecz nie zwracała na to uwagi, jej głowę wypełniała jedna myśl: Zabił się? Nie zwracała uwagi na to gdzie zmierza, po prostu biegła. Aleja Powstańców. Gdzie ja chcę iść? Viki rozejrzała się dokładnie. Konstytucji 3 maja? Przecież to po drodze do szpitala. Po co ja tam idę? Heh... głupia ja, przecież nawet nie wiem jak on się nazywa. Była już przed wejściem do szpitala. Na co ja liczę? Przecież tamta powiedziała że nie znaleźli ciała, ale jestem naiwna. Co ja sobie myślałam. Że co? Przyjdę tu i co? Może spotkam go na korytarzu i co wtedy? Zapytam go o zdrowie. Po co mi to wszystko, przecież ja nawet go nie znam, nic mnie z nim nie łączy. Wiktoria stała

na wprost drzwi szpitala i gapiała się na nie bezmyślnie. Po chwili odwróciła się na pięcie i zaczęła iść w innym kierunku. Zatrzymała się. Boże, ale ja głupia jestem, dlaczego tak bardzo chce go zobaczyć, dlaczego chce wiedzieć co się z nim dzieje? Dziewczyna zamknęła oczy i zawróciła się. Wbiegła do szpitala, szybko znalazła recepcję. Stała lekko zadyszana, kolejki nie było, prawdę mówiąc prawie nie było ludzi.

- Dzień dobry - wymamrotała Viki - Ja szukam pewnego chłopaka.
- Tak? - odparła bez zainteresowania recepcjonistka.
- On próbował popełnić samobójstwo, na starym moście. Jak on się nazywa? Piłsudskiego.
- Tu go na pewno nie ma...
- Jak to? Nie sprawdzi pani nawet? - przerwała Viki.
- Nie ma go tu bo tamten most to nie jest nasz rejon. Idź do szpitala na ulicy Częstochowskiej. Tam musi być.





Tomasz Sobieraj

- Dziękuję – dziewczyna skinęła głową i wybiegła. Do ulicy Częstochowskiej był spory kawałek drogi, lecz nie zwracała na to uwagi, jej serce drżało, czuła dziwną nadzieję. Może on żyje. Może go odnajdę, ale co w tedy, dlaczego ja go szukam? Nie próbowała odpowiedzieć sobie na to pytanie. Nie umiała. Szpital był już blisko. Zatrzymała się pod jego drzwiami, pokręciła głową i weszła do środka, ominęła recepcję i ruszyła w głąb szpitala. Izba przyjęć, musi być gdzieś tu, w jej kierunku szła pielęgniarka.
- Przepraszam – zaczęła ją Viki – szukam chłopaka, który usiłował popełnić samobójstwo. Blondyn, około metr osiemdziesiąt, niebieskie oczy.
- Adam Zasadowski? - zapytała niepewnie pielęgniarka.
- Tak to on. Jest tu? – zgadywała Wiktoria.
- Był, przywieźli go w nocy. Miał problemy z oddychaniem, więc musieliśmy go zaintubować, ale jego stan ogólny jest dobry. A pani jest z rodziny?
- Ja... – Viki zawahała się – Ja jestem jego dziewczyną – to co powiedziała

zaskoczyło ją.

- Aha. No to może być pani spokojna, niedługo wyjdzie ze szpitala. Obecnie jest na psychiatrii na obserwacji.
- Gdzie to jest?
- Trzecie piętro, lekarz który się nim zajmuje nazywa się chyba Gurner.
- Bardzo dziękuję – Viki uśmiechnęła się, jej twarz pojaśniała.

Adam siedział na łóżku i wpatrywał się w zakratowane okno, czuł niewysłowione znudzenie. Minęło już może ze dwie godziny, jak Gurner zostawił go samego. Miał dziwną ochotę porozmawiać z nim, sam nie wiedział dlaczego. Zamek w drzwiach zgrzytnął, klamka poruszyła się a do środka weszła pielęgniarka niosąc obiad.

- Przepraszam – Adam odezwał się do niej – czy mogłaby pani powiedzieć doktorowi, że chciałbym się z nim widzieć? – wymamrotał niepewnie.
- Doktorowi Gurnerowi? – zapytała pielęgniarka, chłopak odpowiedział jej

skinięciem głowy. Zostawiła posiłek na stoliku i wyszła, zamykając dokładnie drzwi. Adam siedział cicho nie dotykając jedzenia. Powolnym spojrzeniem oglądał pomieszczenie, naprzeciw niego stało łóżko. Było puste i ładnie zasłane. Chłopak spojrzał niepewnie na posiłek, był głodny. Kiedy postanowił wziąć się za jedzenie, drzwi zgrzytnęły. Adam uśmiechnął się.

- Chciałeś się ze mną widzieć? – zapytał Gurner.
- Tak – uśmiech na twarzy chłopaka poszerzył się – powiedz mi kiedy stąd wyjdę.
- Kiedy zdecyduję, że możesz wyjść – oznajmił zimno lekarz.
- Aha, ale jestem pełnoletni i chyba mam prawo wypisać się na własne życzenie.
- Szczerze mówiąc, to nie, będziesz tu, aż nie zdecyduję o tym, że możesz wyjść.
- To jest bez sensu – Adam warknął przez zaciśnięte zęby – nie możecie mnie tu więzić.
- Tak się składa, że możemy – Gurner uśmiechnął się. Chłopak zaczął kręcić głową, nie odzywał się. Lekarz spokojnie stał – Coś jeszcze? – zapytał.
- Jak powiem ci dlaczego skoczyłem, wypuścisz mnie? – odparł zdesperowany Adam.
- Może...
- No to siadaj, zaraz ci wszystko opowiem – oczy chłopaka zaświeciły dziwnym blaskiem. Lekarz usiadł na łóżku obok, wyjął notes i czekał. – Wszystko zaczęło się jakiś rok temu. Wtedy moja matka zginęła w wypadku, potrafił ją pijany kierowca. He... dostał dwa lata i zabrali mu prawko, tylko tyle, a mama opuściła nas na zawsze. Trochę to nie fair, ale takie już jest nasze państwo i nasze prawo. Mój ojciec początkowo dobrze zniósł to wszystko, znalazł sobie drugą pracę żeby w domu nie brakowało pieniędzy. Jakoś wszystko się układało, ja zajmowałem się młodszym rodzeństwem. Mam młodszego braciszka Bartka i siostrzyczkę Zosię, pocieszne brzdące. A ojciec dwoił się i troił ażeby nas utrzymać. Ale on też jest tylko człowiekiem, pewnego dnia po prostu pękł. Nie mógł już znieść tego wszystkiego. Poczciwy z niego chłop, ale

głowę ma słabiutką. Tego dnia wróciłem ze szkoły i znalazłem go kompletnie pijanego. Zaczął coś do mnie mamrotać, z tego co rozumiałem wynikało, że powoli odechciewa mu się żyć, że jest mu bardzo przykro, że nie daje rady zapewnić nam tego na co zasłużyliśmy, że nie daje rady zapewnić nam środków do godnego życia. Zrozumiałem, że stracił pracę. To był dla niego wielki cios. Położyłem go spać, a dzieciakom powiedziałem, że tato jest chory i żeby mu nie przeszkadzały, bo musi się dobrze wyspać. Ja wtedy całą noc nie zmrużyłem oka, wiedziałem, co muszę zrobić. Znalazłem pracę, była ciężka i mało płatna, ale pasowała mi, bo pracowałem w nocy byłem sprzątaczem w jakimś dużym biurówcu. Wysypiałem się w szkole. Jednak większość nauczycieli nie interesowała moja sytuacja i nie znalazłem u nich zrozumienia. Ojciec pił coraz więcej i stracił drugą pracę. Utrzymywaliśmy się z tych marnych groszy jakie zarabiałem. Pomagali nam jak mogli dziadkowie, ale cóż oni mogą z tymi emeryturami, które ledwie im starczą. Przeklęty los doświadczał nas jak tylko mógł. Ale nie było do końca tak źle, byliśmy razem i to było najważniejsze. Pewnego dnia otrzymaliśmy kolejny cios. Któraś z naszych kochanych sąsiadek, przekłute stare dewotki, interesują się bardziej życiem ludzi dokoła niż swoim, ciągle szukają nowych sensacji. Kto, z kim, co i dlaczego... krew się gotuje. I jedna z takich pań zawiadomiła policję, w jakiej sytuacji się znajdujemy. No i zabrali dzieciaki, sąd osądził, że lepszy będzie dla nich pobyt w domu dziecka. Mnie zostawili z ojcem, brakowało mi kilku tygodni do pełnoletności. Co ich obchodził mój los, dostaliśmy jakiś zasiłek... marne, żenujące grosze. Wtedy znienawidziłem cały świat. On mnie też, co było mi na rękę. Miałem spokój. Przestałem chodzić do szkoły. Stałem się wyrzutkiem, swoim rebeliantem, każda idea, o którą chciałbym walczyć już dawno umarła – Adam zamilkł, schował twarz w dłoniach.

- Rozumiem – rzekł Gurner – to wszystko popchnęło cię do depresji, a depresja do próby samobójczej.

- Tak, chyba tak – syknął chłopak – a teraz mnie wypuścisz?
- Nie, spędzisz tu jakiś czas, aż uporamy się z twoją depresją – oznajmił lekarz – Co? – Adam zerwał się z łóżka – Ty chyba sobie kpisz, przecież powiedziałem ci wszystko. Czego jeszcze ode mnie chcesz?
- Chcę ci pomóc – Kazimierz Gurner uśmiechnął się.
- Na pomoc to już trochę za późno, teraz możesz tylko nie przeszkadzać – zakpił Zasadowski. Do sali weszła pielęgniarka, spojrzała na Adama potem psychiatrę i zwróciła się do niego.

Viki krzątała się za plecami pielęgniarki, która stała w drzwiach sali. W środku były poza nią jeszcze dwie osoby. Jedną z nich był chyba Adam. To, co w nią działo się w głowie Wiktorii było niemożliwe do opisanie, uderzały w nią fale gorąca i zimna. Jej szczeka drżała jak szalona.

- Panie doktorze – zaczęła pielęgniarka – ta dziewczyna chciałaby się zobaczyć z pacjentem Zasadowskim.
- Kim ona jest? – zapytał Gurner.
- Twierdzi, że jest jego dziewczyną – odpowiedziała pielęgniarka. Lekarz spojrzał na Adama, ten wykrzywił brwi.
- Poproś ją tu – zdecydował Kazimierz. Do środka wkroczyła Viki niepewnie patrząc na chłopka.
- Viki ? – wymamrotał Zasadowski – Co tu robisz? – Słyszałam, że skoczyłeś – dziewczyna zaczerwieniła się nagle.
- Możemy zostać sami ? – zapytał Adam, Gurner odpowiedział mu skinieniem głowy, po czym razem z pielęgniarką wyszli. Chłopak patrzył na Wiktorię dziwnym wzrokiem, ciepłym i przyjaznym. Szukał w głowie jakichś słów, aby zacząć rozmowę, lecz nie znajdował zupełnie żadnego. Dziewczyna usiadła na łóżku naprzeciw niego i przyglądała się mu uważnie.
- A jednak skoczyłeś – zaczęła niepewnie.
- Tak – odpowiedział jej drżącym głosem.
- Uciekłam ze szkoły – uśmiechnęła się.
- Zobaczysz reakcję rodziców jak wrócisz do domu – Adam odpowiedział uśmiechem.
- Nie obchodzi mnie ona – Viki sama nie

wiedziała dlaczego się uśmiecha.

- Ja spróbuję wyjść stąd jak najszybciej – mina chłopaka nagle sposepniała – jeśli mnie nie wypuszczą to sam ucieknę.
- Znam miejsce, w którym mógłbyś się ukryć. – dziewczyna nie odrywała oczu od rozmówcy, ten uśmiechnął się słysząc jej słowa – dlaczego się śmiesz? – zapała.
- Bo chcesz mi pomóc.
- Nie chcesz mojej pomocy?
- Nie, tego nie powiedziałem. Uśmiecham się dlatego, że ty chcesz mi naprawdę pomóc – twarz chłopaka nabrała ciepłego wyrazu, zaczęła dziwnie promieć.
- Nie rozumiem dlaczego się dziwisz? – Viki wykrzywiła brwi – przyszła samobójczyni powinna pomóc samobójcy ze stażem – Oboje się zaśmiali.
- Jak masz na nazwisko? – zapytał Adam.
- Leśniewska. Nazywam się Wiktoria Leśniewska. A dlaczego pytasz?



- Bo wiesz, jeśli będę próbował cię odnaleźć, to łatwiej będzie mi, gdy będę znał twoje nazwisko.
- Aha – dziewczyna uśmiechnęła się – A dlaczego chcesz mnie odnaleźć? – zapytała.
- Jesteś przecież moją dziewczyną – Adam uśmiechnął się szeroko. Viki poczerwieniała. Do środka weszła pielęgniarka.
- Będzie pani zmuszona już iść – rzuciła oschle – nie wolno przemęczać pacjenta – Wiktoria usłuchała, wstała z łóżka i podeszła do drzwi.
- Przyjdę jutro – oznajmiła, Adam pokręcił głową dając jej coś do zrozumienia. – Do zobaczenia – chłopak odpowiedział jej uśmiechem. Kiedy był już sam położył się na łóżku. Dlaczego ona mnie szukała, dlaczego przyszła? Stawiał sobie pytania, do głowy przyszła mu pewna odpowiedź, lecz wydawała się nieprawdopodobna, a może..., pomyślał Adam.

N

- Viki szła powoli, nie śpieszyło się jej. Była jakoś dziwnie szczęśliwa, mijała kolejne blokowiska, kolejne domy i nie myślała o niczym. Po prostu była szczęśliwa. Stała przed drzwiami, zawahała się, ale weszła. W przedpokoju stała jej matka. – Dlaczego nie poszłaś na lekcje? – zapytała.
- Miałam coś ciekawszego do zrobienia – rzuciła Viki przechodząc obok niej. Weszła do pokoju, położyła plecak na krześle, obróciła się. Za nią stała jej mama.
 - Skarbie – zaczęła ciepło – dlaczego to robisz, przecież wiesz, że ja i tato bardzo cię kochamy.
 - Dlaczego ty to robisz? – zapytała Wiktoria.
 - Co?
 - Czepiasz się mnie z byle powodu. Wcale mnie nie słuchasz. No powiedz dlaczego – warknęła patrząc prosto w oczy matki.
 - Przesadzasz – odparła – i nie zrzucaj winy za wszystko na mnie.
 - A ty to niby co robisz. Ja zawsze byłam tą złą, a ty zawsze musiałaś się ze mną męczyć.
 - Bo taka jest racja. Postaw się w mojej sytuacji.
 - A ty postaw się w mojej, ciągle mi mówisz,

co mam robić, jak mam się zachowywać, nawet to co mam myśleć – oczy dziewczyny płonęły złością – Spełniasz swoje nie zrealizowane marzenia, chcesz żebym była taka, jak ty nie mogłaś być. I wiesz co, w tym wszystkim zapominasz o jednym. Jestem człowiekiem, myślę i czuję, i może wcale nie chcę być taka jaką ty mnie widzisz?! Może chce sama ułożyć sobie życie. Sama decydować o tym, kim będę i jakim człowiekiem będę. Nie dajesz mi szansy na to, przytłaczasz mnie swoją wolą, a kiedy jestem nieposłuszna wytrząsaszesz się nade mną, jakbym kogoś zabiła.

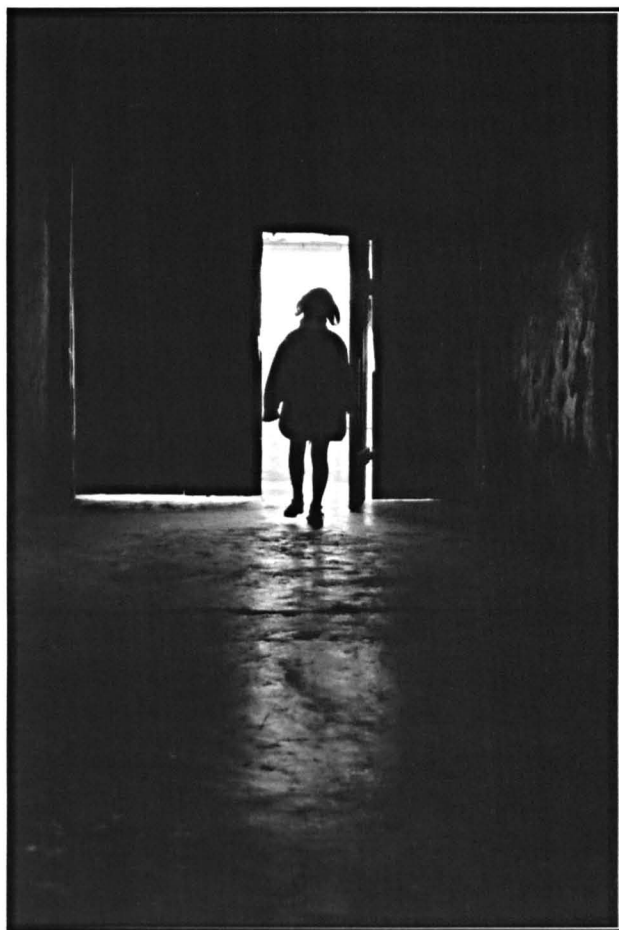
- Bzdury – krzyknęła matka – to wszystko bzdury!
- Tak? To powiedz mi łaskawie, dlaczego chodzę do liceum na drugim końcu miasta? Bo według ciebie jest bardziej prestiżowe i po nim na pewno dostane się na prawo, a kiedy mówiłam ci, że nie chcę iść na ten kierunek, to kazałaś mi to jeszcze raz przemyśleć i szybko znajdowałaś multum bezsensownych argumentów, dlaczego ten kierunek jest taki wspaniały. A kiedy ja pokazywałam argument przeciwko temu, żeby iść na prawo, ty zawsze mówiłaś jedno: Nie kłóć się ze starszymi bo to oni mają rację.
- Bo tak jest racja, kiedyś mi jeszcze podziękujesz.
- Wątpię – powiedziała spokojnie Viki – Szczerze w to wątpię, mamo.
- Zobaczmy – matka Wiktorii wyszła z pokoju. Viki usiadła na łóżku i zaczęła płakać.

Był już wieczór, Adam krzątał się po sali myślarz nad czymś intensywnie. Zadawał się niecierpliwie czekać, przy drzwiach leżały strzępy porwanego prześcieradła. Klamka drgnęła. Chłopak przywarł do ściany, starał się uspokoić oddech, drzwi otworzył się, a do środka weszła pielęgniarka niosąca tacę z jedzeniem. Rzucił się na nią, jednym z pasów wydartych z prześcieradła zakneblował jej usta, ona upuściła tacę. Miał szczęście, spadła na miękki materac. Pielęgniarka starała się wyrwać, lecz chłopak był silniejszy od niej, szybko

zawiązał jej kolejny pas tym razem unieruchamiając jej dłonie, potem związał nogi.

- Spoko, nic ci nie zrobię – Adam szepnął do niej. Stał w drzwiach, wyjrzał na korytarz, pusty. Co za szczęście, przemknęło mu w głowie. Na końcu korytarza było okno chyba bez krat, stało się jego celem. Pech, okazało się, że ma kraty. Musiał zejść na dół, z końca korytarza usłyszał czyjeś głosy, rozejrzał się rozpaczliwie. Jakies pomieszczenie, wszedł do niego, był to składzik. Znajdowały się tam różne ubrania, znalazł jakieś pasujące. Przebrał się i przywarł do drzwi, nasłuchiwał. Na korytarzu była cisza. Wyszedł, nikogo nie było. Szybkim krokiem udał się w kierunku schodów. Był już na wyciągnięcie ręki od sukcesu, kiedy zobaczył, że po schodach ktoś idzie. Wbił wzrok w stopnie i dosyć szybko schodził w przeciwnym kierunku siedł jakiś lekarz. Gurner, pomyślał chłopak, nie mylił się. Lekarz zdawał się nawet na niego nie patrzeć, minęli się. Serce Adama waliło jak oszalałe. Udało się, przemknęło mu w głowę, drugie piętro. Po chwili był już na zewnątrz, siedł przed siebie nie zważając gdzie, chciał być daleko od szpitala. Lecz trzeba było obrać jakiś kierunek, przypomniał sobie o Viki. Ulice były puste, samotne latarnie rozświetlały mu drogę.

- Było już bardzo późno, Viki wstała z łóżka bardzo cicho, spakowała w plecak ubrania i wyrzuciła go przez otwarte okno, odczekała chwile wsłuchując się w ciszę, po czym sama wyskoczyła. Noc była nawet ciepła, niebo pełne gwiazd, niektóre latarnie już pogasły. Dziewczyna chwyciła plecak narzuciła go sobie na plecy i ruszyła przed siebie. Mijała zaspane domy, ciche podwórza. Sama nie wiedziała dlaczego idzie właśnie tam. Jakaś głupia nadzieja pchała ją na ten stary most. Była już niedaleko, mogła dostrzec czy jest na nim ktoś czy nie, był pusty. Stała na krawędzi parząc w ciemną toń rzeki.
- To co? Zdecydowałaś się w końcu? – usłyszała za sobą znajomy głos. Odwróciła się, był to Adam, rzuciła się mu na szyję i



 Tomasz Sobieraj

mocno uścisnęła, sama nie wiedziała dlaczego. On także ją objął, stali tak chwilę, po czym usiedli na krawędzi. Siedzieli tak w milczeniu przyglądając się sobie. Na horyzoncie zaczęły majaczyć pierwsze promienie słońca, powoli robiło się coraz jaśniej.

- Uciekłam z domu – oznajmiła Viki.
- A ja ze szpitala – uśmiechnął się Adam.
- I co teraz będzie? – zapytała dziewczyna.
- Nie rozumiem – chłopak wykrzywił brwi.
- Co będziemy robić? – Przede wszystkim żyć – Adam uśmiechnął się szeroko, Viki odpowiedziała mu tym samym. Piękny poranek przywitał nowy dzień.





DARIUSZ DOROSZ

Pod Pilatusem

Przywiezioną prośbę pokłonu
pokornie pozostawia przybysz
pod potężnym Pilatusem
Przysiadłszy pod pniem
podziwiam precudne przestrzenie
Podniebne portrety pagórków
poruszają po prostu
Pośrodku popołudniowego przemarszu
przybliżam pokaz panoram
pomnażając przeżrocza pamięci

Powrót

Przygłódzeni palacze przeklinają podróż
Przepełnione pęcherze proszą pisuarów
Przykrótkie postoje przywracają pion
Przyszykować paszporty - prosi pilotka
Po północy przywitamy Polskę
Podróżni przywitali polskie pejzaże
powściągliwym podniesieniem powiek

PREZENTACJE





MAURYCY WITKOWIAK

Pasterze mgieł (poemat)

Wieczór obłapia już miasto. W oddali
Sznur samochodów. Do domu wracają
Biznesmeni lekarze prawnicy specjaliści
Od kanalizacji i budowy mostów maklerzy
I menedżerowie. Załączają alarm otwierają
Bramę pilotem. Na noc kupili wino i
Czekoladę Lindta, obejrzą jeszcze serial
Sprawdzą indeksy giełdowe zapalą
Papierosa, potem udadzą się do sauny

Nie rozumiem czemu powinienem, jakim
Prawem mam czuć nad nimi wyższość
Przecież jestem tak chory zapadłem na
Zdrowiu moje zapalenie objawia się
Nieustanną potrzebą zapełniania słowami
Pustych kartek. Oni mają liczby, to
Co racjonalne, policzalne, to co da
Się zdefiniować i zmierzyć. Jednym
Słowem dotyczą wyraźnych, ostrych
Konturów i kształtów. Ubierają się w
Drogie garnitury są przystojni i opanowani
Mają idealnie przycięte paznokcie

II

Widziałem też opieczętowanych, którzy
Podobno mają kiedyś wypłukać swe
Szaty we krwi Baranka... Na razie
On jest daleko poza ich zasięgiem
Choć wciąż patrzą w górą wiele czasu
Minie zanim zobaczą gwiazdę a i wtedy
Ciężko. Nie mają owiec zatem
Pasą mgły kroją je na słowa nożycami
Z tesco. Jeden z nich wraca ze straganu
Kupił kilo ziemniaków kielbasę
Zwyczajną za cztery czterdzieści
Jeszcze atrament i ryzę papieru. Patrzył
Na wszystkich z niebezpiecznego
Oddalenia przez tandetną soczewkę
Soczewkę z biedronki spoglądał
Jakby obok w przestrzeń choć światło
Migotało zupełnie gdzie indziej

III

Mówili że zwycięstwo poety nadejdzie nie
teraz
Nie tutaj. Nie chcę takich zwycięstw, mgła
Udanie zastępowała baranki i nadal zastępuje
Szatan siedzi w dark roomie i wypłuka pestki
od
Owoców. Ja przed snem liczę baranki które
Wyciosałem z mgły. Wieczór obłapia już
miasto

W oddali błyski fleszy, hotele, ogródki
kawiarni
Poeta patrzy ukryty za płotem trzęsie się z
Zimna i przygryza wargi.

Chory. Wmówił sobie że jest pasterzem
Mgły. Wydało mu się że ktoś taki jest
Potrzebny. A mgła nie musi mieć pasterza jest
Tylko mgłą. Firma potrzebuje eksperta,
konsorcjum
Specjalisty a giełda maklera

Baranek daleko nie teraz nie tutaj
Wieczna okupacja wieczni partyzanci
Szatan siedzi w dark roomie dopija
Kawę z Jamajki przyjmuje pośpieszne
Sprawozdania dowódców dywizji

Strażnicy wiatru pasterze obłoków
Czekają na triumfy pośmiertne i
Pozagrobowe zwycięstwa, może
Remisy. Gdy w hotelach pije się
Ostatni kieliszek campari oni żują
Stary chleb wyżywiają ścierki
Wyobraźni. Z mgły wycinają kolejne
Wzorki i motywy.

IV

A gdyby tylko mgła była prawdziwa?
To czego dotykamy było zaś uludą?
Wtedy nasza armia byłaby wielka
Od gór do morza korpusy wierszy, pułki
Poematów, szwadrony powieści
Dywizje komedii, dramatów kompanie
Niestety, nie wiemy. Pasąc mgły
Tracimy ziemską nagrodę, zyskujemy
nieznane

Koncert wiejski (patrząc na obraz Giorgione)

Altana. Zieleń. Klasycyzm wieczoru
Białe tuniki. Wypieszczone ciała
Proste słowa nieskalane moją obecnością
Która i tak nie ma sensu
Która i tak jest niepotrzebna
Ten wiersz jest brzydki wiem
Jak dworzec o poranku

Młodzieńcy dwaj
Powiedzcie że nigdy
Nie było tu tego koncertu
Powiedzcie że jeszcze mam czas
I dopiero przykładacie palce do strun

Że czyste są moje oczy i moja skóra
Że znaczę coś więcej niż te dwa
Wzgórza strof ze strachem pośrodku

kwiecień 2006/marzec 2007

Maurycy Witkowiak (1985) - student stosunków międzynarodowych (IV rok) i hebraistyki (I rok) Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu. Administrator witryny www.portal-pisarski.pl, światopoglądowo bliska jest mu literatura Młodej Polski. Pisuje zarówno poezję jak i prozę.

Masada

„Masada nie może
drugi raz upaść”
(przysłowie hebrajskie)

jest czas wysiewu, jest także czas zbioru
jest czas gdy sierpy trzeba przekuć na sztylety
jest czas gdy pałac na twierdzę przebudować
trzeba
twierdzę warowną o dwunastu wieżach

ja Gewer żyłem niegdyś w purpurze i złocie
na tarasach pałacu jadłem i piłem wino z Tyru
zamiast mądrością przepasany ciałem Szedai
zamiast bram Izraela wciąż wrota jej bioder

zamiast owoców Pana smakowałem jej łono
i wydawało mi się słodkie jak miód, miąższ
sabry
omdleniu uległo moje ciało i mięśnie
zwiotczały
jak tamaryszek pod tchnieniem wiatru znad
Jordanu

a wtedy nadszedł wróg; krzyczeli:
„Pomrzemy!”
rzędami lśniły tarcze błyszczały pochodnie
i ja krzyczałem z nimi. Lecz Pan dał mi łaskę
narzuciłem więc zbroję i łuk swój napiąłem
Szedaia uciekła okryta niesławą

i miłość moja zgasła jak wieczorne słońce
dusza nie była wspomóżona ciałem
a wszak duszy Szedai nigdy nie kochałem
ciała już nie było, sępy nad pustynią

po trzykroć wróg podchodził trzykroć
pokonany
legion za legionem kończył w dole, na dnie
da Pan, Masada nigdy nie upadnie!

szepczą moje usta jakby psalm pijany
ja- Gewer pieśń śpiewam uwielbiając Pana
o tym że ma modlitwa była wysłuchana
i że moja Masada nigdy nie upadnie!

16 sierpnia 2007

hotelowe celebration

To ładny hotel podobają mi się wiśniowe
firanki
Dębowe łóżko też się wydaje odpowiednio
duże
Dwa wnętrza jedno krzyczy, drugie nic nie
mówi
Pamiętaj to wszystko przez nią, przez nią"

Pani też powinna o tym pamiętać, nawet teraz
Gdy niedbale patrzę jak depiluje Pani nogi
A wszystko po to, abym się nie pokłuli
Jak dobrze, że Pani jest brunetką, jak dobrze

Niech Pani się położy i przymknie swe oczy
Im szybciej zaczniemy tym szybciej
skończymy
Im szybciej skończymy tym szybciej
dojdziemy
Im szybciej dojdziemy tym mniej się
zmęczymy

Głupio mi że Pani płaci za wszystko
Za siebie, za mnie, za hotel, za wino
Za to czego nie zrobiłem, za to co już
Zrobiłem za potargane włosy i ręce
Przygwożdżone do łóżka przed
Spełnieniem może po a może w trakcie

22 sierpnia 2007

połamałaś mnie (z cyklu „20”)

połamałaś mnie, połamałaś dokładnie
ale to oznacza tylko tyle że dla wszystkich
będzie więcej chleba

naznaczyłem już drzwi własną krwią
spakowałem wszystko co trzeba

anioł przyszedł, spalił papierosa
i poszedł ognistą drogą

teraz jem niekwaszony chleb
ostatnie spojrzenie na ziemię
terytorium okupowane przez Wroga
bo czym innym, czym innym jest świat?

31 sierpnia 2007

jak w morzu się zaczęło... (z cyklu „20”)

jak w morzu się zaczęło tak w morzu się
skończy
co znaczą wszystkie słowa a co morze znaczy?
co myśli Matka Boża patrząca z obrazu?
mgły zasnuwają łąki na Hali Boraczej

nie może się nasycić to oko co patrzy
chciałoby widzieć więcej a pragnienie pali
zapomnieć znaczy umrzeć suknię szyją ręce
łyzy zasnuwają łąki na Boraczej Hali

czasami jakby twarze niknące w oddali
lecz każda z nich wygląda zupełnie inaczej
mgły zasnuwają łąki na Boraczej Hali
mgły zasnuwają łąki na Hali Boraczej

2 września 2007

WYNIKI PIERWSZEJ EDYCJI KONKURSU LITERACKIEGO KWARTALNIKA KULTURALNEGO „KOZIRYNEK”

Pierwsza edycja turnieju plastyczno-literackiego „Chichot Chimery” została rozstrzygnięta.

8 listopada 2007 roku jury w składzie: Mariusz Bober, Przemysław Krupski, Dariusz Magier (komisarz) i Adam Świć dokonało oceny nadesłanych prac konkursowych. Oto wyniki:

W kategorii literackiej Grand Prix w wysokości 500 PLN przyznano:

- Pani Ewie Kruchowskiej z Legnicy za utwór „Ty-ran-Ja”.

Ponadto przyznano 7 wyróżnień (nagroda to publikacja na łamach kwartalnika kulturalnego „Kozirynek”), które otrzymali:

- Pani Krystyna Karwat z Lublina za opowiadanie „Tryptyk z kosą”,

- Pani Barbara Madejska z Warszawy za opowiadanie „Klucz do książki życia”,

- Pani Karolina Okrasa z Międzyrzecza Podlaskiego za opowiadanie „Mamo, wróć...”,

- Pani Joanna Skólimowska z Międzyrzecza Podlaskiego za opowiadanie „Inna”,

- Pan January Witkowski z Kaliny Wielkiej za zbiór aforyzmów,

- Pan Andrzej Wilbik z Białej Podlaskiej za miniatury: „Sen”, „Samobójca”, „Lot”,

- Pan Tomasz Rolko z Włodawy za miniatury: „Mój kolega od życia” i „Boże, coś ujawnił”.

W kategorii plastycznej nagród nie przyznano.

Prace nagrodzone będziemy zamieszczać w kolejnych numerach „Koziegorynku”

*
Protokół z obrad jury znajduje się na stronie internetowej pisma: www.kozirynek.pl.

**
Serdecznie zapraszamy do udziału w drugiej edycji turnieju, która zostanie ogłoszona wiosną 2008 roku.

Komisarz konkursu
Dariusz Magier



MARIUSZ BOBER

Głaskałem Twoje włosy. Łopotały łany
cielesnych doznań. Oddechem
przeszywałaś moje usta dotykając szpiku
kości. Bawiłaś się moją niewinnością
płomiennym policzkiem płochliwym
wzrokiem. Odchodziłaś w milczeniu
kiedy dotykałem Twoich dłoni. Woalką
zieleni mamilaś mnie w gąszczu trawy.
Kropla po kropli wędrowała rosa
uginały się pod ich ciężarem czerwone
biedronki. Później uśmiechały się
skrzydełkami. Na skórze pozostawały
witraże szminki a obok nich skrzyły się
opalone melodie chwili. Takie były
noce wolne od surowego wzroku
strażników. Nie zdołali uwięzić ludzkiej
radości.

Była krucha jak wigilijny opłatek.
Rozpuszczała się w ustach jak białe
masło. Kiedy płakała rosy ustępowały jej
pola. Kształt ramion sprawiał że płakały
topole a wierzby plotły srebrne kosze na
jej szaty. Strumyk ocierał się o jej stopy
złociste miała. Talią bawiła się z linią
horyzontu. Łało się białe wino. I była
radość łąki i był śmiech ścieżki. Taka
była bogini Wenus.

Bracia i siostry. Rówieśnicy. Odważni w
snach upadli na duchu. Powstańcie
grzyby po deszczu przecież. Powstańcie
zmordowani potem czoła. Padający
ciałami na tapczany ziemi. Ciałami
okrywacie ciała swoje w
westchnieniach. Zasypiacie. Budzicie się
rano w objęciach czasu jaki pozostał
wam do potu do ciała tapczanu.
Powstańcie czajnik woła. Padniecie
później padniecie wieczorem. Lecz teraz
powstańcie dzień już bliski. Czajnik się
niecierpliwi. W oknach oczu dym łzawi.
Szyba skrzypi cierniem opada zasłona
nocy. Cietrzewie zębów skwierczą na
patelni fioletowego płomienia kuchni
gazowej. Żółtymi rurami do zaworów.

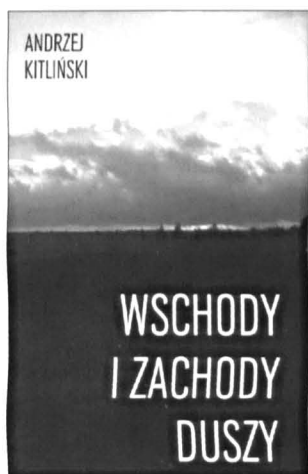
Pstry pstryk zapalka za zapalką. Iskra
iskra jest ogień. Grzanki tosty jaja robią
Bracia i Siostry z siebie. Miłujcie się
wzajemnie wzajemnie kaleczcie swe
rany. Powstańcie. Gorąca woda się chyli.
Wytoczcicie dzbany i parowozy.
Wnieście toasty i w drogę. Wieczorem
tapczany ziemi czekają.

Przyszła stuletnia jesień. Z drzew opadają
broadate liście. Ryjąc w ziemi głębokie
bruzdy. W nich ranione dżdżownice. Za
chwilę pikujące z jazgotem gawrony.
Krew na ziemi. Zapowiada się długa
czerwona jesień.



KONFRATERNIA
KOZIRYNEK

POLECA



Andrzej Kitliński
Wschody i zachody duszy
(Brańsk 2007)

„Obiecujący talent. W ogrodach pamiętania pozostawia swoją wrażliwość. Wierszem dociera tam, gdzie mieści się ów szczególny stan ducha. Rozsłonecznienie i dobroć. To rzadkie tematy we współczesnym piarstwie”.

Jan Leończuk



OBSERWATORIUM. Antologia słów i obrazów
(Siedlce - Radzyń Podlaski 2007)

Tomik poezji czwórki siedlczan: Roberta Koncy, Magdaleny Raczko-Pietraszek, Artura Rogalskiego i Wojciecha Szmigonia, przepelnlony wrażliwym ujęciem rzeczywistości, zachwytem nad ulotnymi chwilami impresji, pełen mądrych komentarzy dnia codziennego, okraszonych integralnym materiałem ilustracyjnym.



* Cena numeru upamiętnia rok 725, w którym pobożny mnich Winfryd, szerzej znany pod imieniem św. Bonifacego, podczas misji w górnej Hesji ściął dąb Domara - baltwana czczony przez Germanów. Przy poparciu Karola Młota saski apostoł Niemiec dokonywał w dziele misyjnym rzeczy niepomiarnych naprawiając to, co podupadło i zdziaczało, i tworząc Kościół tam, gdzie go dotąd nie było. Niestety, dni króla Franków były już policzone...



Zrealizowano w ramach Programu Operacyjnego Promocja Czytelnictwa ogłoszonego przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego